

Barbara Dunlop

Podwójne życie

scandalous

Cześć, Charlotte!

Piszę parę słów, żebyś była na bieżąco z życiem w Indigo. Latem w La Petite Maison mieliśmy komplet gości, ale nie narzekam. Prowadzenie pensjonatu okazało się o wiele przyjemniejsze, niż się spodziewałam.

Późną jesienią turyści planują zorganizowanie festiwalu muzyki kajuńskiej; poprosili mnie o pomoc. Festiwal ma dwa cele: rozwój turystyki oraz zbiórkę pieniędzy na odnowę budynku starej opery. Przeciwna mu jest tylko jedna osoba, niejaka Joan Bateman, która przyjechała tu ze wschodniego wybrzeża jakieś dziesięć lat temu i boi się, że załew turystów zniszczy urok naszego miasteczka. Na szczęście nikt się z nią nie zgadza. Zresztą Indigo jest tak malowniczym miejscem, że warto się nim pochwalić. Jestem głęboko przekonany, że pieniądze, jakie goście tu zostawią, ogromnie się miasteczku przydadzą. Zaczynam gadać jak miejscowy. Coś mi się zdaje, że za długo tu mieszkam!

Ucałuj ode mnie ciotkę Annę, swoje siostry, a najmocniej moją małą kuzyneczkę Daisy Rose.

Luc

Drodzy Czytelnicy!

W Nowym Orleanie byłam tylko raz w życiu, ale natychmiast rzuciła mi się w oczy piękna architektura miasta i niezwykła witalność jego mieszkańców. Wszystko, co tam człowieka otacza, począwszy od muzyki i jedzenia, a skończywszy na sztuce i ubraniach, zdaje się wibrować, wręcz tętnić życiem.

Kiedy zaproponowano mi, abym napisała książkę do serii o Hotelu Marchand, ożyły we mnie obrazy, zapachy i dźwięki Luizjany. Moi bohaterowie przemieszczają się wśród dawnej architektury, zachwycają miejscowymi potrawami, wyprawiają się na bagna, gdzie przeżywają burzę z piorunami.

Podczas mojej wizyty w Nowym Orleanie mnie również złapała burza. Siedziałam z przyjaciółmi w małej uroczej knajpce, a na zewnątrz lejące się z nieba strumienie deszczu omywały bujną, tropikalną roślinność. Tamtego dnia przekonałam się, że w Luizjanie obce jest pojęcie umiaru.

Nowy Orlean kojarzy mi się z pięknym klejnotem. Kojarzy mi się również z odwagą, siłą, wytrwałością. Wiem, że mimo zniszczeń poczynionych przez huragan Katrina to wspaniałe miasto się podniesie. Będzie jeszcze wspanialsze niż dawniej.

Z przyjemnością poczytałabym maile od czytelników, którzy chcieliby się ze mną podzielić własnymi wspomnieniami związanymi z Luizjaną, a także od tych, którzy po prostu mają ochotę się odezwać: Jestem osiągalna pod adresem www.barbaradunlop.com.

Życzę miłej lektury!

Barbara Dunlop

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Anthony Verdun wiedział, że powinien mieć wyrzuty sumienia, ale odkąd w piątek po południu zwolnił z pracy Claristę Phillips, czuł jedynie radość. Wciągnął głęboko powietrze. Lubił poranny jogging po Parku Centralnym.

Clarista doskonale radziła sobie z komputerem i prowadzeniem terminarza, ale jej uwodzicielski sposób bycia stał się nie do wytrzymania. Sprawę przesądziła para czerwonych koronkowych majteczek przysłana przez gońca wraz z zaproszeniem, w którym była mowa o brzoskwińkach, bitej śmietanie i jedwabnych apaszkach.

Oczywiście Anthony nie miał nic przeciwko jedwabnym apaszkom, a tym bardziej koronkowym majteczkom. Ale był człowiekiem o staroświeckich poglądach. Zamiast dostać zaproszenie do łóżka, wołałby najpierw wybrać się z kobietą na kolację albo drinka. Teraz właśnie opuścił park i zwolnił na światłach przy Szóstej Alei.

Mokra koszula lepiła mu się do rozgrzanego ciała, kropelki potu spływały po skroniach. Kiedy wreszcie zapaliło się zielone światło, skierował się do Moulin Coffee Bar. Zabrzęczał zawieszony nad drzwiami dzwonek; powietrze wypełniał zapach świeżo zmielonej kawy.

Na stojaku przy wejściu leżały gazety. Wsuwając jedną pod pachę, Anthony podszedł do lady i uśmiechnął się do dziewczyny z obsługi.

- Dzień dobry. Poproszę dużą, czarną, kolumbijską.

Dziewczyna, ładna i młoda, z końskim ogonem i jaskrawoczerwonymi ustami, odwzajemniła uśmiech. Błysk w jej oczach zachęcał do rozmowy, ale Anthony'ego pochłaniały inne sprawy. Zresztą po piątkowym doświadczeniu z Clarisą nie miał ochoty na podszyte flirtem pogaduszki.

Z kieszeni szortów wyciągnął komórkę i wcisnął numer Kenta Livingstona. Czekać na połączenie, popatrzył na bajgle i słodkie bułeczki. Okrążając dziś jezioro, chyba pobił swój rekord; należy mu się nagroda. Napotkawszy wzrok dziewczyny, wskazał bułkę i uniósł jeden palec.

Kent odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

- Livingston, słucham.
- Cześć, Kent. Tu Anthony.
- Anthony, ty cwany lisie!
- Co takiego?
- Gratulacje.

Anthony podał sprzedawczyni banknot dwudziestodolarowy. Czyżby Kent poznał prawdę o Clariście? Jeśli tak... hm, trochę to krępujące. No cóż, oby tylko nikt więcej w kręgach literackich Nowego Jorku nie odgadł, z jakiego powodu zwolnił swoją asystentkę.

- Dzięki - powiedział do słuchawki, wrzucając kilka monet do puszek na napiwki, a banknoty wpychając do kieszeni. Czym prędzej zmienił temat. - Słuchaj, Zane Randal martwi się, czy egzemplarze promocyjne dotrą na czas do Berlina.

- Spokojna głowa - zapewnił go Kent. - Zaraz zadzwonię do działu marketingu i wszystko sprawdzę. Kiedy Zane leci? W piątek?

- Czwartek. - Anthony pchnął łokciem drzwi i wy-

szedł na zewnątrz. Ignorując rozlegający się wkoło dźwięk klaksonów, kontynuował rozmowę: - Zorganizowaliśmy mu spotkanie z czytelnikami i dwa krótkie występy w radio.

- Doskonale - ucieszył się Kent. - Pracownik marketingu skontaktuje się z Zane'em w sobotę rano. Gdzie ma rezerwację? W Hiltonie?

- Tak. - Anthony odetchnął z ulgą; wygląda na to, że trasa promocyjna przebiegnie sprawnie. Wędrując w stronę Agencji Literackiej Prism, zastanawiał się, co jeszcze ma do omówienia z Kentem. - Zadzwońię po południu w sprawie umowy na nową książkę Mesa Burrella. - Czekał na telefon od Joan, żeby potwierdziła ostateczny termin nadesłania maszynopisu.

- Myślę, że tym powinien się zająć Bo - oznajmił Kent.

Anthony przystanął. Zamurowało go. Przecież to nie ma najmniejszego sensu. Bo Reese jest wiceprezesem wydawnictwa Pellegrin. Ludzie na tak wysokich stanowiskach, dzierżący tak wielką władzę, zajmują się tylko tymi autorami, którzy dostają siedmiocyfrowe honoraria.

- Może masz rację - odrzekł. Czyżby *Zdrada na bagnach* trafiła na listę bestsellerów? - Odezwę się później.

Rozłączył się pośpiesznie, zanim Kent zdążył się zorientować, że jego rozmówca nie wie, o co chodzi. Anthony szybkim krokiem pokonał ostatnie dwie przecznice dzielące go od agencji, po drodze jedząc śniadanie.

Skinął na powitanie strażnikowi w holu, po czym wjechał na dwudzieste drugie piętro. Wsiadłszy z windy, przywitał się z recepcjonistką siedzącą przy wejściu do agencji Prism.

- Niezłe zagranie, Anthony. - Rosalind mrugnęła porozumiewawczo, a gdy ją mijał, roześmiała się wesoło i zasalutowała.

Rany boskie! Ona też słyszała o Clariście? Ktoś rozesłał do wszystkich jakieś pismo?

Dopiwszy do końca kawę, wrzucił kubeczek do pojemnika na śmieci i wszedł do swojego gabinetu. Zamierzał wziąć szybki prysznic, a potem sprawdzić informacje o sprzedaży *Zdrady*. Jeżeli książka trafiła na listę bestsellerów, wszystko jest możliwe.

- Verdun! - ryknął Stephen Baker, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w drzwiach. - Ale numer!

Anthony obrócił się twarzą do szefa. Modlił się w duchu, aby mówiąc o „numerze”, Stephen miał na myśli książki Julesa Burrella, a nie zwolnienie Claristy.

Stephen, potężny mężczyzna o grubej szyi i szerokiej klatce piersiowej, rzucił na dębowe biurko gazetę.

- Proszę! „The New York Times”!

Anthony popatrzył w dół. Na pierwszej stronie sekcji poświęconej kulturze dojrzał nazwisko Burrella. Czyżby artykuł o *Zdradzie*?

Świetnie! Poczul przypływ adrenaliny.

Starając się zachować neutralny wyraz twarzy, sięgnął po gazetę. Od razu w pierwszym akapicie trafił na nazwisko Joan Bateman. Serce niemal przestało mu bić.

- Nie - szepnął ochryple, odruchowo zaciskając pięści.

- Genialne posunięcie. - Stephen poklepał go po ramieniu. - Naprawdę genialne.

Anthony pokręcił głową.

- To nie ja...

Cholera jasna! Joan Bateman wywali go na zbity pysk.

Nie. Joan Bateman go zabije. Przez te wszystkie lata miała tylko jedną prośbę: żeby Anthony chronił jej tożsamość.

Stephen zmarszczył czoło.

- Nie ty udzieliłeś prasie informacji?
- Oczywiście, że nie - stwierdził podniesionym głosem Anthony.
- Może więc Joan?
- Na pewno nie. -I nagle Anthony doznał olśnienia: Clarista! Tak, musiała uzyskać dostęp do tajnych akt.
- W piątek zwolniłem Claristę. - Zaciskając powieki, potarł ręką brodę. - Psiakrew!
- Zwolniłeś? - Stephen uniósł krzaczaste brwi. - Za co?
- Za korzystanie z biurowego gońca do celów prywatnych.
- Nie wystarczyłoby upomnienie?
- W piątek miarka się przebrała - mruknął Anthony, pośpiesznie przebiegając wzrokiem artykuł.
- I myślisz, że...
- Jestem prawie pewien. Była wściekła; powtarzała, że tego pożałuję.
- Ja tam niczego nie żałuję - stwierdził Stephen.
- Uważam, że wyświadczyła nam ogromną przysługę.
- Mylisz się.
- Sprzedaż rośnie w zawrotnym tempie.
- Joan podziękuje mi za współpracę. Podziękuje całej naszej agencji.

Stephen ściągnął brwi.

- Nie możesz do tego dopuścić. Słyszysz, Anthony?
- Ja nie mam nad nią żadnej władzy.
- To ją zdobądź. Jedź do Indigo.

- Żeby mogła osobiście wyładować na mnie wściekłość?

- Żebyś oczarował ją swoją urodą i wdziękiem. - Stephen wyrwał gazetę z rąk podwładnego. - Nie jestem ślepy. Widzę, jak dziewczyny w biurze szaleją na twój widok.

- Nikt za nikim nie szaleje - burknął Anthony.

Poza Claristą, dodał w myślach. A jej, podejrzewał, było wszystko jedno, kogo poderwie.

- Masz to naprawić i już. - Ostry ton Stephena świadczył o tym, że żarty się skończyły. - Możesz ją uwodzić. Możesz z nią flirtować. Możesz się z nią przespać. Nie interesuje mnie, co zrobisz.

Patrząc w zimne stalowe oczy swego rozmówcy, Anthony uświadomił sobie, że nie przypadkiem Stephen Baker osiągnął tak wysoką pozycję w firmie.

- To jedna z tych sytuacji, Verdun. - W głosie wiceprezesa zabrzmiała nuta ostrzeżenia. - Albo na tej aferze zarobimy, albo staniemy się pośmiewiskiem. Wszystko zależy od ciebie.

Anthony skinął głową. Wiedział, czego szef po nim oczekuje: ma poruszyć niebo i ziemię, żeby Joan nie zerwała z agencją umowy.

Chociaż od dziesięciu lat mieszkała w Indigo, dla tubylców wciąż była obca. Na ogół jej to nie przeszkadzało, dziś jednak stanowiło problem.

W Bostonie bez trudu potrafiłaby osiągnąć upragniony cel. Znała ludzi, a do tych, których nie znała, wiedziałaby, jak dotrzeć. Batemanowie w każdej chwili mogli zadzwonić do senatora, wpłynąć na decyzję kongresmana, zasugerować wydawcy gazety, kiedy i dokąd należałoby wysłać reportera.

Ale w Indigo było inaczej. Tu nie miała żadnej rodziny, znajomości, wpływów. Musiała sobie radzić sama, nie zamierzała się jednak poddać. Uratuje to miasteczko!

Siedząc przy stole w jadalni w swoim małym kreolskim domku, dumiała nad listą gości na niedzielny podwieczorek. Koniecznie powinna zaprosić burmistrza, a także Yvonne Valois, elegancką starszą panią, z której zdaniem się liczono.

Teoretycznie wszyscy poparli plany mające na celu rozwój turystyki. Joan jednak wiedziała, że to nie do końca prawda. W miasteczku musi być więcej osób myślących tak jak ona. Grzechem byłoby niszczyć tak uroczy, spokojny zakątek! Postanowiła więc zaprosić do siebie przeciwników tego pomysłu i natchnąć ich odwagą do jawnego buntu.

Istniał tylko jeden problem: poruszała się po omacku. Nie miała pojęcia, ilu wpływowych mieszkańców sprzeciwia się rozwojowi turystyki, nie znała ich nazwisk, historii, a tym samym nie wiedziała, jakich użyć argumentów, aby ich zmotywować do działania.

Swoich- głównych oponentów znała: byli to Alain Boudreaux i Marjolaine Savoy. Alain, gorący zwolennik festiwalu, pochodził z rodziny, która dawno zapuściła w Indigo korzenie, w dodatku był szefem policji. Natomiast Marjo, właścicielka zakładu pogrzebowego, stała na czele-komitetu odbudowy opery - obiektu, który będzie przyciągał rzesze turystów i na remont którego władze miasta przeznaczyły już pewną kwotę.

Joan odgarnęła za uszy sięgające ramion włosy, po czym ułożyła przed sobą papeterię, otworzyła drewnianą kasetkę z piórami do kaligrafii i rozprostowała palce. Musi się udać! Wszystko starannie obmyśliła:

niedzielny podwieczorek, szampan, mus z łososia, kawior, dobrane grono wpływowych gości oraz interesująca rozmowa przetykana dyskretnymi aluzjami na temat charakteru miasteczka i sugestiami, dlaczego warto zachować jego spokój, czystość, sielskość.

Otworzyła buteleczkę atramentu, zanurzyła stalówkę i piśmieniem kaligraficznym zaczęła adresować kopertę. Zanim skończyła pierwszą, zadzwonił telefon. Nie zareagowała. Niech dzwoniący nagra się na sekretarkę.

W pokoju rozległ się znajomy głos.

- Joan? Tu Heather.

Joan nie przerwała pisania. Później oddzwoni do siostry.

- Musisz mi powiedzieć, czy to prawda. - Głos siostry podniósł się o oktawę.

Ręka Joan na moment zawisła bez ruchu, ona sama zaś obejrzała, się przez ramię.

- A jeśli prawda, to chciałabym wiedzieć, co ci strzeliło do łba? - ciągnęła Heather. - Zadzwonił, jak tylko wrócisz.

- Ciekawe, o co tym razem chodzi? - mruknęła Joan.

Siostra była wyraźnie przejęta, ale coś, co wprawiłoby Heather w stan wzburzenia, kogoś innego mogłoby wcale nie poruszyć. Pewnie firma cateringowa nie wywiązała się dobrze z zamówienia.

Joan wróciła do kaligrafowania, ale po chwili w ciszę znów wdarł się ostry terkot telefonu. No dobra. Dokończyła zdanie, wytarła pióro i wstała. Zbliżała się do telefonu, kiedy włączyła się sekretarka.

- Joan?

Akurat sięgała po słuchawkę, gdy usłyszała obcy męski głos. Szybko cofnęła rękę.

- Mówi Alain Boudreaux.

Alain Boudreaux? Szef policji? Nigdy dotąd do niej nie dzwonił. Czyżby dowiedział się, że próbuje skrzyknąć grupę ludzi przeciwnych festiwalowi?

- Byłbym wdzięczny za telefon.

Serce zabiło jej mocniej. Zaczęła się zastanawiać, z kim rozmawiała w ciągu ostatniego tygodnia. Wprawdzie nie kryła, co myśli o potencjalnym napływie turystów do Indigo, ale z drugiej strony zachowywała się dość wstrzemięźliwie, nie agitowała, nie namawiała do protestów.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Podskoczyła. Czyżby Boudreaux? Dotarłby tak szybko? Otworzyć czy udawać, że nikogo nie ma w domu, i wymknąć się tylnymi drzwiami?

Człowiek, który stał na ganku, ponownie załomotał.

Ciekawość zwyciężyła. Podeszedłszy na palcach do okienka z matową szybą, Joan wyjrzała na dwór.

Zobaczyła niewyraźną postać. Chyba Anthony. Ale, na miłość boską, co on robi w Indigo?

- Joan?

- Anthony?

Mrużąc oczy, popatrzył na twarz za szybą.

- Wpuść mnie, Joan.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Jesteś zła?

- Nie.

Nie czuła złości, była tylko zaskoczona i lekko zderwowana. A może to wszystko to jakiś dziwny sen?

Anthony nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Nic

dziwnego; w Indigo mało kto używał zamków. Właśnie dlatego Joan nie podobał się pomysł festiwalu muzycznego i renowacji budynku opery; chciała, by miasteczko zachowało swój niegdysiejszy charakter.

W progu stał przystojny, świetnie zbudowany mężczyzna o błękitnych oczach i gęstych jasnych włosach, w doskonale skrojonym garniturze. Jak zawsze na widok Anthony'ego zaparło jej dech w piersiach.

Nie ona jedna tak na niego reagowała. Wiedziała, że inne kobiety również nie mogą oderwać od niego wzroku; od lat obserwowała ich zachowanie.

- Co tu robisz? - zapytała, starając się ukryć podniecenie. - Są jakieś kłopoty ze *Zdradą*?

Przyglądając się uważnie Joan, Anthony zamknął drzwi i wszedł do holu.

- Nie, nie ma żadnych kłopotów. Książka znakomicie się sprzedaje.

- To dobrze.

Popatrzył w głąb mieszkania. Joan powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Właśnie pisałam zaproszenia - wyjaśniła.

- Przeszkadzam ci...

Potrząsnęła głową.

- Nie szkodzi. Może masz ochotę na...

Ponownie rozległ się terkot telefonu. Anthony podskoczył.

- Nie odbieraj!

- Nie miałam zamiaru.

Zanim zdążyła się włączyć automatyczna sekretarka, Anthony odłączył ją od aparatu.

Joan wytrzeszczyła oczy.

- Co ty wyprawiasz?

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

Chyba jednak przeczucie jej nie myli, chyba jednak to jest sen. Przez moment tkwiła bez ruchu, czekając, aż się obudzi.

- Coś się stało - powiedział cicho Anthony.

Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową.

- Joan?

Otworzyła jedno oko.

- Wciąż tu jesteś.

Zdezorientowany zmarszczył czoło, a ona zerknęła na swoją białą bluzkę i płócienne spodnie.

- I ja tu jestem.

Podszedł krok w jej stronę i wyciągnął rękę.

- Joan?

Poczuła korzenny zapach wody kolońskiej. Hm, mogłaby wspiąć się na palce i pocałować Anthony'ego w usta. Od lat o tym marzyła.

- Musimy porozmawiać - powtórzył.

- W porządku. - Otrząsnęła się.

A więc to nie jest sen. We śnie przemawiałby do niej inaczej, bardziej zmysłowym głosem. No i nie miałyby tak poważnej miny.

- Możemy usiąść?

Hm, może jednak jest niezadowolony z wyników sprzedaży? Może nie chce dłużej być jej agentem literackim? Słyszała, że wydawnictwa przeżywają trudny okres, zmniejszają produkcję, zrywają umowy z niektórymi pisarzami.

- O co chodzi?

Pocierając brodę, wziął głęboki oddech.

- No więc... sprawa wygląda tak...

Joan czekała, ale po chwili straciła cierpliwość.

- Mów. Nawet jeśli to zła wiadomość.

Przecież sobie poradzi. Potrafi zachować zimną krew, nie ulegać emocjom. Matka uczyła ją tego od najmłodszych lat.

- Mamy przeciek.

- Przeciek? - Zadarłszy głowę, popatrzyła na sufit.

- Gdzie? Tu?

- Mam na myśli innego rodzaju przeciek - przyznał smętnie Anthony. - Przeciek informacji.

W dalszym ciągu nic nie rozumiała.

- Informacji?

- Na twój temat. Na temat twojej tożsamości.

- Boże, nie... - szepnęła, potrząsając głową, jakby nie chciała dopuścić do siebie takiej możliwości. Przypomniała sobie słowa siostry: „Co ci strzeliło do łba?”.

W tym momencie sama nie umiałaby powiedzieć, co jej strzeliło do łba. Zaufała Anthony'emu. Uwierzyła, kiedy obiecał, że nikomu nie ujawni jej tajemnicy.

Stał stropiony, a ona patrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Jak mógł ją zdradzić? W dodatku po tylu latach współpracy?

- Dlaczego? Jak mogłeś?

- To nie ja! - zaprotestował przerażony, że taka myśl w ogóle powstała w jej głowie.

- A kto?

Milczał.

- Kto jeszcze wiedział?

- Istnieje teczka z poufnymi informacjami...

- Teczka? To ty wszystko zapisałeś?

Nazwisko, adres, tytuły, konta, fundusze... Wprost nie mogła w to uwierzyć.

Nerwowym ruchem przecesał ręką włosy.

- Joan, tak strasznie mi przykro...

Miała ochotę krzyżeć, wrzeszczeć, zrobić dziką awanturę. Ale wiedziała, że niczego to nie zmieni.

Najwyższym wysiłkiem woli powściągnęła furię. Należy się skupić, zastanowić, co dalej. Przecież musi być jakieś wyjście.

- Kto jeszcze wie? - zapytała.

Sądząc po wcześniejszym telefonie od siostry, wie Heather. Oraz Anthony. Dwóch prawników w Atlancie. I osoba z dostępem do poufnych akt.

Anthony wbił wzrok w podłogę.

- Kto jeszcze? - powtórzyła Joan. Mając pełną wiedzę, łatwiej jej będzie zaradzić sytuacji.

Anthony podniósł spojrzenie i westchnął ciężko.

- Czytelnicy „New York Timesa”.

- Chcesz powiedzieć...

- Tak, informacja pojawiła się w gazecie. Wczoraj. Nie! Nie! Nie!

- Dziś rano podało ją również CNN.

Świat zawirował jej przed oczami.

- Robi mi się słabo.

Anthony zacisnął ręce na jej ramionach.

- Weź głęboki oddech.

- To nie pomoże - załkała. Nie spowoduje amnezji u czytelników „Timesa” i widzów CNN.

Psiakrew! Sama jest wszystkiemu winna. Straciła czujność. Uważała, że po dziesięciu latach nic nie może się zdarzyć; że prawda ukryta za wzniesionym przez Anthony'ego murem nigdy nie wyjdzie na jaw.

I dlatego w *Zdradzie na bagnach* puściła wodze fantazji. Przestała stosować autocenzurę.

- Boże, tam jest perwersyjna scena łożkowa. Facet przywiązuje kobietę do łożka...

- To czarny charakter.

- Moja mama o tym przeczyta. Moja babcia przeczyta...

- Przecież to fikcja.

Serce waliło jej jak młotem.

- Pomyśl sobie, że...

- Ze jesteś bardzo utalentowaną pisarką.

- Że jestem beztalenciem, na dodatek pozbawionym wszelkich zasad moralnych.

- Obchodzi cię, co oni myślą?

- To moja rodzina.

- Więc powinna być z ciebie dumna.

- Nie znasz Batemanów.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Nie - mruknęła. - Już nigdy nie będzie dobrze.

- Joan...

Miała wrażenie, że głos Anthony'ego dochodzi z bardzo daleka.

- Joan, nie martw się. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego słów. No jasne! Już on się o to postara! Udawał zasmuconego, podejrzewała jednak, że mimo współczującej miny jest zachwycony tym wydarzeniem. Od lat błagał ją, aby udzieliła paru wywiadów albo spotkała się z czytelnikami. To by zwiększyło sprzedaż, tłumaczył.

- Ten przeciek... to na pewno nie twoja robota?

- Nie żartuj! - zawołał z oburzeniem.

- Bo przyszło mi do głowy, że on ci jest całkiem na rękę. Powinieneś się cieszyć.

- Ale się nie cieszę.

Czy mu uwierzyła? Czy jest na tyle głupia i naiwna, aby mu znów zaufać? Prawdę mówiąc, nie miało to teraz większego znaczenia. Szkoda została wyrządzona. Rodzina ją wyklnie, Anthony wróci do Nowego Jorku, a ona dalej będzie mieszkać w Indigo.

I dlatego musi walczyć o to, żeby miasteczko pozostało enklawą ciszy i spokoju. Wzięła głęboki oddech. Trzeba przystąpić do działania.

Podeszła do stołu, usiadła i sięgnęła po pióro.

- Joan? - dobiegł ją głos Anthony'ego.

- Jestem zajęta. - Starannie wykaligrafowała pierwszą literę nazwiska. - Ale dziękuję, że mnie odwiedziłeś.

Anthony zamilkł.

Skupiona skończyła pisać nazwisko i przystąpiła do pisania zaproszenia.

- Jeśli chodzi o nową książkę... - Zanurzyła stalówkę w buteleczce z atramentem. - Wiem, że to dla ciebie kłopot, ale potrzebuję jeszcze dwóch tygodni do namysłu. Na razie nie umiem podać terminu, nawet w przybliżeniu.

Między jedną książką a drugą zawsze robiła porządki, malowała okiennice, tapetowała ściany. Sprzątanie ma terapeutyczną moc. Lubiła czyścić teren wokół siebie, pozbywać się napięcia i bałaganu.

W tej chwili czuła się bardzo zestresowana, przytłoczona nadmiarem złych emocji.

- Joan. - Anthony podszedł bliżej. Jego zapach wdarł się w jej prywatną przestrzeń.

- Wszystkiemu winien jest festiwal muzyczny.

- Festiwal?

Nie przerywając pisania, skinęła głową.

- Za bardzo mnie pochłania. Bez przerwy o nim myślę i dlatego nie potrafię się skupić na nowej powieści.

Ostry dzwonek telefonu sprawił, że Joan podskoczyła. Na kopercie powstała długa czarna kreska.

Anthony w dwóch susach znalazł się przy aparacie i wyjął wtyczkę z gniazdka.

- Przyjechałem, żeby ci pomóc.
- Umiesz kaligrafować? - zdziwiła się.
- Nie udawaj, że nic się nie dzieje.
- A co się dzieje?
- Ujawniono twoją tożsamość.
- No tak, faktycznie. Dzięki za uświadomienie mi tego, bo oczywiście sama nigdy bym na to nie wpadła.

Odłożyła pióro i wzięła długopis. Anthony wyciągnął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- Musimy opracować strategię. Obmyślić plan.
- Ja nie muszę. Wiem, co mam robić.
- Tak?
- Adresować koperty z zaproszeniem.
- Na promocję książki?
- Na niedzielny podwieczorek.
- Nie rozumiem...

Odłożyła kopertę, żeby atrament wysechł.

- Niektórym ludziom w Indigo zależy na rozwoju turystyki.

Anthony z trudem powstrzymał pytania, które cisnęły mu się na usta.

- Moim zdaniem to zły pomysł - ciągnęła Joan.
- Wiesz, dlaczego? Bo cały urok tego miasteczka polega na cudownej ciszy, na spokoju, jaki tu panuje, na poczuciu wspólnoty, na braku pośpiechu. Tu każdy jest

kimś. Ale to wszystko przestanie istnieć, kiedy pojawią się tłumy wążających się turystów.

- Więc organizujesz podwieczorek.
- No właśnie.
- Nie podążam za tokiem twojego rozumowania.
- Dlatego że jestem artystką, a ty prawnikiem.
- Aha. - W dalszym ciągu nic nie pojmował.

Joan westchnęła głośno.

- Wydaję podwieczorek. Zapraszam wpływowych obywateli miasta. Przemawiam im do rozsądku, tłumaczę, dlaczego festiwal muzyczny, remont opery i najazd turystów zburzy nasz styl życia. Oni się ze mną zgadzają i Indigo pozostaje uroczym miasteczkiem, takim, jakim zawsze było.

Miała nadzieję, że kiedyś rodzina zaakceptuje jej wybór. A może nie zaakceptuje. Kto wie?

- A jak twoi czytelnicy zaczną tutaj ściągać? - spytał Anthdny.

- Rany boskie, po co mieliby przyjeżdżać do Indigo? Kiedy nie otrzymała odpowiedzi, podniosła głowę.

- Żeby spotkać się z tobą, Joan - odparł.

To jakiś absurd, pomyślała. Nie jest żadną gwiazdą filmową. Pisze książki. Pisarze nikogo nie interesują.

Jej problemem są rodzice i ich reakcja na pikantną erotykę w książkach, które ona pisze. Ręka jej drgnęła. Psiakrew, kolejna koperta do wyrzucenia!

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie zamierzał pozwolić, by Joan ganiała po miasteczku, roznosząc zaproszenia na jakiś podwieczorek. To absolutnie nie wchodzi w grę. Musi siedzieć w domu i nie wychylać nosa za drzwi, dopóki nie poznają reakcji prasy na temat najnowszych rewelacji. Oczywiście nie chodzi o to, by całkiem unikać dziennikarzy. Po prostu sam chciał zdecydować o tym, kiedy i z kim Joan powinna się spotkać.

- Ja je dostarczę - rzekł, wyciągając rękę po stos, który trzymała w dłoni. Wprawdzie wolałby nie zostawić jej samej w domu, ale z dwojga złego...

Cofnąwszy się parę kroków, wskazała okno.

- Co? Widzisz czekający pod domem tłum?

- Nie, ale to nie znaczy, że tabuny dziennikarzy i wielbicieli już tu nie zjechały.

Potrząsnęła głową.

- Idę na górę się przebrać. Potem osobiście wręczę adresatom zaproszenia.

- Joan, nie uciekniesz od problemu.

- Przestań panikować.

- Ja nie panikuję.

Po prostu starał się postępować odpowiedzialnie, tak by zapewnić Joan bezpieczeństwo i zachować kontrolę nad sytuacją. Nie chciał, by zaatakował ją jakiś agresyw-

ny dziennikarz lub tubylec z aparatem, liczący na to, że dostanie parę tysięcy od brukowca „National Inquisitor”.

- To idę się przebrać - rzuciła przez ramię, kierując się ku schodom.

- A ja zaryglować drzwi! - zawołał za nią.

- Nie możesz mnie tu więzić. - Na schodach rozległ się odgłos kroków.

- Chcesz się założyć?

W sumie cieszył się, że Joan nie odczuwa strachu przed mediami. Świadczyłoby to o jej odwadze i pewności siebie. Kto wie, może zgodzi się na wywiad w telewizji?

Pomysł ten mu się spodobał. Wystarczy wszystko sprytnie zaaranżować, wybrać odpowiednią stację i prowadzącego... Dobrze pomyślana reklama ma ogromny wpływ na sprzedaż. Słyszał, że wydawnictwo Pellegni ma zamiar zrobić dodruk. I to niejednen...

Wyciągnął z kieszeni palmtopa i odszukał księgarnie internetowe. Wędrował kursorem po ekranie, gdy wtem ktoś zapukał do drzwi.

Anthony zerknął na schody; upewniwszy się, że w polu widzenia nie ma Joan, schował palmtopa, skierował się do niedużego holu i otworzył drzwi.

W progu stała blondynka o wyniosłym spojrzeniu, ubrana w elegancki różowy kostium; z jej uszu zwisały długie kolczyki, a na opalonym dekolcie połyskiwał imponujący brylantowy naszyjnik.

- Czym mogę służyć? - spytał Anthony, ogarniając wzrokiem starannie wykonane pasemka oraz piękny makijaż.

- A pan kim jest? - Kobieta zmierzyła go wzrokiem.

- Nie pani interes - odparł chłodno.

- Gdzie Joan?
- To także nie pani interes.

Z pewnością ta kobieta nie jest dziennikarką. Podejrzewał, że również nie jest mieszkanką Indigo. Czyżby wielbicielka? Ciekawe...

- Chce pan, żebyśmy wezwała policję?
- Proszę bardzo - odrzekł bez zmrużenia oka. Nie sięgnęła do torebki po komórkę, więc domyślił się, że blefuje.

- Joan! - zawołała, nie zwracając uwagi na męczyznę blokującego wejście.

Na schodach zadudniły kroki.

- Heather? - zdumiała się Joan.
- Tak, to ja. - Kobieta przesunęła się nieco w bok, żeby zajrzeć w głąb mieszkania. - Kim jest ten imbecyl?

- Anthony? - Joan podbiegła do drzwi. - Na miłość boską, co robisz?

- Znasz tę kobietę? - spytał, wskazując na blondynkę.
- Oczywiście. To moja siostra.
- Siostra?

Heather popatrzył na niego, jakby był rozdeptaną na chodniku gumą do żucia.

No pięknie, pomyślał. Jak dzień zacznie się od niepowodzenia, to potem tych niepowodzeń końca nie widać.

Heather poprawiła żakiet, po czym strzepnęła pyłek z rękawa.

- A to Anthony Verdun - oznajmiła Joan.
- Twój facet? - Heather ponownie zmierzyła go wzrokiem i najwyraźniej doszła do takich samych niepochlebnych wniosków, co przed chwilą, bo ponownie się skrzywiła.

- Mój agent.
- Agent? Czyli ktoś w rodzaju prawnika?

Zamknawszy drzwi, Anthony wyjrzał przez okno, sprawdzając, czy w hortensjach przypadkiem ktoś się nie ukrywa.

- Owszem, Anthony jest prawnikiem, ale jest także ugentem literackim - wyjaśniła Joan. - Zajmuje się sprzedażą praw do moich książek.

Heather obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

- Więc to on.

- Heather...

- Wiedziałaam, że to jakiś podejrzany typ. - Kobieta, całkiem zdegustowana, pokręciła głową i ponownie zwróciła się do siostry: - Jak cię do tego namówił?

Joan uśmiechnęła się szelmowsko.

- Wiesz, na jakiej zasadzie funkcjonują sekty: tak długo karmią cię czekoladkami i powtarzają tajemne zaklęcia, aż ci wodę z mózgu zrobią.

- Nie sądzi pani, że siostrze należą się gratulacje?
- spytał Anthony, patrząc na Heather, która coraz bardziej działała mu na nerwy.

- Gratulacje? - Blondynka uniosła idealnie wydepilowane brwi.

- Lada moment książka Joan trafi na listę bestsellerów.

- Na listę czytadeł.

Joan przełknęła ślinę, Anthony zazgrzytał zębami. Nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek, nawet ukochana siostra, obrażała jego klientkę. Gdyby Heather była facetem, rozkwaśliłby jej nos. Ale ponieważ jest kobietą, otworzył szeroko drzwi.

- Proszę stąd wyjść.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- Proszę wyjść - powtórzył.
- Ty podły krwio pijco! Ty cwaniaczku!
- Przestańcie! - zawołała Joan, przyciskając palce do skroni. - Mam pilniejsze sprawy na głowie.
- Nie wątpię - mruknęła Heather.
- Muszę roznieść zaproszenia.
- Wykluczone! Nawet o tym nie myśl - powiedział Anthony, zatraskując z powrotem drzwi.
- Cholera jasna, za kogo on się uważa? - Heather zwróciła się do siostry.
- Najwyraźniej za mojego strażnika.
- Próbuję nad tym wszystkim zapanować - rzekł Anthony, ale nikt go nie słuchał.
- Mam zadzwonić na policję? - kontynuowała Heather. - Albo mogłabym poprosić tatusia, żeby...
- Nie, kochanie - zaproponowała Joan. - Anthony jest w porządku.

W porządku? Poczł się zawiedziony. Wziął głębski oddech, nakazując sobie spokój. W sprawach zawodowych emocje trzeba trzymać na wodzy. W tym momencie najważniejsza jest kariera Joan, a nie jego urażona duma.

- Joan, musimy usiąść i porozmawiać o tym, jak najlepiej stawić czoło problemom.

- Powinnyśmy wyjechać do Europy - wtrąciła Heather. - Mama z ojcem...

- Oni wiedzą? - spytała Joan.

- Umieją czytać. A nawet gdyby nie umieli, to przyjaciele o wszystkim by ich powiadomili.

Chwyciwszy się za brzuch, Joan jęknęła.

- Sytuacja jest dostatecznie skomplikowana. Nie komplikuj jej jeszcze bardziej - warknął Anthony.

- Kto? Ja komplikuję? - zdumiała się Heather. - To ty ją w to wszystko wpakowałeś!

- Tak sądzisz? Może gdyby bliscy ją kochali i szanowali jej decyzje, nie musiałaby przez dziesięć lat ukrywać przed nimi prawdy o swojej karierze.

Heather zjeżyła się.

- Jakim prawem twierdzisz, że jej nie kochamy?

- Jakim prawem sugerujesz, że kieruje mną co innego niż troska o jej interesy?

- Aha! Więc reprezentujesz Joan za darmo? Nie odnosisz żadnych korzyści finansowych?

Anthony milczał. Po prostu żadna stosowna riposta nie przyszła mu na myśl.

Podnosząc głowę, Heather wyciągnęła ręce do siostry.

- Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. Na lotnisku w St. Martinville czeka samolot.

- Nigdzie nie jadę - sprzeciwiła się Joan. - Idę roznieść zaproszenia.

Anthony westchnął ciężko.

- Znów do tego wracamy? Dlaczego koniecznie chcesz wyjść z domu?

Uśmiechnęła się słodko.

- Ty nic nie rozumiesz.

Zbliżywszy się krok, popatrzył jej głęboko w oczy.

- Tam mogą być tabuny dziennikarzy, którzy ukryci za drzwiami czekają, aż się pojawisz.

- Chyba zwariowałeś - odparła niezrażona.

- Joan, pisano o tobie w „New York Timesie”. Jesteś w centrum zainteresowania. Autorzy marzą o takiej reklamie.

Ciszę przerwała Heather.

Akurat w tej kwestii zgadzam się z Anthonym.

- Serio?
- Nie zrozum mnie źle. Nadal zabieram ją z sobą do Europy.
- Nikt mnie nigdzie nie zabiera - zirytowała się Joan.
- Sama o sobie decyduję.
- Dzielna dziewczynka - pochwalił ją Anthony. Uważał, że powinna zostać w Stanach i maksymalnie wykorzystać okazję; druga może się nie nadarzyć.
- A w niedzielę wydaję podwieczorek. - Zerknęła na siostrę. - Upieczesz te swoje babeczki z krabami?
- Joan, jutro możemy zjeść śniadanie w Paryżu.
- Daj, rozniosę te cholerne zaproszenia. - Anthony wyrwał z ręki Joan plik kopert.

Nie potrafił wałczyć na kilku frontach na raz. Musi zniweczyć plany wyjazdowe Heather.

Kiedy adresaci otrzymają zaproszenia, Joan na pewno nie poleci do Europy. Oczywiście wolał, by wybrała się z nim do Nowego Jorku, ale Indigo jest daleko lepsze niż Paryż.

Joan i Heather obserwowały przez okno, jak czarny sportowy samochód skręca w Amelie Lane.

- Sypiacie ze sobą? - spytała Heather, opuszczając zasłoner

- Nie, nie sypiamy.
- Naprawdę? - Heather uniosła brwi, wyrażając niedowierzanie. Jako nastolatka opanowała ten gest do perfekcji.

Joan ogarnęły wyrzuty sumienia, choć przecież nie skłamała: nie łączy ją z Anthonym nic poza sprawami zawodowymi.

- On mieszka w Nowym Jorku, jaw Luizjanie. Rzadko się widzimy.

- Szkoda. - Heather odgarnęła kosmyk za uszy.
- W sumie facet jest piekielnie przystojny. Tylko to jego zadęcie...

Joan nie zamierzała się spierać. Bo Anthony faktycznie jest przystojny. I stanowczy.

- Jak zareagowali rodzice? - spytała, zmieniając temat. Wolała nie zastanawiać się nad tym, co czuje do Anthony'ego.

- Są pewni, że to pomyłka. Że zaszło jakieś nieporozumienie.

Joan odsunęła się od okna i przeszła na środek zagraconego, pełnego jaskrawych barw salonu.

- No tak, mogłam się tego spodziewać.

Heather usiadła w wiklinowym fotelu i założyła nogę na nogę. Joan uwielbiała w nim odpoczywać. Fotel stał przodem do ogromnego okna, z którego rozciągał się widok na trawnik, na rosnące wkoło cyprysy, a dalej na bagna i malutkie drewniane moło.

- Dlaczego przestałaś pisać książki historyczne? Co się stało, Joanie?

Joan spoczęła na sofie naprzeciwko siostry.

- Brian umarł - odparła cicho. Brian był jej zmarłym przed dziesięciu laty mężem.

Heather popatrzyła na nią pytająco.

- Pisał kryminał - kontynuowała Joan. - W połowie książki umarł. Postanowiłam ją dokończyć. Dla niego.

- Uśmiechnęła się. - Sprawilo mi to przyjemność.

- Więc wymyśliłaś sobie pseudonim...

- I zabrałam się do kolejnej. - Rozłożyła bezradnie ręce. - A teraz prawda wyszła na jaw.

- A gdybyś zaprzeczyła? .

- To byłoby kłamstwo.

Heather ponownie uniosła brwi.

- Co z tego?

- Pomijając kwestie etyczne, prędzej czy później wszystko by się wydało.

- Tak się zastanawiam... Jakim cudem udało ci się tyle lat utrzymać tajemnicę? Przecież dostajesz honorarium...

- Pieniądze przechodzą przez Zurych i wpływają na specjalne anonimowe konto.

- Sprytnie. - Heather pokiwała z uznaniem głową.

- To był pomysł Anthony'ego.

- Tata mógłby zatrzeć po tobie ślady.

Jasne, tylko tego brakowało. Wciągnąć we wszystko ojca.

- Napijesz się czegoś?

- Masz składniki na cosmopolitana?

- Sprawdzę.

Joan dźwignęła się z sofy. Wolała wino niż koktajle, ale często przyjmowała gości, więc na ogół barek miała nieźle zaopatrzone. Heather wdzięcznym ruchem wstała z fotela i ruszyła za siostrą do kuchni.

- Nie rozumiem tego, Joanie.

Joan wyjęła z lodówki sok cytrynowy i żurawinowy. Obie butelki postawiła na blacie oddzielającym kuchnię od jadalni.

- Powieści kryminalne są o wiele zabawniejsze od historycznych.

- Chciałaś być sławna? Bogata?

- Skądże. Po prostu świetnie się bawiłam, wymyślając fabułę. Pomyślałam sobie: co mi szkodzi? Gdyby chodziło o sławę, nie ukrywałabym się pod pseudonimem. I to przez dziesięć lat.

- To mnie najbardziej zdumiewa. Dziesięć lat!

Joan wyjęła z zamrażarki kilka kostek lodu i wrzuciła je do shakera.

- To *Zdrada na bagnach* nie jest twoją pierwszą ani drugą książką?

- Jest dwunastą. A kolejna czeka na redakcję.

Heather westchnęła głośno.

- No co? - Joan zerknęła na siostrę.

- Tata wpadnie w szal.

Joan sięgnęła po butelkę absolutu.

- Uważasz, że po jednej by nie wpadł?

- Też by wpadł, ale teraz wpadnie w większy.

Wyobraziwszy sobie wściekłość ojca, Joan poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Po chwili wahania wlała do shakera dodatkową porcję wódki.

Heather przysiadła na wysokim stołku barowym i długim, pomalowanym na czerwono paznokciem zaczęła bębnić o drewniany blat.

- Słuchaj, a czy musiałaś publikować kryminały?

- Po to się pisze książki. Żeby je wydawać.

- Przecież nie potrzebowałaś pieniędzy.

Joan pogrążyła się w zadumie. Pewnie, mogła pisać do szuflady. Ale to nie byłoby to samo. Chociaż starała się chronić swoją prywatność, uwielbiała czytać recenzje w gazetach oraz uwagi czytelników zamieszczane w sieci na nieoficjalnej stronie Julesa Burrella. Świadomość, że jej słowa są czytane przez tak wielu ludzi w różnych częściach świata, sprawiała jej ogromną satysfakcję.

- Joan?

- Książka wydana to zupełnie co innego niż maszynopis wepchnięty do szuflady.

- Masz rację. - Heather roześmiała się cierpko. - Maszynopisu nie przeczytaliby przyjaciele rodziców, nie zaczęliby kwestionować ich zdolności wychowawczych.

Ciarki przeszły Joan po plecach. Psiakrew, nie chciała nikogo krzywdzić, zwłaszcza najbliższych. Wiedziała, że Batemanowie cenią literaturę popularną na równi z zapasami w błocie.

- Myślisz, że tata czytał *Zdradę*? - zapytała, energicznie potrząsając shakerem.

- Nie. - Heather pokręciła głową.

- A ty?

- Ja? Zaraz po tym, jak zobaczyłam artykuł w „Time-sie”, wsiadłam w samolot i przyleciałam do ciebie.

Joan przelała zawartość shakera do dwóch wysokich kieliszków. A może, pomyślała, rodzice byliby mile zaskoczeni jej książkami? Ona sama odczuwała dumę.

- Mogę ci dać egzemplarz. Nie ciekawi cię, co napisałam?

Przez moment Heather w milczeniu wpatrywała się w kieliszek.

- Prawdę mówiąc, boję się.

- Czego?

- Że to okaże się jeszcze gorsze, niż mi się wydaje.

Joan zaboląły słowa siostry.

- W piątek wybieram się na koncert orkiestry smyczkowej z Heidelbergu - ciągnęła Heather, jak gdyby nigdy nic. - Z Jeffireyem Plantem. Nie chcę ani jemu, a tym bardziej jego matce, tłumaczyć się z twojej twórczości.

Joan poczuła kolejne, jeszcze boleśniejsze ukłucie.

- Tak? - Pociągnęła łyk koktajlu. - Powiedz im, że na stronie dwudziestej drugiej jest perwersyjna scena erotyczna. Kajdanki, te rzeczy...

Heather znieruchomiała. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- To nie jest śmieszne, Joan.
- Nie taki był mój zamiar. Pozdrów ode mnie Monicę Plant.

Heather, która z wykształcenia była skrzypaczką, zawsze wysoko ceniła przyjaźnie z przedstawicielami środowiska muzycznego.

- Czyś ty kompletnie oszalała?

Joan wzruszyła ramionami. Pewnie oszalała. Rodzice nie darują jej tego, jak nisko upadła. Nawet im się zbytnio nie dziwiła.

Zdrada na bagnach to porywająca książka, w której mnóstwo się dzieje. Nie zawiera żadnego przesłania, nie ma żadnych intelektualnych wartości. Po prostu stanowi znakomite czytadło.

Obie kobiety w milczeniu opróżniały kieliszki, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Heather chwyciła nad blatem rękę siostry.

- Może powinniśmy się ukryć? - spytała teatralnym szeptem.

- To pewnie Anthony.
- On by pukał?

Joan odstawiła z hukiem kieliszek.

- Oczywiście. Mówiłam ci, że widzimy się raz, góra dwa razy w roku. - Ruszyła do drzwi.

- Bądź ostrożna. - Heather podreptała za siostrą do holu. - Może to dziennikarze? Masz wystarczająco dużo problemów...

Joan wytrzeszczyła oczy.

- Dziennikarze? Chryste, zaczynasz gadać jak Anthony. - Na wszelki wypadek wyjrzała na dwór.

Nie, to nie Anthony. I nie dziennikarze.

Za drzwiami stał Samuel Kane. Na jego widok zrobiło jej się słabo. Powinna była o nim pomyśleć, gdy tylko prawda dotycząca jej tożsamości wyszła na jaw.

W przeszłości pilnowała się, aby nie pisać o rzeczywistych ludziach lub autentycznych wydarzeniach. Owszem, akcje jej powieści toczyły się w Luizjanie, a miasteczka, w których żyli bohaterowie, były podobne do Indigo, ale cała reszta stanowiła wytwór fantazji.

Aż do ostatniej książki.

Pomysł do *Zdrady na bagnach* podsunęła jej głośna sprawa śmierci rodziców Samuela Kane'a.

- Kto to? - szepnęła jej do ucha Heather.

Zebrawszy się na odwagę, Joan otworzyła drzwi.

- Panna Bateman? - spytał niskim melodyjnym głosem Samuel Kane, kiwając głową na powitanie.

Był to potężnie zbudowany mężczyzna o krótko przystrzyżonych, czarnych włosach, blisko osadzonych oczach i szerokim nosie, który wyglądał jak złamany. Skórę miał śniadą, o miedzianym odcieniu; częściowo brało się to stąd, że jako stolarz spędzał mnóstwo czasu na słońcu, a częściowo stąd, że w jego żyłach płynęła mieszana krew.

Joan widywała Samuela w kościele, niekiedy mijała go na ulicy, ale nigdy dotąd nie zamieniła z nim słowa. Z miejsca więc domyśliła się, jaki jest powód jego dzisiejszej wizyty: najwyraźniej przeczytał *Zdradę*, uwierzył w to, co napisała, i odkrywszy, kim jest autorka, postanowił odbyć z nią rozmowę.

- Pan Kane... - W ustach jej zaschło; z trudem przełknęła ślinę.

- Kto to? - dopytywała Heather.

- Chyba pani wie, dlaczego przyszedłem?

Heather wepchnęła się pomiędzy siostrę a nieznanego.

- Ale ja nie wiem - warknęła.

- Heather - powiedziała ostrzegawczym tonem Joan i otworzyła szerzej drzwi. - Proszę, niech pan wejdzie.

- Chcesz go wpuścić? - Heather patrzyła zdumiona to na siostrę, to na gościa.

- Owszem, panna Bateman chce mnie wpuścić.

Heather zmierzyła go od stóp do głów.

- Joan, myślisz, że to dobry pomysł?

- A co, boi się pani, że ukradnę srebrne sztućce?

- spytał ironicznie Samuel Kane.

Heather skrzyżowała ręce na piersi.

- Boję się, że jest pan dziennikarzem z któregoś z tych szmatławców.

Mężczyzna łypnął na nią groźnie. Kiedy nie zareagowała, zwrócił się do gospodyni:

- Muszę wiedzieć, czy to prawda.

- Niech pan wejdzie.

- Joanie!

- Heather, odczep się!

Heather zmrzyła oczy, po chwili jednak posłusznie cofnęła się, robiąc gościowi przejście. Ten postąpił krok do przodu, odruchowo schylając się, by nie zahaczyć głową o framugę. Joan zamknęła za nim drzwi.

- Prawda - oznajmiła, czekając na atak Samuela.

Mężczyzna wstrzymał oddech, po czym zamrugał nerwowo oczami.

- Ma pani dowody?

- Dowody? - Co za dziwne pytanie, pomyślała.

- No tak. Na niewinność mojego ojca.

W tym momencie wszystko stało się jasne. Kolana się

pod nią ugięły. W *Zdradzie* to nie ojciec Samuela morduje żonę, a potem odbiera sobie życie. W książce jest wrobiony w to zabójstwo, a potem sam zostaje zamordowany przez bezwzględnych bandytów, którzy chcą się dostać do setek tysięcy dolarów zamurowanych w ścianach domu.

Samuel uwierzył, że wszystko, co wyszło spod jej pióra, jest prawdą. Nieświadomie wzbudziła w nim nadzieję na odmianę losu.

- Moja książka to fikcja. - Zobaczyła, jak mężczyzna zaciska pięści. - Wytwór fantazji - dodała gwoli jasności i cofnęła się krok. Może Heather miała rację, że nie należało go wpuszczać?

W tym momencie drzwi się otworzyły i do mieszkania wpadł Anthony. Stał jak wryty, spoglądając kolejno na dwie kobiety i olbrzyma.

- Co tu się dzieje?

Samuel zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważył przybycia Anthony'ego.

- W tej książce opowiada pani o moich rodzicach.

- Zaraz, zaraz! - Anthony wsunął się pomiędzy Samuela a Joan. - Nie będziemy komentować żadnych oskarżeń.

- To prawda - przyznała Joan.

Anthony posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- To znaczy, fabuła jest oparta na prawdziwym wydarzeniu, na śmierci pana rodziców - ciągnęła, wychylając się zza szerokich ramion agenta.

- Joan - mruknął ten przez zęby.

- Ale reszta to moje spekulacje.

Anthony potwierdził skinieniem głowy.

- No widzi pan? To spekulacje autorki. Wytwór wyobraźni.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Joan, przesuwając się nieco w bok, tak by widzieć Samuela.

Żałowała, że nie może dostarczyć mu żadnych dowodów na poparcie hipotezy, którą sobie wymyślił. Wiedziała, że podczas prowadzonego przed laty dochodzenia powtarzał bez przerwy, że ojciec nie zabił swojej żony, a jego matki. Ale nikt nie słuchał wyjaśnień nastolatka. A dowody zebrane przez policję wyglądały bardzo przekonująco.

Szkoda. Wolałaby, żeby to Samuel miał rację.

- Nie przeglądała pani akt sprawy? - spytał. - Dokumentów, zeznań, stenogramów? Nie znalazła pani żadnych błędów lub nieścisłości w raportach policyjnych?

- To fikcja, wytwór fantazji - powtórzył stanowczo Anthony.

W czarnych oczach Samuela pojawił się wyraz bólu i rozgoryczenia.

- Byłem pewien, że...

- Mylił się pan.

- Przestań - Joan zwróciła się do Anthony'ego, po czym położyła rękę na ramieniu Samuela.

- Ojciec nie zastrzelił matki.

Milczała. Nie mogła pomóc temu olbrzymowi. Jest pisarką, a nie detektywem czy oficerem śledczym.

- Nie zastrzelił jej. Był niewinny - szepnął ochryple mężczyzna.

- Z pewnością - skłamała Joan, chcąc go pocieszyć.

Zaciskając usta, popatrzył na nią przez zmrużone oczy. Wiedział, że mówi tak dla świętego spokoju, po prostu żeby się go pozbyć. Wyprostował ramiona i dumnym krokiem skierował się do wyjścia.

- Poda nas do sądu - mruknął Anthony, kiedy drzwi się zamknęły.
- Albo sprzeda tę historię brukowcom - stwierdziła Heather i odstawwszy pusty kieliszek, wybiegła za olbrzymem.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZECI

Zadowolony, że wreszcie zostali sami, Anthony nie zastanawiał się, co Heather zamierza powiedzieć Samuelowi.

- Ten facet zaskarży nas o wykorzystanie jego historii. Będzie się domagał odszkodowania - rzekł. Wyciągnąwszy z kieszeni telefon, zaczął szukać w pamięci bezpośredniego numeru do działu prawnego agencji Prism.

- No i wygra. - Przeczesaując ręką włosy, Joan ruszyła do kuchni.

- Nie mów tak.

Nie mógł sobie przypomnieć numeru działu prawnego, toteż postanowił połączyć się z główną recepcją.

Joan podniosła do ust kieliszek.

- Dlaczego? - Odwróciła się twarzą do Anthony'ego.
- A, rozumiem. Wolisz, żebym nie mówiła głośno prawdy?

Wzruszywszy ramionami, opróżniła kieliszek, po czym wzięła sobie z shakera następną porcję.

- Hola! - Rozłączywszy się, Anthony również skierował się do kuchni. Chociaż nie dziwił się, że Joan ma ochotę na drinka, wołał, aby pozostała trzeźwa. - Zwolnij tempo.

- Ten cosmo jest strasznie słaby - sprzeciwiła się.
- Dałam sporo lodu, który zdążył się roztopić...

- Nie istnieje coś takiego jak słaby cosmopolitan.

Zignorowała jego słowa i opróżniła kieliszek do dna.

- Napijesz się?
- Nie, dziękuję - odparł. Kusiło go, ale się powstrzymał.

Joan pomachała w powietrzu pustym kieliszkiem i okrążając blat dzielący jadalnię od kuchni, ponownie skierowała się do lodówki.

- Nie powinnaś pić, kiedy jesteś zdenerwowana.
- Nie powinnam? Zniszczyłeś moją opinię, zhańbiłeś moją rodzinę, pewnie przez ciebie będę musiała opuścić Indigo! I twierdzisz...
- Powiedziałem, że wszystkim się zajmę. Jeśli na moment zamilknieš i pozwolisz mi...
- Nie sądzisz, że dość już narobiłeś? - Zdjęła z shakera srebrną pokrywkę.
- Powtarzam ci, że nie ja zdradziłem twoje nazwisko.
- Wiem, tylko jakiś tajemniczy ktoś z dostępem do sekretnych akt. - Włała do shakera trochę wódki, po czym sięgnęła po sok żurawinowy.
- Poufnych. W każdej firmie są poufne akta.
- Może. - Zamknęła shaker i energicznie nim potrząsnęła.

Anthony wyjął jej naczynie z ręki.

- Upijanie się nie rozwiąże problemu.
 - A kto się upija?
- Zdjął pokrywkę i wylał całą zawartość do zlewu.
- No wiesz! - zaprotestowała i zakłęła siarczyście.
 - Nie wierzę własnym uszom - rzekł Anthony. I faktycznie, nie przypuszczał, że Joan zna tak brzydkie słowa, a jeśli już zna, to że nie wstydzi się ich wypowiedzieć na głos.

Wyrwała mu z ręki shaker.

- O nie, nie zgadzam się. - Chwycił ją za nadgarstki.
- Puść!

Nie miał zamiaru.

- Musimy się skupić, porozmawiać.

W promieniach słońca wpadających przez okno jej zielone oczy lśniły gniewnie.

- Jestem skupiona.
- Na picciu?
- Na niedzielnym podwieczorku.
- Na razie powinniśmy się skupić na Samuelu.

Uderzył go w nozdrza zapach jej perfum.

- Za późno, Anthony. Samuel na pewno nie przegra.
- Bo przed obliczem sędziego wyznasz całą prawdę?
- Owszem. - Zacisnęła usta. - Zawsze mówię prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Nie mam zwyczaju kłamać.

Zmarszczył czoło,

- Możesz to powtórzyć?
- Co?

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Prosty, a zarazem genialny.

- Zamierzasz oświadczyć w sądzie, że morderstwo, jakie przed laty popełniono w Indigo, natchnęło cię do napisania *Zdrady na bagnach!*

- Tak.

Świetnie! Doskonale! Puścił jej nadgarstki. Kusił ją jej miękka skóra, zapach perfum, ponętne kształty widoczne pod ubraniem. Miał ochotę pochwycić Joan w ramiona, przytulić ją mocno, ale nie był to odpowiedni moment. Cofnął się o krok.

- Wiem, jak możemy uniknąć sądu.
- Wypisując Samuelowi pokaźny czek?

- Wystarczy, jak porozmawiasz z Nedem Callihanem. Wydeła usta. Przez ułamek sekundy korciło go, żeby je pocałować.

- Z tym dziennikarzem z News Network?

Anthony pokiwał głową.

- Nie rozumiem. Jak gdyby to... - Nagle wytrzeszczyła oczy. - O, nie! Nic z tego.

- Powiesz Nedowi prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Zajmie ci to pięć minut, a potem wręczymy Samuelowi czek.

- Nie wierzę. - Cofnęła się w głąb kuchni. - Jak możesz coś takiego proponować?

- Za jednym zamachem pozbywamy się dwóch problemów.

- Jesteś bezdusznym draniem.

Może. Nie chciał się z nią spierać. Ale pomysł był doskonały. Bez walki nie zamierzał z niego zrezygnować.

Heather wybiegła za Samuelem, nie miała jednak pojęcia, gdzie go szukać. Widziała, jak niebieska furgonetka, którą przyjechał, znika za rogiem Cypress, ale zanim tam dotarła, ulica była pusta. Na ziemi nie było śladów opon, w powietrzu nie unosiły się kłęby kurzu.

Zdjęła nogę z gazu. Jechała powoli, rozglądając się uważnie. Sprawdziła parking przed supermarketem, porośnięty trawą placyk przed ratuszem, na skrzyżowaniach zerkała w boczne uliczki. Już miała się poddać, kiedy nagle zobaczyła znajomy niebieski pojazd. Stał przy starym budynku miejscowej opery.

Wrzuciła trzeci bieg, okrążyła zielony placyk i skręciła na parking przy operze. Po chwili zgasiła silnik i zaciągnąwszy hamulec, opuściła klimatyzowane wnętrze

wozu. Na niebie świeciło słońce, lecz powietrze było przesiąknięte wilgocią.

Na werandzie starego budynku leżały materiały budowlane oraz różne narzędzia. Z dachu docierały rytmiczne odgłosy stukania, którym towarzyszył warkot jakiejś maszyny.

Stąpając ostrożnie po zwirowym podejździe w swoich eleganckich szpilkach, Heather zadarła głowę. Zobaczyła wystającą poza krawędź dachu nogę w spranych dżinsach i skórzanym bucie z metalowym noskiem. But wyglądał znajomo. Szła zaaferowana, spoglądając do góry, kiedy nagle się potknęła. Na szczęście szybko odzyskała równowagę.

- Samuel? - zawołała, usiłując przekrzyczeć warzącą maszynę.

Zero reakcji. Podeszła do drabiny, która ciągnęła się do samego dachu.

- Samuel! - zawołała głośniej.

Wciąż nic. Albo jej nie słyszał, albo świadomie ją ignorował. W każdym razie pocieszające było to, że wrócił prosto do pracy. Trochę się bała, że po wyjściu od Joan popędzi do najbliższej budki telefonicznej i zacznie wydzwaniać do jakiegoś szmatławca.

Wystarczy, iż rodzice muszą pogodzić się z faktem, że ich córka napisała dwanaście powieści, a raczej zwykłych czytadeł. Gdyby jeszcze się okazało, że nazwisko Bateman pojawia się w kontekście jakiegoś paskudnego morderstwa... Nie, tego by nie przeżyli.

- Samuel! - spróbowała po raz trzeci.

Nic. Wspaniale.

Zrezygnowana, rozejrzała się dookoła. Widziała mnóstwo zieleni, w oddali domy i punkty usługowe. W pobliżu

jednak nie było żywej duszy. Ma dwa wyjścia: może poprosić kogoś, na przykład Anthony'ego, by wspiał się po drabinie na dach i ściągnął Samuela. Albo może czekać w tej nasłonecznionej łaźni parowej, aż Samuel skończy pracę.

Spojrzała na zegarek. Druga. Facet może tam tkwić jeszcze wiele godzin. Z kolei pomysł zwrócenia się o pomoc do tego bezczelnego, zarozumiałego typa, który został z Joan, nie bardzo ją kusił. Podejrzewała zresztą, że drań by jej odmówił - ze zwykłej złośliwości.

W porządku. Sama sobie poradzi.

Biorąc głęboki oddech, postawiła nogę na najniższym szczeblu. Pamiętaj, chodzi o honor rodziny, powtarzała w myślach. Ostrożnie, by nie uszkodzić obcasów i nie porysować czerwonego lakieru na paznokciach, wspinała się coraz wyżej.

Pokonując lęk wysokości, zerknęła w dół. Ucieszyła się, że teren dookoła wciąż jest pusty. Gdyby wiedziała, że czekają dziś wspinaczka, włożyłaby normalne majtki, a nie stringi. Ale temperatura przekraczała trzydzieści stopni...

Jeszcze tylko trzy szczeble. Jeszcze dwa. Wreszcie jej głowa wysunęła się ponad krawędź dachu.

Samuel znajdował się jakieś pięć metrów dalej. Zwrócony tyłem, pracował na czworakach, specjalnym pistoletem wbijając gwoździe.

Pokonała kolejne dwa szczeble, po czym obejrzawszy się za siebie - nie chciała nikogo zgorszyć - uniosła nogę i oparła kolano o dach. Zaciskając zęby, powoli oparła na ciemnym podłożu drugie kolano.

Udało się. Czołgając się, odeszła metr od krawędzi, następnie wstała i obciągnęła spódnicę.

- Panie Kane! - zawołała między jednym ogłuszającym warkotem a drugim. - Samuel!

Poderwał głowę.

- Do jasnej cholery, co pani tu...

- Muszę z panem porozmawiać - oznajmiła, podchodząc bliżej.

Dźwignął się z kolan.

- Jesteśmy na wysokości niemal drugiego piętra.

- Wołałam z dołu.

- Pani chyba zwariowała.

Dach był lekko pochyły, w dodatku Samuel stał wyżej od niej. Musiała podnieść wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. Uświadomiła sobie, jakim jest potężnym mężczyzną. Potężnym i świetnie zbudowanym. Ciasne dżinsy i opięta, mokra od potu koszula niewiele ukrywały. Twarz ogorzała, lecz dość urodziwa. Przyglądając mu się, Heather nieoczekiwanie poczuła dziwny dreszcz.

- Nie powinna pani tu włązić - mruknął.

Kolejny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Musimy porozmawiać.

- Kończę o szóstej.

Nie zamierzała zostawić go samego przez kilka godzin. Jeszcze by wpadł na pomysł, żeby do kogoś zadzwonić. Nie mogła ryzykować.

- Chciałabym wiedzieć, co pan ma zamiar zrobić z tą historią.

Zmrużył oczy i oparł ręce na biodrach.

- Ma pani na myśli morderstwo moich rodziców?

- Anthony uważa, że książka Joan wzbudzi spore zainteresowanie. - Modliła się, by tak nie było. Żeby powieść przeszła niezauważona.

- I co z tego?

- To, że ktoś taki jak pan może...
- Ktoś taki jak ja?
- Tak.
- To znaczy?

Wskazała ręką na jego ubranie.

- No... człowiek pracy.

Milczał. Zacisnął wargi i milczał. O co chodzi? Chyba go nie obraziła?

Odgarnęła z czoła wilgotne włosy. W porządku, nie ma sensu owijać w bawełnę; trzeba przejść do sedna.

- Jestem gotowa złożyć panu ofertę.

Uniósł pytająco brwi.

- Dziesięć tysięcy dolarów. - Miała nadzieję, że tyle wystarczy. Dla stolarza z miasteczka Indigo w Luizjanie dziesięć tysięcy to chyba duża suma?

- W zamian za co?

Za co? Dziwne. Nie sprawiał wrażenia, ociężałego umysłowo.

- Za to, że będzie pan trzymał język za zębami.

Parsknął śmiechem, niskim, gardłowym, w którym pobrzmiwała nuta niedowierzania. Ale spojrzenie wciąż miał poważne. Cholera, jednak za mało. Najwyraźniej poczuł się obrażony.

- Dwadzieścia tysięcy.
- Żebym z nikim nie rozmawiał?
- Chyba sam pan rozumie...
- Dlaczego pani sądzi, że można mnie przekupić?

Jak każdego, to tylko kwestia ceny.

- To nie jest łapówka.
- Akurat!
- Trzydzieści tysięcy.
- Niech pani stąd idzie.

- Czterdzieści?

Zmierzył ją pogardliwym wzrokiem.

- Słuchaj, paniusiu. Gadam z kim chcę i kiedy chcę, a z tobą nie mam ochoty. I żaden czek tego nie zmieni.

Paniusiu? Wyprostowała dumnie ramiona i skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie pozwolę się obrażać - oznajmiła.

- Ja też nie.

- Nie obraziłam cię.

- Zaproponowałeś mi czterdzieści tysięcy.

- Nie chcesz czterdziestu tysięcy?

- Nie jestem na sprzedaż.

- Słuchaj, ty... - W ostatniej chwili ugryzła się w język. Obelgi nie pomogą. Ważna jest Joanie, jej opinia i honor rodziny Batemanów. Przełykając dumę, postanowiła nieco innymi słowami przedstawić swoją ofertę: -Ponieważ zarobiłbyś, i to niemało, sprzedając do prasy swoją historię, gotowa jestem...

Samuel podszedł krok bliżej.

- Na jakiej podstawie uważasz, że byłbym skłonny sprzedać opowieść o morderstwie moich rodziców osobie, która zaproponuje najwyższą stawkę?

Heather przygryzła wargi. Co on chce przez to powiedzieć? Że nie zamierza rozmawiać z prasą? Czy że ona obraża go swoimi podejrzeniami? Przez chwilę badawczo mu się przyglądała, usiłując odgadnąć, czy mężczyzną kierują jakieś standardy moralne, czy po prostu próbuje podbić stawkę.

- Nie pójdziesz do prasy?

- Nic ci do tego.

- A więc jednak wszystko jest na sprzedaż! - Psia-krew, ile ma mu zaproponować?

Zmrużył oczy, lecz wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony.

- Za chwilę zrzucę cię z dachu.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- I będziesz miał problem z głową?

W czarnych oczach pojawił się gniewny błysk.

- Nie żartuję.

- Mogłabym ci tu i teraz wypisać czek.

- Do widzenia.

- Na imię mi Heather.

- Do widzenia, Heather.

- Nie mogę odejść, dopóki nie otrzymam zapewnienia, że nie skrzywdzisz mojej siostry.

- Wystarczy ci moje słowo?

- Nie wiem. Nie znam cię.

Zamilkł. Widziała, że się zastanawia.

- Posłuchaj - odezwał się po chwili. - Nie interesują mnie pieniądze, ale jestem gotów poświęcić wszystko, żeby udowodnić niewinność mojego ojca.

- Jeśli skrzywdzisz Joan, będziesz miał do czynienia ze mną - zagroziła.

Skinął głową. Wierzył we własne zwycięstwo. Podejrzewała, że prędzej czy później facet faktycznie dopnie swego. Ona ma władzę, znajomości i pieniądze, on zaś siłę i pewność siebie. Nikomu nie życzyłaby takiego adwersarza.

- W porządku - oznajmiła.

Według Joan książka nie zawierała żadnych dowodów, które pomogłyby Samuelowi oczyścić ojca z zarzutu zabójstwa. A jeżeli Samuel liczy na pieniądze... może przyjąć jej ofertę. Czterdzieści tysięcy jest sumą nie do pogardzenia.

Odwrociła się, zamierzając odejść, ale kiedy spojrzała

na majaczący w dole trawnik, nagle zakręciło się jej w głowie. Zbierając się na odwagę, postąpiła krok do przodu. Przecież nie ma lęku wysokości. No dobrze, może czasem, ale tu nie jest strasznie wysoko. W dzieciństwie spędzały z Joan mnóstwo czasu w domku na drzewie; ciągle wchodziła do niego po drabinie.

Postąpiła drugi krok, trzeci. Jeszcze ze trzy i znajdzie się na krawędzi dachu. Serce waliło jej jak młotem.

Nie stchórzę, powtarzała sobie; dam radę. Skoro weszłam, to zejść. Zaciśnęła dłoń na poręczu. Drabina się poruszyła. Heather zamarła z przerażenia. Za sobą usłyszała ciche przekleństwo, a potem odgłos zbliżających się kroków.

- To łatwe - burknął Samuel.

- Wiem. Poradzę sobie.

Chwycała ręką górny szczebel. Teraz wystarczy przełożyć nogę, tak jak to zrobiła, wchodząc na dach.

Odruchowo popatrzyła w dół. Ziemia zawirowała.

- Drżysz.

- Nieprawda.

Wzdychając ciężko, Samuel stanął tuż za nią.

- Przytrzymam ci drabinę.

- Nie ma potrzeby - rzekła chropawym głosem.

- Chwyć się tutaj.

Bez słowa wykonała polecenie.

- Teraz prawa, noga na szczebel.

Próbowała ją unieść, przesunąć, ale nie mogła. Miała wrażenie, że stopa przyrosła jej do dachu.

- Jakim cudem się tu wgramoliłaś?

Nie odpowiedziała. Bała się, że jej głos zabrmi piskliwie. Może powinna zadzwonić po pomoc? Wezwać na ratunek helikopter?

- Dobrze się czujesz?
- W porządku - odparła szeptem.
- Cierpisz na lęk wysokości?
- Nie.
- Postawisz nogę na drabinie?

Cisza.

- Heather?
- Co?
- Bardzo się boisz?

Zacisnąwszy mocniej rękę na szczebelku, przysunęła się kilka centymetrów bliżej. Nie zamierzała się przyznać, że ze strachu ledwo żyje. Pilnując się, aby nie spojrzeć w dół, zahaczyła czubkiem buta o rynnę. I wrzasnęła przerażona, gdy rynna zaczęła się osuwać.

Zanim się spostrzegła, Samuel złapał ją w pól i przycisnął do siebie.

- Cholera!
- Nic mi nie jest - powiedziała drżącym głosem.
- Nie ruszaj się.
- Dobrze - obiecała.

Puścił ją, przełożył prawą, potem lewą nogę nad drabiną i zszedł kilka szczebli w dół. Trzymając się drabiny jedną ręką, odchylił się, robiąc przed sobą miejsce dla Heather.

- Chodź do mnie... Powoli... Nie bój się. Jeśli stracisz równowagę, na pewno cię złapię.

Skinęła głową i z trudem przełknęła ślinę.

- Tylko nie patrz w dół - ostrzegł ją półgłosem.

Ponownie skinęła głową. Teraz, gdy od przepaści oddzielało ją muskularne ciało, manewr schodzenia po drabinie nie budził w niej już tak wielkich emocji.

- No, śmiało - zachęcił ją ciepły męski głos.

Przysunęła się bliżej krawędzi.

- Chwyć tutaj... A teraz obróć się.

Trzymała drabinę oburącz. Teraz wystarczyło się obrócić i postawić nogę na szczeblu. Wzięła głęboki oddech... i nagle przypomniała sobie, że z powodu stringów ma prawie całkiem gołą pupę.

- Mam nadzieję, że jesteś dżentelmenem?

- Ani trochę.

Wbiła w niego gniewne spojrzenie.

- Nie mam zamiaru się cackać i uważać, gdzie mogę cię dotknąć, a gdzie nie. Ważne, żebyś nie spadła.

- Ja nie o tym... - Urwała. Chodziło jej o to, żeby nie zaglądał jej pod spódnicę.

- A o czym?

- Nieważne - mruknęła. No dobrze, raz kozie śmierć!

Trzymając się mocno, przełożyła prawą nogę, potem lewą. Odetchnęła z ulgą, kiedy Samuel objął ją od tyłu w pasie.

- Myślałaś, że będę chciał obejrzeć sobie twój tyłek?

- Owszem, przyszło mi to do głowy - przyznała.

Postąpił krok w dół i poczekał, aż Heather pójdzie w jego ślady.

- Chryste! Z jakimi facetami ty się zadajesz?

Ręce miała wilgotne od potu.

- Z normalnymi. Kulturalnymi.

- Kulturalni zagląдают ci pod spódnicę?

Powoli, szczebel po szczeblu, posuwali się w dół.

- Nikt mi nie zagląda pod spódnicę. - Przynajmniej nikt nie zagląda bez mojego pozwolenia, dodała w myślach.

- To dlaczego uznałaś, że ja zechcę to zrobić?

- Przepraszam, byłam zdenerwowana.

- Najpierw próbujesz mnie przekupić, potem oskarżasz o podglądanie...

Przesunęła nogę o szczebel niżej.

- Daj mi święty spokój! Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś wzorem cnót i...

Noga ześliznęła się Heather z drabinki. Serce podskoczyło jej do gardła. W tym samym momencie ramię Samuela Kane'a zacisnęło się na jej talii.

- Nie bój się. Trzymam cię.

- Psiakrew! - zakląła.

- Hej, w porządku?

Pokiwawszy głową, ostrożnie wymacała nogą szczebel.

Samuel nie od razu zabrał ramię, którym oplatał ją w pasie. I dobrze; wolała czuć za sobą jego twarde ciało. Od ziemi dzieliło ją jeszcze z siedem metrów. Gdyby noga znów się jej omsknęła... Tak, z Samuelem zabezpieczającym ją od tyłu nic złego się nie może stać.

Jej pośladki dotykały jego brzucha.

- Oj, kiepski ze mnie wzór cnót.

- Dlaczego? Właśnie uratowałeś mi życie.

- Wiem. I właśnie zacząłem myśleć o twojej bieliźnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Joanie? - Heather wsunęła się do łóżka siostry.
- Co? - mruknęła Joan, nie otwierając oczu.

Miała wrażenie, że zasnęła zaledwie parę minut temu. Może odesłanie samolotu było złym pomysłem? Może nie trzeba było się zgadzać, aby Heather została u niej przez kilka dni?

- Słyszę jakieś hałasy.
- To żaby. - Joan wtuliła twarz w miękką poduszkę.
- To nie żaby, Joanie. To jakieś stukanie.
- W takim razie cyprysy. Wiatr miota gałęziami.
- Nie, to nie cyprysy. I nie wiatr.
- Wiatr.
- Joanie, proszę cię...
- Wciąż się boisz ciemności?
- Nie boję się ciemności.
- A jednak się boisz.
- Nie ciemności, tylko tego dziwnego stukania.
- Nic nie stuka...

Nagle coś uderzyło w boczną ścianę domu.

- O! Słyszałaś? - zapiszczała Heather, chowając się pod kołdrę.

Joan otworzyła oczy i zamrugała kilka razy, usiłując przywyknąć do półmroku. Przez luźno tkane zasłony w oknach wpadały do pokoju promienie księżyca, oświetlając fragmenty ścian i sufitu.

- Do diabła, co to może być?
- Zadzwońmy na policję - syknęła Heather, wyciągając rękę po stojący na szafce nocnej telefon.

Joan spuściła nogi na podłogę.

- Gdzie idziesz?
- Wyrzecz przez okno. To pewnie aligator.

Nieczęsto podchodziły tak blisko domu, ale czasem się zdarzało.

- A jeśli cię zobaczy?
- Jesteśmy na piętrze.
- Co z tego?

- Przecież one nie skaczą. - Joan odciągnęła zasłonę i mrużąc oczy, omiotła wzrokiem ogród.

- Widzisz coś?

- Nie.

- Więc skąd wiesz, że to aligator, a nie złodziej?

- Bo w Indigo nie ma złodziei. To jedno z najbezpieczniejszych miast w Stanach. Tu nikt nie zamyka drzwi.

- Nie zamknęłaś na noc drzwi? - wrzasnęła Heather.

W odpowiedzi usłyszała grzmotnięcie, potem skrobanie. Nawet Joan musiała przyznać, że tego typu hałasów aligator raczej nie czyni.

- Wzywam policję!

- Nie. - Joan doskoczyła do łóżka i wyrwała siostrze telefon.

Cały dzień unikała Alaina Boudreaux. Chociaż nagrał się na sekretarkę, nie oddzwoniła. Nie chciała się tłumaczyć, dlaczego jest przeciwna organizowaniu festiwalu muzycznego.

- Będziemy siedzieć i czekać, aż nas włamywacz zaatakuje?

- W Indigo nie ma włamywaczy. Tu nikt nie łamie prawa.

Odgłosy się powtórzyły: najpierw hurkot, potem dziwne trzaski.

- Nikt? Więc kto tam hałasuje? Duchy?

- Pewnie jakiś dziennikarz - odparła Joan i nagle uświadomiła sobie, że to może być prawda.

- Dziennikarz? To zadzwoń do Anthony'ego.

Joan spojrzała na budzik.

- Chyba zwariowałaś. Jest trzecia nad ranem.

- No to ja dzwonię na policję.

- Nawet jeśli ktoś się kręci po ogrodzie, na pewno zaraz sobie pójdzie - oznajmiła Joan.

Pewnie chcą zrobić zdjęcie domu. Bo chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie liczył na to, że w środku nocy przeprowadzi z nią wywiad?

- A co jak z ciekawości naciśnie klamkę? I zobaczy, że drzwi są otwarte?

Joan zawahała się. Psiakość, Heather ma rację! Nie chciała, żeby obcy człowiek, wszystko jedno dziennikarz czy złodziej, łąził po jej domu. Może faktycznie należy zadzwonić do Anthony'ego, poprosić go, żeby przyjechał i przepędził intruza.

- Dobra. - Wzięła głęboki oddech. - Zadzwonię do Anthony'ego.

- Powiedz mu, żeby zabrał pistolet.

Joan wykręciła numer komórki.

- Chyba oszalałaś - powiedziała do siostry.

- No to nóż. Albo gaz łzawiący.

W słuchawce rozległ się dzwonek.

- Poproszę, żeby przejechał koło domu. Blask reflektorów powinien wystraszyć dziennikarzy.

- A jeśli nie? Jeśli coś się stanie?

Joan usiłowała się wyłączyć, nie słuchać siostry. Co mogło się stać? Po prostu jakiś nadgorliwy dziennikarz - na łązi po ogrodzie, depcząc rosnące w dole hortensje. To wszystko. Heather zbyt długo mieszkała w dużym mieście, dlatego wpada w panikę, kiedy...

Jej rozmyślenia przerwał senny głos.

- Verdun, słucham.

- Anthony? Mówi Joan.

- Joan? Co się...

- Heather słyszy jakieś hałasy.

- Ty też je słyszysz - warknęła Heather.

- Jakie hałasy? - Sądząc po głosie, Anthony był już w pełni obudzony. W tle słychać było szelest.

- Walenie, stukanie, skrzypienie. W pierwszej chwili myślałam, że to aligator...

- A teraz?

- Teraz myślę, że to może dziennikarz.

- Jakiś, obcy człowiek chodzi po twoim domu?

- Nie po domu. Po werandzie przed domem. Chyba, ale nie wiem. Może... - Nie powinna była dzwonić do Anthony'ego i zawracać mu głowy. Powinna była zejść na dół i sama wszystko sprawdzić. Udzieliło jej się zdenierwowanie siostry.

- Wsiadam w samochód.

- Gdybyś po prostu mógł przejechać koło mojego domu...

- Zaraz tam będę.

- Nie ma potrzeby...

W słuchawce rozległ się sygnał ciągły.

- No i co? - spytała Heather.

- Już jedzie.

Łomot się powtórzył, głośniejszy niż wcześniej. Tym razem nawet Joan ciarki przeszły po plecach.

Heather przesunęła się na środek łóżka.

- Oby wziął ze sobą pistolet - szepnęła.

Anthony zjawił się po trzech minutach. Kiedy światła reflektorów rozjaśniły mrok, na schodach za domem zadudniły kroki.

Joan rzuciła się do okna. Wyteżywszy wzrok, zobaczyła niewyraźny kształt przedzierający się między drzewami. Ale w panujących na zewnątrz ciemnościach nie była w stanie powiedzieć, co ten kształt przedstawia. Równie dobrze mógł to być mężczyzna, jak i kobieta, a nawet duży pies.

Anthony grzmotnął pięścią w drzwi, po czym pchnięciem je otworzył. Naprzeciw siebie ujrzał Joan, która zbiegała po schodach.

- Włamał się do środka? - spytał, kiedy skręciwszy w stronę kuchni, zapaliła światło nad zlewem.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Wystraszyły go światła samochodu.

- Drzwi były otwarte - oznajmił Anthony.

- Nigdy ich nie zamykam.

- Nigdy? - skrzywił się. - To znaczy...?

- Zamek jest zepsuty - wyjaśniła. - Nie chciało mi się...

- Chyba żartujesz! - Obróciwszy się, kilka razy spróbował przekreślić zasuwkę. - Nie mogłaś wezwać ślusarza?

- Nie było powodu...

- A bezpieczeństwo? A poczucie prywatności? A ochrona przed bandytami? To nie są wystarczające powody?

Nie podobał się jej jego arogancki ton.

- Indigo to bezpieczne miasteczko. Tu nie ma przestępstw.

Na widok Heather w jedwabnym szlafroku narzuconym na cienką piżamę Joan uświadomiła sobie, że sama rozmawia z Anthonym ubrana jedynie w kusą koszulę nocną. W dodatku światło pada od tyłu, czyniąc materiał niemal przezroczystym. Czym prędzej odsunęła się na bok.

- Opowiedzcie mi wszystko po kolei - poprosił Anthony, zamykając na klamkę frontowe drzwi.

Szary T-shirt i szare spodnie od dresu idealnie układały się na jego umięśnionym ciele. Ubranie było lekko wymięte. Może spał w nim, przemknęło Joan przez myśl. A może po rozmowie z nią chwycił pierwszą rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę, i pognął do samochodu? A może... Może powinna przestać się nad tym zastanawiać.

To jest za trudne.

Anthony wyglądał inaczej niż zazwyczaj, i nie chodzi tylko o swobodny strój. Był nieogolony, policzki i brodę pokrywał ciemny zarost, a włosy, zawsze idealnie uczesane, sterczały mu na wszystkie strony. T-shirt opinał muskularne ramiona i tors. Hm, nigdy dotąd nie podejrzewała, że pod eleganckim garniturem, w jakim go zawsze widywała, kryje się tak seksowne ciało.

Nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Usłyszałam hałas - oznajmiła Heather - i wystraszona obudziłam Joan. A ona stwierdziła, że to żaby.

- Żaby? - Anthony uniósł pytająco brwi.

- Żaby bywają w nocy potwornie hałaśliwe!

- Ktoś usiłował dostać się do środka - kontynuowała Heather, ignorując siostrę.

- Tego nie wiemy na pewno - przerwała jej Joan

i spoglądając na Anthony'ego, dodała: - Heather ma bardzo lekki sen. Może ten hałas to po prostu...

- Złodziej? Włamywacz? Który wszedł na ganek i...
- No dobrze, może to był dziennikarz - zgodziła się.

Z całej siły starała się utrzymać wzrok na wysokości twarzy Anthony'ego, a przynajmniej nie schodzić poniżej jego szyi. W mieszkaniu było gorąco; czuła, jak koszula lepi się jej do skóry.

- Niewykluczone - przyznał, przeczesując ręką potargane włosy.

Przeszył ją dreszcz. Weź się w garść, nakazała sobie w myślach. Skup się na rozmowie.

- Tak czy inaczej dziś niczego nie rozwiążemy. Wracajcie do łóżek, a ja się prześpię na kanapie.

Joan zamrużyła oczami. Emanujący seksem, wspaniale zbudowany Anthony Verdun z cudownie potarganą czupryną miałby nocować w jej domu? To nie jest najlepszy pomysł.

- Nie zostaniesz tu.
- Oczywiście, że zostanę.

Czuła mrowienie na plecach, na udach.

- Ktokolwiek próbował się włamać, jest już daleko stąd.
- Może wrócić.
- No właśnie, może wrócić - natychmiast poparła Anthony'ego Heather. - Masz pistolet?

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie.
- Nie potrzebujemy żadnych pistoletów - rzekła stanowczo Joan. I żadnych strażników czy ochroniarzy, dodała w myślach; zwłaszcza tak kuszących. - Drzwi od frontu zastawimy fotelem albo szafką, a w drzwiach kuchennych zamek chyba wciąż działa.

Anthony i Heather wpatrywali się w nią bez słowa. Przeniosła spojrzenie z jednego na drugie. Nadal milczeli. Nie wytrzymała.

- No co?

- Naprawdę uważasz, że was tu zostawię, a sam wrócę do pensjonatu? - spytał Anthony.

- Oczywiście, przecież... - Urwała. Nie wyglądał na kogoś, kto żartuje. Ani jak ktoś, kto ma zamiar pożegnać się i wyjść.

- Że powiem: „Pa, pa, radź sobie sama”?

Bez przesady, pomyślała i zniecierpliwiona wzniosła oczy do nieba.

- Chciałabym ci przypomnieć, że od dziesięciu lat radzę sobie sama i całkiem nieźle mi to wychodzi.

W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Ja wracam spać - oznajmiła Heather. - Z Anthonym czuję się znacznie bezpieczniej. - Obróciwszy się na pięcie, ruszyła do sypialni na piętrze.

- No widzisz? Nawet twoja siostra uważa, że powinienem zostać.

- Słuchaj, mam tylko jeden pokój gościnny i zajmuje go Heather - oznajmiła Joan, starając się wybić mu ten pomysł z głowy. - A sofa w salonie jest dla ciebie zdecydowanie za krótka.

To absurd! Nie zamierza pozwolić, by nocował u niej z powodu jakichś hałasów, których siostra się wystraszyła.

- To się zdrzemnę na podłodze.

- Nie będziesz spał na żadnej podłodze!

Zbliżył się o kolejny krok. Błysk w jego oczach przypomniał ją o dreszcze. .

- W takim razie gdzie mam się położyć?

Gdyby pytanie zadał ktokolwiek inny niż Anthony, nabrałaby podejrzenia, że facet próbuje ją uwieść.

- We własnym łóżku. W pensjonacie.
- Mowy nie ma.
- Anthony!
- Co?
- Nie zgadzam się, żebyś tu nocował.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, jakby toczyli pojedynek: które z nich zwycięży? Powietrze było naelektryzowane. Wreszcie na wargach mężczyzny zadrgał uśmiech.

- Obawiam się, moja droga, że nie masz nic do gadania.
- Po tych słowach Anthony przeszedł do wiklinowej sofy.
- To mój dom.
- A ja jestem twoim prawnikiem.
- Agentem literackim.

Wzruszył ramionami.

- Co za różnica? - Poprawił ręką kwieciste poduszki.
- Zresztą nie bardzo wiem, jak miałabyś mnie powstrzymać.

Przecież to bez sensu! On jest co najmniej pół metra dłuższy od wąskiej dwuosobowej sofy. Splatając ręce na piersiach, Joan podeszła bliżej.

- W porządku. Możesz spać w moim łóżku. Ja zostanę tutaj.

Wyprostował się.

- Akurat!

Znów mierzyli się wzrokiem. W domu panowała cisza jak makiem zasiał. Na zewnątrz natomiast gałęzie trzeszczały na wietrze, a bagna rozbrzmiewały różnymi odgłosami.

Z potarganymi włosami Anthony sprawiał wrażenie

bardziej przystępnego. Usta miał lekko otwarte, spojrzenie zachęcające. Nagle dobiegł ją korzenny zapach wody kolońskiej. Joan przełknęła ślinę.

- Nie rozumiesz, prawda? - spytał.

Nie, nic nie rozumiała; marzyła o tym, żeby wyciągnąć rękę i pogładził ją lekko po twarzy czy ramieniu.

Zakręciło się jej w głowie.

- Czego?

- Intruz musi minąć sofę, żeby wejść dalej. To ja mam chronić ciebie, a nie na odwrót.

Powiódł wzrokiem po jej kusej koszuli; oczy mu pociemniały, a jej znów przebiegły po plecach ciarki.

Co by było, gdyby pogładziła go po brodzie? Albo gdyby wspięła się na palce i pocałowała w usta?

Podczas gdy oddawała się marzeniom, Anthony uniósł rękę i odgarnął jej z twarzy włosy. Jego palce leciutko musnęły jej szyję. Poczowała, jak trawi ją ogień.

Zakryła jego dłoń swoją i przyciskając ją do policzka, zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że przez tyle lat była taka ślepa...

Patrzyli sobie głęboko w oczy.

Czekała. Ale nie pochylił się, nie zmniejszył dzielących ich odległości. Mijały sekundy. Może źle odczytała jego intencje? Może za tym dotykiem nic się nie kryło? Zawstydzona, opuściła rękę.

Anthony miałby się nią interesować? Pragnąć jej?

Nie, ten pomysł jest niedorzeczny. Potrząsnęła głową. Chyba zwariowała. Cofnęła się i przybierając rzeczowy ton, oznajmiła:

- Nie sędzę, żeby ten ktoś tu wrócił.

Anthony cofnął rękę.

- Przypuszczam, że masz rację.

- Ale nadal się upierasz, żeby zostać?

Potwierdził skinieniem głowy.

- W takim razie przyniosę koc i poduszkę.

Unikając jego spojrzenia, podeszła do komody. Najwyraźniej błędnie odczytała sygnały. Dla niego jest jedną z wielu kobiet, jakie spotkał. Jedną z wielu, które uległy jego nieodpartemu urokowi.

Wyciągnęła z szuflady miękką poduszkę oraz beżowy koc. Dobrze, że nie zrobiła z siebie idiotki. Lepiej z góry wiedzieć, co jest grane i na co można liczyć. Nie chciała-by być kolejnym odfajkowanym nazwiskiem w kalendarzyku Anthony'ego.

Wiedział, że nie zaśnie. Po pierwsze, nogi zwiślały mu z oparcia sofy; po drugie, był za bardzo podniecony, żeby usnąć; a po trzecie, nie dawało mu spokoju wspomnienie zamglonych oczu Joan.

Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Uważał, że jest atrakcyjną, pełną wdzięku, niezwykle pociągającą kobietą. Naturalnie niczego nie dał po sobie poznać. Ukrył swe emocje, gdyż w owym czasie była szczęśliwą mężatką.

Niedługo potem owdowiała, więc tym bardziej nie wypadało jej uwodzić. A później... później zaczęła się cieszyć coraz większym poważaniem. Oczywiście nadal była jedną z najbardziej szanowanych autorek i nie miał prawa wodzić za nią pożądanym wzrokiem. Mimo że był środek nocy. Mimo że w krótkiej ponętnej koszuli nocnej wyglądała jak bogini. Mimo że jej oczy błagały go, aby wziął ją w objęcia i całował do utraty tchu.

Ale nie mógł jej pocałować. Nie mógł jej dotknąć. Nawet nie powinien myśleć o takich rzeczach, jak pocałunki czy pieszczoty.

Przyjechał do Indigo, by rozpostrzeć nad nią skrzydła; by pomóc jej uporać się z kłopotami; by dopilnować, aby najnowsze „rewelacje” nie zniszczyły jej kariery.

Leżąc na wąskim łożu tortur, poprawił poduszkę i podkurczył zdrętwiałe nogi. Musi wymyślić, jak namówić Joan na rozmowę z dziennikarzem, z prawdziwym dziennikarzem, którego sam dla niej wybierze, a nie z jakimś nędznym pismakiem, który gotów jest koczować pół nocy na werandzie. Jeżeli umiejętnie wszystkim pokieruje, kariera Joan tylko na tym zyska, a jej prywatność nie ucierpi.

Parę minut po szóstej usłyszał nad głową kroki. Uznał, że to Joan krząta się po sypialni; Heather jakoś nie wydawała mu się osobą, która zrywa się o świcie. Zmęczony, trochę niewyspany, spuścił nogi na podłogę i usiadł. W porządku, zdarzało mu się w miarę sprawnie funkcjonować po całkiem nieprzespanej nocy. A jeśli chodzi o pożądanie... no cóż, potrafi nad nim zapanować.

Rzadko dokuczały mu wyrzuty sumienia, zwłaszcza gdy wiedział, że cel uświęca środki. Kiedy więc przy porannej kawie Joan oświadczyła, że jest umówiona z fryzjerką w Lafayette, Anthony natychmiast zaczął kombinować, jak by najlepiej wykorzystać ten czas.

Cieszył się, że choć na kilka godzin Joan zniknie z Indigo; w Lafayette będzie jedną z wielu anonimowych osób. Nie bez znaczenia był też fakt, że w Lafayette znajduje się nieduża stacja telewizyjna; będzie miał okazję porozmawiać wstępnie o wywiadzie.

Zaproponował, żeby obie panie skorzystały ze wszystkich usług, jakie salon ma do zaoferowania, nie tylko z fryzjera, ale również z kosmetyczki i manikiurzystki. Agencja Prism, powiedział, pokryje koszty. Nie wiedział,

czy jego plan się powiedzie, ale skoro Joan znajdzie się w odległości zaledwie kilku kilometrów od studia telewizyjnego, niech będzie gotowa do występu.

Siedział w salonie na miękkiej, skórzanej kanapie i popijając darmową kawę, czekał cierpliwie na rozmowę z dyrektorem programu informacyjnego stacji KCLA. Przypuszczalnie gdyby wymienił nazwisko Joan, sekretarka połączyłaby go znacznie szybciej, ale cóż, ma czas. O Joan zamierzał rozmawiać jedynie z człowiekiem własnym podejmować decyzje.

Obok na stoliku leżała lokalna gazeta. Na trzeciej stronie znalazł artykuł o Joan. Zamieszczono również jej zdjęcie, ale takie sprzed lat, więc nie sądził, aby rozpoznały ją na nim pracownicy salonu lub klientki. Zwłaszcza teraz, gdy włosy miała mokre, poprządkane paskami folii, a twarz całkiem pozbawioną makijażu.

Napotkawszy jej spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie. Po raz pierwszy od jego przyjazdu na Południe sprawiała wrażenie odprężonej.

- Raymond Miller - odezwał się nagle głos na drugim końcu linii.

Anthony oderwał wzrok od Joan i skupił się na sprawach zawodowych.

- Panie Miller, nazywam się Verdun. Anthony Verdun.

- Wiem, sekretarka mi powtórzyła.

- Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić parę minut. Pracuję w Agencji Literackiej Prism, która ma siedzibę w Nowym Jorku.

- To jakiś żart?

- Bynajmniej. Reprezentuję Joan Bateman, która publikuje pod pseudo...

- Wiem, kim jest Joan Bateman - przerwał mu Miller. - Zostawiłem trzy wiadomości w pana biurze.
- Jestem obecnie w Lafayette.
- Naprawdę? - W głosie Millera można było wyczuć wyraźną zmianę. - Proszę mi mówić Ray.

Anthony uśmiechnął się pod nosem.

- W porządku, Ray. Chciałbym ci zadać jedno pytanie: czy jesteś w stanie załatwić wywiad na żywo?

- Proponujesz mi wywiad z Joan Bateman?

- Powiedzmy, że na razie badam teren.

- Masz inną ofertę? Ktoś płaci lepiej?

- Nie chodzi o pieniądze.

- A o co?

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. O wywiad na żywo

- Czy jestem w stanie go załatwić? Absolutnie. Poczekaj moment... - Mężczyzna przykrył ręką słuchawkę i wydał komuś jakieś polecenia. - Już. Przepraszam cię Anthony.

- Nie szkodzi. Słuchaj, będę z tobą szczerzy. Joan jest dość nieśmiała. Nie wiem, czy da się dziś namówić.

Mężczyzna na drugim końcu linii cicho się roześmiał.

- Dostosuję się. Kiedy tylko dasz mi znak.

- Świetnie. Chciałbym, żeby ewentualny wywiad z nią przeprowadziła kobieta. Ktoś spokojny, bez agresywnej maniery. Będę Joan towarzyszył, oczywiście nie na wizji. W razie czego przerwę tę rozmowę.

- Mogę zaproponować Charlotte Newcastle z Los Angeles.

Anthony pokręcił głową.

- Nie, to musi być wywiad w cztery oczy. W studiu Nie przez telefon czy inne łącza.

Ray zawahał się.

- Hm, z tym może być pewien problem...

- Inna możliwość nie wchodzi w grę - oznajmił Anthony. Zależało mu na cichej, intymnej atmosferze i rozmowie dwóch kobiet. Gdyby jedna miała być na miejscu, a druga na zachodnim wybrzeżu... Nie, to odpada.

- W tej sytuacji pozostaje jedynie Karen St. Claire. Zajmuje się działem miejskim i sprawami kulinarnymi.

- Chciałbym się z nią spotkać - powiedział Anthony.

Zerknął na Joan i Heather. Zabiegi upiększające powinny potrwać jeszcze dwie godziny.

- Umówię was.

- Mogę być w KCLA za pół godziny.

- Czy to znaczy, że robimy program?

- To znaczy, że najpierw pogadam z Karen. Jeśli ją zaakceptuję, wówczas postaram się przekonać Joan.

- Jeśli chodzi o honorarium...

- Pieniądze nie są najważniejsze.

- Jeśli nie pieniądze, to co?

- Joan Bateman musi czuć się dobrze. Bezpiecznie.

- Karen jej się spodoba - rzekł z przekonaniem Ray Miller. - Tobie też.

- Zobaczymy. Dzięki, Ray. - Anthony się rozłączył.

Kiedy chował komórkę do kieszeni, zauważył, że Heather bacznie mu się przygląda. Nie miał cienia wątpliwości, że będzie przeciwna występowi siostry w telewizji.

Może zdoła namówić którąś z pracownic, by zaproponowały Heather masaż relaksacyjny. Albo kąpiel błotną lub inny zabieg, który potrwałby co najmniej godzinę. Tak, to by rozwiązało problem.

Wstał z kanapy i posyłając Heather ciepły uśmiech, z tajemniczą miną skierował się do recepcji.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czuła się fantastycznie. Fryzjerka nie tylko podcięła jej włosy, ale również ciekawie je wystylizowała, a na koniec zrobiła kasztanowe pasemka, które zdawały się odbijać promienie słońca.

Po wyjściu z salonu Joan udała się prosto do markowego butik. Z naręczem ubrań zniknęła w przymierzalni. Po paru minutach wyszła i zadowolona z siebie okręciła się przed lustrem. Lekko rozkloszowana beżowa spódnica zawirowała jej wokół kolan. Ukrywszy pod bluzką kartkę z ceną, Joan poprawiła kołnierz ozdobionego delikatnym haftem żakietu.

- Po prostu uważam, że nie powinnaś chować głowy w piasek - powiedział Anthony. - Twoje milczenie jedynie rozbudzi ciekawość prasy i czytelników.

Chociaż na jego twarzy malował się spokój, tak mocno zaciskał rękę na oparciu fotela, że kłykcie mu zbieleły. Marzył o tym, by ten pokaz mody zakończył się jak najszybciej.

Okłady z błota, na które Heather się skusiła, miały potrwać godzinę lub dwie. Joan postanowiła wykorzystać ten czas na łożenie po sklepach.

- Zainteresowanie wkrótce opadnie - oznajmiła z przekonaniem w głosie.

Przecież nie jest gwiazdą filmową. Owszem, dziennikarze podniecili się odkryciem, że Jules Burrell to

pseudonim, którym od dziesięciu lat posługuje się kobieta, ale cały ten szum medialny po paru dniach ucichnie.

- Wprost przeciwnie.

- Masz świra, wiesz?

- Może i tak, ale mam też wieloletnie doświadczenie w branży wydawniczej - odparł Anthony. - Pomyśl logicznie, Joan...

Popatrzyła na swoje nogi.

- Uważasz, że zakryte pantofle wyglądałyby lepiej niż sandały? - zapytała. Nie miała ochoty myśleć logicznie o czymkolwiek poza kompletowaniem stroju.

- Zakazany owoc zawsze kusi.

Podniosła wzrok.

- O czym ty mówisz? Jaki zakazany owoc? Chyba wolno mi kupić pantofle?

Westchnął ciężko i sfrustrowany pokręcił głową.

Minawszy paprotkę w doniczce odgradzającej przymierzalnie od reszty butiku, Joan podeszła do fotela, na którym Anthony siedział. Z głośników w suficie sączyła się muzyka, która zagłuszała rozmowy innych klientów.

- Ach, rozumiem. To ja jestem tym zakazanym owocem, tak? - spytała uwodzicielskim tonem.

Po wizycie w salonie kosmetycznym nabrała odwagi; może sobie pozwolić na niewinny flirt. Zresztą mężczyzną, który towarzyszył jej w butiku, był dawny Anthony: ogolony, uczesany, ubrany w garnitur. Takiego się nie bała. O dreszcze przyprowadził ją inny Anthony: potargany, w stroju uwydatniającym muskularne ciało.

Nagle w jego oczach pojawił się gniewny błysk, taki sam, jaki widziała wczoraj. Serce zabiło jej szybciej.

- Zdecydowanie ty - rzekł półgłosem.

Kiedy indziej poczułaby się speszona, dziś jednak

zarówno jego słowa, jak i spojrzenie sprawiły jej satysfakcję. Przynajmniej nie jest ślepy, dostrzega w niej kobietę. Żałowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej seksownego. Hm, może w następnej kolejności przymierzy tę czarną suknię wyszywaną cekinami.

- Zrozum, im dłużej się ukrywasz, tym większą stajesz się atrakcją.

Chciała zapytać, czy dla niego również, ale ugryzła się w język. Wolała nie przekraczać pewnych granic. Ich relacje ograniczają się do spraw czysto zawodowych.

- Udzielisz jednego krótkiego wywiadu - ciągnął.
-I nikt cię więcej nie będzie nachodził czy nagabywał.

Rozejrzała się dookoła.

- Ależ nikt mnie nie nagabuje. Widzisz tu jakiś tłum? Kamery, dziennikarzy? Ten człowiek, który wczoraj w nocy hałasował na moim ganku, to pewnie jakiś pospolity złodziej.

Miała ważniejsze sprawy na głowie niż udzielanie wywiadów. Na przykład rodzice. Musi do nich zadzwonić. A gdy to zrobi, woli im powiedzieć, by się nie denerwowali, bo wkrótce cała afera ucichnie, niż informować ich o tym, że nazajutrz ukaże się w prasie wywiad z ich córką.

- Masz mnóstwo wdzięku...

Zerknęła podejrzliwie na Anthony'ego, zastanawiając się, co ten facet knuje, on jednak uśmiechał się przyjaźnie.

- Dziękuję.

- I jesteś bardzo piękna - dodał, zniżając głos.

Przeszył ją dreszcz. Czyżby teraz on z nią flirtował? Anthony dźwignął się z fotela. Cofnęła się o krok.

- Poradziłabyś sobie przed kamerą.

Aha, więc o to chodzi! Potrząsnęła głową.

- Nic z tego.

Postąpił bliżej; na jego twarzy malował się wyraz determinacji.

- Jest tu na miejscu taka jedna dziennikarka...
- Nie, Anthony.
- Nazywa się Karen St. Claire.
- Nie zgadzam się
- Recenzuje restauracje. Spotkałem się z nią. Moim zdaniem...
- Spotkałeś się z nią? Kiedy?
- Kiedy robiono ci pasemka.

Nie mogła w to uwierzyć. Podczas gdy ona oddaje się zabiegom upiększającym, Anthony załatwia sprawy zawodowe? Czy on zawsze pracuje w takim tempie? Nigdy nie odpoczywa?

- Mogłaby przeprowadzić z tobą wywiad na żywo...
- Na żywo? - spytała przerażona. Cały czas sądziła, że Anthony mówi o wywiadzie dla gazety.

Kątem oka zauważyła zbliżającą się ekspedientkę.

- Jak się pani podoba żakiet?

Anthony wyciągnął z portfela kartę kredytową i podał ją kobiecie.

- Weźmiemy wszystko, cały komplet - rzekł. - Chyba że wolisz pantofle zamiast sandałów? - zwrócił się do Joan.

- Nie, nie chcę pantofli. - I kto powiedział, że chce cały komplet? Chociaż musiała przyznać, że w tym stroju czuje się fantastycznie.

- W porządku.

Poczekwała, aż ekspedientka się oddali.

- Naprawdę masz nie po kolei w głowie - szepnęła.
- Wyglądasz rewelacyjnie.
- Dobra, dobra.

Wiedziała, że Anthony się podlizuje; że próbuje ją urobić. A jednak po jego słowach zrobiło jej się ciepło.

- Zobaczysz, Karen ci się spodoba. To normalna osoba, cicha i spokojna. Aha, przejrzałem pytania i je zaaprobowałem.

- Zaaprobowałeś jej pytania do mnie?

Powinna być wściekła, ale trudno się złościć na kogoś, kto tak sumiennie przykłada się do wypełniania swoich obowiązków. Może nie pochwałała metod Anthony'ego, ale wierzyła, że jest lojalnym, uczciwym człowiekiem, który pragnie dla niej jak najlepiej.

- Tak. - Na moment zamilkł. - Pięć minut, Joan. Tyle wystarczy. Pokaż się ludziom. Przemów. Ręczę, że przestaną cię uważać za zakazany owoc.

- Ale moi rodzice...

· Rozmowę przerwało pojawienie się ekspedientki.

- Mogę prosić pana o podpis?

Anthony podpisał się na paragonie, po czym ekspedientka odeszła, zostawiając ich samych.

- Rodzice będą z ciebie dumni.

- Będą na mnie wściekli.

- Chyba chcą, żeby sprawa przycichła?

- Oczywiście, że tak!

Co do tego nie miała cienia wątpliwości. Najszczęśliwsi byliby, gdyby w ogóle dało się cofnąć czas.

- Więc porozmawiaj z Karen. Odzyskaj spokój.

Rozumiała jego tok myślenia. Nie zgadzała się z nim, ale go rozumiała.

- A co z Heather?

- Będzie zajęta w salonie co najmniej do piątej.

- Skąd wiesz?

- Bo wszystkiego należy dopilnować; nie można zda-
wać się na ślepy los.

Zmrużyła oczy. Co chciał przez to powiedzieć? Że...

- Przekupiłeś pracownice salonu?

- Oczywiście.

Rozejrzała się po butiku.

- Więc to wszystko gra? Zaplanowana od początku
do końca?

- Zbierz resztę swoich rzeczy - polecił.

- Nie!

- Bo się spóźnimy.

- Przecież się nie zgodziłam.

Położywszy rękę na plecach Joan, popchnął ją lekko
w stronę przymierzalni.

- Ale się zgodzisz - stwierdził. - Jesteś inteligentną
kobietą. Głupiej bym nie reprezentował.

- A ty jesteś przebiegłym draniem - odparowała. Podo-
bał się jej dotyk jego ręki. Specjalnie opierała się z wejściem
do przymierzalni, żeby ją dłużej czuć na swoich plecach.

- Za to mi płacisz.

- Nie za przebiegłość - zaprotestowała.

- Za pilnowanie twoich interesów.

Przystanąła, obejrzała i popatrzyła mu w oczy.

- Odwalasz za mnie brudną robotę...

- Na tym polega moja praca. Reprezentuję cię, sprawd-
zam, czy pieniądze wpływają na konto Julesa Burrella.
Chronię cię. - Przesunął rękę nieco niżej. - Temu celowi
miałby również służyć wywiad, do którego cię namawiam.

Przypomniała sobie, jak szybko zjawił się u niej w do-
mu, kiedy wczoraj do niego zadzwoniła; jak uparł się, że
będzie spał na sofie. „To ja mam chronić ciebie, a nie na
odwrot”, oburzył się, kiedy zaproponowała mu łóżko,

z którego nie wystawałyby mu nogi. Teraz, patrząc mu głęboko w oczy, wiedziała, że Anthony chce jedynie jej dobra, że wszystko robi z myślą o niej.

Przysłuchując się rozmowie, Anthony starał się opłacać zdenerwowanie. Karen St. Claire, wyraźnie zadowolona z możliwości przeprowadzenia wywiadu ze znaną autorką, zasypywała Joan pytaniami na temat jej książek oraz spokojnego życia w Indigo.

Przed nagraniem spotkali się w czwórkę - on, Joan, Karen i Ray Miller; chciał się upewnić, czy wszystko jest jasne. Odpowiadając na pytania dziennikarki, Joan obracała nerwowo pierścieniem, który nosiła na serdecznym palcu lewej ręki, w sumie jednak radziła sobie doskonale. Uśmiechała się przyjaźnie, udzielała ciekawych odpowiedzi, czasem mówiła wprost, że resztę woli pozostawić wyobraźni czytelnika. Gdyby podejrzewał, że będzie tak swobodnie czuła się przed kamerą i z taką swobodą prowadziła dyskusję, to kto wie, może wcześniej próbowałby ją nakłonić do występów w telewizji i spotkań z czytelnikami.

Pięć minut minęło jak z bicza strzelił, ale rozmowa toczyła się dalej. Nieczęsto trafia się taka okazja. Nic dziwnego, że Karen nie była skora rozstać się ze swoim gościem. Oczami wyobraźni Anthony ujrzał stopy zaproszeń do porannych programów telewizyjnych.

- Czy bardzo była pani zła, kiedy z agencji Prism wyciekło do prasy pani nazwisko?

Anthony najeżył się. Tego pytania nie było na liście, którą widział.

- Ależ skąd - odparła spokojnie Joan. - Mój agent, Anthony Verdun, jest ze mną w stałym kontakcie. Decyzje, które podejmuje, zawsze mają moją akceptację.

Genialnie. Po raz trzeci wymieniła jego nazwisko. Jest jej dłużnikiem.

- To znaczy, wiedziała pani, że agencja zamierza ujawnić pani tożsamość i aprobowała pani to posunięcie?

- Pan Verdun ma prawo samodzielnie podejmować decyzje w sprawach dotyczących mojej kariery.

Ledwo mógł usiedzieć w miejscu. Naprawdę jest świetna. Nie spodziewał się, że wypadnie tak fantastycznie. Na wysokości piersi poczuł wibracje telefonu, lecz je zignorował. Po chwili usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Nawet się nie obejrzał.

- Oszukałeś mnie - syknęła mu do ucha Heather. Zerknął na nią z ukosa.

- Fundując ci masaż i kąpiel błotną?

- Jesteś podły.

Wyrzął przez okienko na korytarz. Idąc do studia z Joan, mijali dwa punkty kontrolne.

- Jak się tu dostałaś? - spytał zdziwiony.

Splótłszy ramiona na piersi, spojrzała na niego z góry.

- Chyba nie pytasz serio?

Popatrzył na jej twarz, fryzurę, makijaż, ubranie; wszystko razem składało się na obraz osoby mającej wysoką pozycję społeczną oraz pokaźne konto bankowe. Tak, chyba pytanie o to, jak się tu dostała, jest pozbawione sensu. Gdyby się uparła, Heather Bateman potrafiłaby się dostać wszędzie, nawet do niedostępnych dla zwykłych śmiertelników sal gmachu CIA.

- Znakomicie sobie radzi - powiedział, wskazując na Joan.

- Tobie chyba odbiło! - zdenerwowała się. - To ja stoję na głowie, żeby Samuel Kane nie poleciał wypłacić wszystkiego brukowcom, a ty ją sadzasz przed kamerami?

- To co innego.
- Mylisz się. Dokładnie to samo.

Oczywiście nie musi się Heather z niczego tłumaczyć, ale...

- Osobiście wybrałem dziennikarkę. Zaakceptowałem pytania.

- Rzucasz ją wilkom na pożarcie. Dla zaspokojenia własnych ambicji.

- Trudno Karen St. Claire uznać za wilka.

Telefon w kieszeni na piersi znów zaczął wibrować.

- Jeśli skrzywdzisz moją siostrę, nigdy ci tego nie daruję.

Nie przejął się tą groźbą. Nie dlatego, że nie wierzył Heather. Przeciwnie, był pewien, że gdyby chciała, potrafiłaby go zniszczyć, a nawet zlecić jego zabójstwo. Po prostu nie miał zamiaru wyrządzać Joan krzywdy.

Za szybą, w studiu telewizyjnym, Karen St. Claire poprawiała na biurku kartki.

- Może opowie nam pani o swoim zmarłym mężu? Jakim był człowiekiem?

Joan spięła się. Anthony poderwał się na nogi.

- Natychmiast kończcie! - zawołał do realizatora.

Ten dał znak Karen, która elegancko zakończyła program.

Kiedy na ekranie pojawiła się reklama, Anthony pchnął drzwi i wpadł do studia. Nie zważając na kamery, na kręcących się wokół ludzi, na splecione kable, dotarł do Joan w chwili, kiedy odpinała mikrofon.

Porwał ją w ramiona i mocno przytulił.

- Byłaś wspaniała - szepnął jej do ucha.

Nie wrywała się, a on stał, przyciskając ją do piersi. Nie mógł nasycić się jej bliskością.

- Joanie, jak on cię do tego namówił? Upił cię? Otu-
manił narkotykiem?

- Trzydzieści sekund! - zawołał producent. - Proszę opuścić studio.

Obejmując Joan w pasie, Anthony skierował się w stronę drzwi.

- Pytam poważnie, Joanie! - Heather nie dawała za wygraną. - Jak cię do tego namówił?

- Anthony ma rację - odparła Joan, a on odruchowo zacisnął mocniej rękę na jej talii. - Ukrywanie się jedynie podsycia zainteresowanie mediów.

- Mediów, ale niekoniecznie czytelników - mruk-
nęła Heather, wychodząc za siostrą na ciemny wąski korytarz.

- I jednych, i drugich - stwierdził Anthony.

- Joanie, jemu chodzi wyłącznie o pieniądze.

- A ty usiłujesz wepchnąć dzinna z powrotem do
butelki - odgryzł się.

- Jestem twoją siostrą - ciągnęła Heather, nie zwraca-
jąc na niego uwagi. - I kocham cię.

- Kochasz? To zadzwoń do waszych rodziców - rzekł
Anthony, prowadząc Joan przez hol pełen zaciekawio-
nych pracowników stacji KCLA. - Zadzwoń do znajom-
ych i przyjaciół. Powiedz wszystkim, jak doskonałą
Joan jest pisarką, każ im kupić jej książki.

- To nie takie proste - sprzeciwiła się Heather.

- To nie takie proste - zawtórowała siostrze Joan,
wychodząc z budynku przez podwójne szklane drzwi.

Anthony zrozumiał, że posunął się za daleko. Joan
znów przyznała rację Heather. Niedobrze; zależało mu na
tym, aby zdobyć jej zaufanie.

Zaklął w duchu. Nie miał najmniejszych wątpliwości,

że wkrótce posypią się propozycje wywiadów. Chciał, by Joan była gotowa do rozmów z dziennikarzami.

Kiedy skręcił w podjazd pod jej domem w Indigo, wciąż czuła, jak buzuje w niej adrenalina. Nie przejmowała się; wiedziała, że wkrótce jej życie odzyska dawny rytm. Udzieliła w telewizji wywiadu, dziś lub jutro cały ten medialny szum przycichnie, Anthony wróci do Nowego Jorku, a ona znów zabierze się do pracy.

Jednego się obawiała: rozmowy z rodzicami. No ale przynajmniej będzie mogła im powiedzieć, że najgorsze już minęło. Że odtąd wszystko będzie dobrze.

Myśl o wyjeździe Anthony'ego napawała ją smutkiem. Starła się nad tym nie zastanawiać. On jest jej agentem literackim, a nie przyjacielem, bez którego nie umie żyć. Tak jak dawniej, będzie do niej dzwonił raz na miesiąc, by omówić bieżące sprawy. A ona, tak jak zawsze, odkąd Brian stał się odległym wspomnieniem, będzie o nim fantazjować w nocy.

Spokój. Powrót do normalnego życia. Bardzo tego pragnęła.

- Uff! Nareszcie w domu - jęknęła Heather, która zajmowała niewygodne tylne siedzenie. - Dobroczynne działanie masażu zostało całkowicie zniwelowane.

Anthony zgasił silnik, zaciągnął hamulec i otworzył drzwi. Wsiadłszy z samochodu, przesunął do przodu swój fotel, żeby Heather mogła wysiąść.

Joan wysiadła z drugiej strony, po czym schyliła się po torebkę i zakupy z butiku, które leżały z tyłu na podłodze.

- Zostawiłaś otwarte drzwi - powiedziała jej siostra. Joan je zatrzaskała.

- Muszę zamienić słowo z Anthonym.

- Nie te. - Heather wskazała ręką dom. - Tamte zostawiłaś otwarte.

Anthony na moment znieruchomiał, po czym obejrzał się za siebie.

- Zostańcie tu - rozkazał.

- Pewnie wiatr je otworzył - powiedziała Joan, czując ciarki na plecach. Mieszkała tu dziesięć lat; znała zatoki często wiał silny wiatr, ale ani razu nie zdarzyło się coś podobnego.

- O nie! Ja tu sama nie zostanę! - Heather pośpieszyła za Anthonyem.

Joan obeszła samochód i ruszyła w ślad za siostrą. W przeciwieństwie do Heather, nie należała do osób tchórzliwych, ale było już ciemno i nie bardzo miała ochotę sterczeć samotnie na podjeździe, słuchać grania cykad, patrzeć na zwisające z gałęzi grube pajęczyny mchu i zastanawiać się, czy ktoś się nie czai za cyprysami.

Anthony wbiegł na ganek.

- Powinieneś kupić pistolet - mruknęła za jego plecami Heather.

- Cicho! - Przystanął w drzwiach i przechylił głowę.

Joan również wyteżyła słuch. Słyszała tykanie zegara, cichy warkot lodówki, szum wiatru poruszającego liśćmi dębu; z domu nie docierały jednak żadne dźwięki.

Anthony wszedł do holu. Podłoga zaskrzypiała. Wyciągnął rękę i zapalił światło.

Joan zamrugała oślepiona jaskrawym światłem, po czym wytrzeszczyła oczy.

Regał stał w poprzek salonu, papiery leżały rozrzucone po podłodze. W kuchni panował względny porządek, za to jej kącik do pracy przypominał pobojuwisko. Najgorsze było to, że z biurka zniknął komputer.

Anthony wydobył z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer policji.

- Muszę sprawdzić na górze - powiedziała Joan, obchodząc Anthony'ego. W szafie w sypialni trzymała zapasowe dyskiety, na które nagrywała kolejne rozdziały.

Anthony chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Nazywam się Anthony Verdun - rzekł do słuchawki. - Dzwonię z domu Joan Bateman na Amelie Lane. Chciałbym zgłosić włamanie. - Na moment zamilkł.

- Tak, dobrze... Wydaje mi się, że nikogo już nie ma... Rozumiem... Dobrze. - Rozłączył się. - Nigdzie nie pójdziesz - powiedział, zwracając się do Joan.

- Kopie zapasowe... trzymam je w sypialni.

Musi się przekonać, czy złodziej ich nie zabrał. Komputer jest narzędziem jej pracy. Na dyskiety przegrywała wszystko: kolejne fragmenty książki, luźne spostrzeżenia, zebrane informacje na najróżniejsze tematy...

Anthony był jedyną osobą na świecie, która mogła zrozumieć jej niepokój. Zerknął na puste biurko i zacisnął zęby.

- W porządku.

- W porządku? - zaskrzeczała Heather. - Czy wyście powariowali? Dla jakichś durnych dyskietek Joan ma ryzykować życie?

- Pójdę pierwszy - oznajmił Anthony.

- Zaczekajcie na policję! Przynajmniej gliniarze są uzbrojeni.

Anthony zmierzył ją pogardliwym wzrokiem.

- Poradzę sobie.

- Ty mnie akurat niewiele obchodzisz. Obchodzi mnie Joan.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek się jej stało.

Heather skrzyżowała ręce na piersi.

- Oczywiście, że nie pozwolisz. Dzięki niej dorobiłeś się fortuny!

- Heather! - zawołała z oburzeniem Joan.

- Namówiłeś ją na wywiad! Obiecałeś, że potem wszystko się uspokoi, że w jej życiu znów zapanuje ład. Czy tak ma wyglądać ten spokój? Ten ład?

Joan zamarła. Psiakrew. Zapomniała o swoim występie w telewizji. Czy włamanie może mieć z nim coś wspólnego?

Ponownie rozejrzała się po salonie. Cenne dzieła sztuki wisiły nietknięte na ścianie. Szafa w holu była nieruszona. W kuchni panował porządek. Włamywacza interesowało wyłącznie jej biurko. I zawartość komputera.

Skierowała spojrzenie na Anthony'ego.

- Czy to z powodu dzisiejszego wywiadu...?

- Nie - odparł.

Widziała jednak, że nie jest do końca o tym przekonany. Odsunęła się. Anthony się pomylił. Ona również. Nie powinna była go słuchać. Powinna była zaufać własnej intuicji i trzymać się z dala od dziennikarzy. Przepuszczalnie informacja o włamaniu też trafi do gazet. Rodzice jej tego nie wybaczą. Ojciec zjawi się w Indigo i...

Poczuła, jak siostra obejmuje ją ramieniem.

- Polecimy do Paryża.

Serce waliło jej jak młotem. Tak, może to dobry pomysł. Gdyby od razu posłuchała Heather, znajdowałyby się teraz kilka tysięcy metrów nad ziemią...

Szef policji Alain Boudreaux doszedł do identycznych wniosków co Anthony. Że włamania dokonał wielbiciel twórczości Julesa Burrella, który liczył na to, że zdobędzie jakąś pamiątkę. Ze trzy godziny temu, kiedy byli

w Lafayette, jeden z sąsiadów zawiadomił policję, że przed domem Joan zebrał się spory tłumek. Kilkoro przejętych czytelników nagrało się jej na sekretarkę.

Joan odetchnęła z ulgą. Wolała wielbiciela od jakiegoś psychopatycznego mordercy. Poza tym było mało prawdopodobne, żeby wielbiciel, zabrawszy pamiątki, zamierzał powrócić na miejsce przestępstwa. Mimo to Anthony nie chciał ryzykować; uważał, że kobiety nie powinny nocować w domu.

Nie zważając na ich protesty, zawiózł siostry do La Petite Maison, pensjonatu, w którym sam się zatrzymał. Heather przydzielono pokój na pierwszym piętrze, Joan dostała dwupokojowy apartament na poddaszu. Właściciel pensjonatu, Luc Carter, obiecał, że zamknie na klucz frontowe drzwi.

- Nie musisz przy mnie warować - powiedziała do Anthony'ego Joan, siadając w fotelu na biegunach. Przez otwarte okno balkonowe słychać było kojący szelest liści.

Zbyt dużo się dziś wydarzyło. Oboje byli wyczerpani fizycznie i psychicznie. Anthony westchnął ciężko.

- Nie chcę cię jeszcze zostawiać.

Zajmował pokój przy schodach, dokładnie pod sypialnią Joan. Tej nocy zamierzał spać przy uchylonych drzwiach.

- Alain powiedział, że włamanie miało miejsce z samego rana...

- Dlatego chcesz zostać? Żeby się usprawiedliwić?

Podszedł do wiklinowego fotela stojącego po drugiej stronie kominka.

- Nie. Dlatego, że się o ciebie martwię. Natomiast pora włamania świadczy o tym, że nie miało ono związku z twoim wywiadem.

- Jasne. Jeśli inne stacje puszcza wywiad, zobaczymy, co się wtedy będzie działo.

- Joan...

- Wiesz, o co mnie Alain poprosił?

- O co?

- Żeby poparła festiwal muzyczny.

Trochę zdziwiła go nagła zmiana tematu, ale nie dał po sobie nic poznać. Natychmiast skupił się na możliwościach, jakie festiwal przed nimi otwiera. Hm, powinien zadzwonić do Lesley Roland, jednej z najlepszych specjalistek od reklamy w kraju.

- Przestań!

Anthony podniósł wzrok.

- Co?

- Przecież widzę, że coś knujesz. - Joan poderwała się na nogi. - Wybij to sobie z głowy! Nie będę popierała żadnego festiwalu. Jestem mu przeciwna.

Anthony również wstał.

- Dlaczego?

- Bo zniszczy nasze miasteczko. Zjadą się tłumy...

- Mówimy o festiwalu muzyki kajuńskiej w starym budynku opery, a nie o koncercie rockowym na wielkim stadionie.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Zaraz mi powiesz, że angażując się w promocję festiwalu, sama na tym skorzystam.

- Co w tym złego? Trzeba myśleć o karierze.

Policzki nabiegły jej krwią, oczy rozbłysły gniewnie.

- Wolałabym myśleć o swoim życiu, a nie o pracy czy karierze.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Dla ciebie wszystko sprowadza się do cyfr, do ilości sprzedanych egzemplarzy.

- W końcu jestem twoim agentem.

- Tak? To choć raz nim nie bądź! - Przygryzła wargę.

Mimo powiewu wiatru, który wpadał przez otwarte okno, w pokoju nagle zrobiło się gorąco.

Anthony miał wrażenie, że Joan lekko się zachwiała, jakby zakręciło się jej w głowie. Czy czuła to co on? Popatrzył jej głęboko w oczy.

- Powiedz, Joan, wolałabyś widzieć we mnie kogoś innego? - zapytał cicho.

Zatrzepotała rzęsami, ale nie odpowiedziała. Wiedział, że to szaleństwo, że powinien wziąć się w garść, ale było już za późno. Podniósł rękę i delikatnie pogładził Joan po twarzy. Rozum kazał mu przestać, ale go nie słuchał. Centymetr po centymetrze wsuwał palce w jej gęste włosy.

Wciągnęła z sykiem powietrze i zamknęła oczy. Długie ciemne rzęsy opadły na jej blade policzki.

Drugą ręką ujął ją za brodę. Przez dziesięć długich lat tłumiał pożądanie. Był na skraju wytrzymałości. Jeden mały pocałunek, pomyślał; nic więcej. Pragnął tylko poznać smak jej miękkich warg.

Odchyliła głowę. Dalszej zachęty nie potrzebował. Przywarł ustami do jej ust i poczuł się jak w niebie. Odwzajemniając pocałunek, objęła go mocno za szyję. Tulił ją, gładził po ramionach, biodrach, plecach.

Łóżko znajdowało się zaledwie trzy metry dalej.

Marzył o tym, by rozebrać ją do naga i położyć na chłodnej narzucie. Chciał patrzeć na jej włosy rozrzucone na poduszce. Chciał ją pieścić i całować. Chciał się z nią kochać. Joan. Raz po raz powtarzał w myślach jej imię. Trzymał w ramionach kobietę, której pragnął od zawsze.

Wszystkimi zmysłami chłonał jej zapach, dotyk, smak. Jego ręce błędziły po jej ciele...

- Anthony...

Zsunął jej z ramion haftowany żakiet.

- Co?

Zamknęła mu usta pocałunkiem i przytuliła się jeszcze mocniej. Zamruczała cicho.

- Ja... my nie...

- Wiem.

Powinien przestać, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Jeszcze chwila, jeszcze minuta, góra dwie... Tak, zaraz ją puści. I znów przeobrazi się w poważnego agenta literackiego.

Wciągnął w usta jej dclną wargę. Miała smak słodkiego nektaru i słodkich tajemnic.

Pragnął Joan. Potrzebował jej. Delikatnie pogładził palcem wąski skrawek ciała między spódnicą a bluzką. Ogarnęło go jeszcze większe podniecenie.

Przestraszył się. Wiedział, że za moment będzie za późno. Że za moment nie zdoła jej puścić. Że zedrze z niej ubranie, a potem...

Najwyższym wysiłkiem woli cofnął się o krok.

Zdezorientowana otworzyła oczy.

- Przepraszam - szepnął, odsuwając się od niej, z nim ponownie zechce zgarnąć ją w ramiona.

- Prze... przepraszasz? - wydukała.

Zrobił kolejny krok w tył.

- Nie powinienem był do tego dopuścić.

- Bo jesteś moim agentem?

Zwiesił ręce wzdłuż ciała i cofnął się jeszcze o krok.

- Bo nie tak powinny wyglądać nasze relacje.

- Słusznie. - Pokiwała głową. - Powinieneś myśleć,

jak zwiększyć sprzedaż moich książek i jak pokonać moją niechęć do reklamy.

- No właśnie.

Ale z tym myśleniem miał kłopoty. Dziś po południu był przekonany, że podjął słuszną decyzję w sprawie wywiadu. Teraz jednak ogarnęły go wątpliwości. Jeśli chodzi o Joan, po prostu niczego nie może być pewien.

Musi się skupić. Nie może pozwolić, aby emocje wpływały na trzeźwość jego osądu i zakłócały jasność widzenia. Wbrew temu, co się Joan wydaje, potrzebuje sprawnego agenta. Nawet bardziej teraz niż kiedykolwiek dotąd. A jego obowiązkiem jest troska o jej interesy.

- Będę piętro niżej - oznajmił.

Ponownie skinęła głową.

- Nic ci tu nie grozi - dodał.

- Wiem.

- Drzwi od mojego pokoju zostawię uchylone. Będę wszystko słyszał.

- Dobrze.

- Gdybyś czegokolwiek potrzebowała...

Chryste, była tak niewiarygodnie piękna, gdy stała na środku pokoju, wpatrując się w niego swoimi smutnymi oczami.

Ręce mu drżały. Wiedział, że musi czym prędzej odejść. Zacisnął pięści i odwrócił się ku drzwiom.

I wtedy usłyszał cichy szept.

- Zostań.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zazwyczaj Heather nie budziła się tak wcześnie, no ale zazwyczaj kładła się o innej porze. Tym razem miała wrażenie, jakby pomieszał się jej dzień z nocą.

Przez kilka godzin wierciła się niespokojnie z boku na bok, martwiąc się o opinię rodziny Batemanów, a także o bezpieczeństwo Joan. Jeżeli wielbiciele byli gotowi wdrzeć się do jej domu po komputer, to czego jeszcze można się spodziewać? Czyjej siostra zamieni się w samotnika, w odludka, i do końca życia będzie musiała żyć jak Elvis, ukrywając się przed światem?

I jak na to wszystko zareagują ich rodzice? Heather nie potrafiła zdobyć się na odwagę, by do nich zadzwonić. Nie miała im do przekazania żadnych pocieszających wieści. Bo co mogłaby powiedzieć? Że ich córka napisała ponad tuzin powieści kryminalnych, że nie wykazała najmniejszej chęci wyjazdu do Europy i że znalazła się pod wpływem żadnego sławy i pieniędzy krwiopijcy, który udaje jej agenta?

Jakby tego było mało, to ostatnia książka, do czego Joan sama się przyznała, zawiera perwersyjną scenę erotyczną. Heather wzdrygnęła się na samą myśl.

O szóstej rano nie mogła dłużej wytrzymać w łóżku. Musiała wstać, wyjść z pensjonatu, pooddychać świeżym powietrzem, przemyśleć wszystko na spokojnie.

Ruszyła spacerkiem przed siebie. Nie zastanawiała się

nad tym, dokąd idzie, ale nagle znalazła się na ulicy, przy której stał dom siostry. Przystanąwszy przed nim, wbiła wzrok w szeroko otwarte drzwi.

Cholera jasna! Siłą zmusi Joan do opuszczenia Indigo! Jeśli będzie trzeba, to zwiąże ją i zaknebluje, ale na pewno ją stąd wywiezie. Jeszcze dziś pojedą do Bostonu i wynajmą ochroniarzy. Może Anthony potrafi zapewnić Joan bezpieczeństwo, ale Heather nie zamierzała czekać, by się o tym przekonać.

Wtem z głębi domu doleciał ją huk. Znieruchomiała; ciarki przebiegły jej po plecach. Dobrze pamiętała, że Alain Boudreaux porządnie zamknął wczoraj drzwi. Czy policja podjęłaby czynności śledcze o tak wczesnej porze?

Popatrzyła w prawo, potem w lewo. Cisza. Żadnych radiowozów. Ba, nie widziała żywej duszy. Ulica była całkiem pusta.

Heather cofnęła się krok. Nie była na tyle odważna, by stawiać czoło bandytom. Raptem serce podeszło jej do gardła, albowiem w drzwiach pojawiła się ciemna postać.

- Heather?

Okazało się, że ciemną postacią jest Samuel Kane. Heather odetchnęła z ulgą. Jest bezpieczna.

Samuel ruszył w dół po schodach.

W tym samym momencie naszły ją wątpliwości. Zaraz, zaraz! Co on tu robi? A może to on dokonał włamania? Miał powód, żeby złościć się na Joan. Może dlatego ukradł jej komputer? Może kłamał, mówiąc, że nie zamierza rozmawiać z dziennikarzami?

- Heather? - powtórzył po chwili. Doszedłszy do końca schodów, skręcił w lewo, tam gdzie stała.

Czym prędzej pozbyła się bezsensownych myśli. On nie jest włamywaczem. Nie ma powodu się go bać.

- Dzień dobry.
- Co tu robisz? - spytał, zatrzymując się.
- Wybrałam się na spacer.

Zmrużył oczy.

- Dlaczego?
- Nie mogłam spać.

Przyglądał się jej w milczeniu, a ona usiłowała wyczytać coś z jego twarzy. Czy jest zły? Zdenerwowany? Jakie ma intencje? Czy zamierza wyrzucić jej krzywdę?

- A ty... co tu robisz? - Nie zdołała powściągnąć ciekawości.

- Postanowiłem wrócić na miejsce przestępstwa.

Wystraszona, cofnęła się krok.

Samuel wykrzywił usta w uśmiechu. Jego białe zęby lśniły na tle śniadej skóry.

- Odpęź się. To nie ja popełniłem to przestępstwo.
- Wcale cię o nie nie podejrzewałam.
- Tak łatwo cię nabrać.
- Nieprawda.
- Uznałaś mnie za winnego. Już po raz drugi.

Potrząsnęła przecząco głową, mimo że faktycznie tak było. Po prostu ten potężnie zbudowany olbrzym miał w sobie coś... coś groźnego, nieokiełznanego.

- Alain zadzwonił do mnie z informacją, że do mojego domu również ktoś się włamał.

- Serio? - spytała zaskoczona.
- Serio. I co, żal ci, że nie jestem złodziejem?
- Ależ co ty mówisz!
- Sprawiasz wrażenie zawiedzionej.
- Nie bądź śmieszny.

Poruszył zabawnie brwiami.

- Lubisz niegrzecznych chłopców, prawda? To twój sekretny fetysz.

- Nie mam żadnych fetyszy.

- Każdy jakiś ma.

Pokręciła energicznie głową.

- Ja nie.

- Zaraz cię rozszyfruję - powiedział. - Lubisz się kochać w pozycji misjonarskiej... Prawda?

- Nie twój interes! - warknęła. Nie mogła uwierzyć, że Samuel zadał tak intymne pytanie.

- Przy zgaszonym świetle...

- Nie mam zamiaru udzielać ci odpowiedzi.

- Aha! Czyli zgadłem. Myślę, że...

- Myśl sobie, co chcesz. Nie interesuje mnie to.

Pozycja misjonarska wcale nie jest taka zła. I kochanie się przy zgaszonym świetle ma mnóstwo zalet. Po pierwsze, półmrok kojarzy się romantycznie, a po drugie, skrywa niedoskonałości fizyczne, więc można się skupić na miłych doznaniach, zamiast na fałdkach tłuszczu.

- Powinnaś częściej wychodzić z domu, umawiać się na randki.

- Mieszkam w Bostonie - rzekła nieuprzejmym tonem. Jakim prawem cieśla z małego prowincjonalnego miasteczka będzie jej mówił, co powinna robić?

Wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej bostończycy nie przepadają za dobrym seksem, co?

Otworzyła usta, zamierzając mu się odgryźć, kiedy nagle w jego oczach dojrzała błysk rozbawienia. O nie, tej rundy, bratku, nie wygrasz!

- A może dla odmiany pogadamy o twoim życiu erotycznym? - zaproponowała.

- Nigdy nie rozmawiam o tym, co robię w łóżku
- odparł, zniżając głos. - Ale chętnie dam ci darmową próbkę moich możliwości.

Jej twarz spurpurowiała.

- Nie wierzę własnym uszom!
- A ja własnym oczom. Zaczerwieniłaś się.
- Z oburzenia.
- Tylko?

Nie, nie tylko. Była wściekła na swoje ciało, które zdradzało oznaki podniecenia. Dobra, weź się w garść. A najlepiej zmień temat.

- Powiedz, co ci zabrali?
- Kto? - zdziwił się Samuel.
- Włamywacze.
- Nic.

- Jak to nic? Po co ktoś miałby się włamywać do cudzego domu i niczego nie ukraść?

- Oskarżasz mnie o kłamstwo?

- Nie - odparła. Ale głowy by nie dała za jego prawdomówność. Samuel sprawiał wrażenie człowieka, który potrafiłby oszukać, zamydlić oczy. Dla zabawy, dla rozrywki, a także może dla korzyści.

Nagle na ulicy rozległ się pisk opon i warkot silnika. Obejrawszy się, Heather zobaczyła wyłaniającą się zza rogu czarną furgonetkę. Talerz satelitarny na dachu mógł oznaczać tylko jedno.

Samochód zatrzymał się przed domem Joan, drzwi się rozsunęły i ze środka wyskoczył mężczyzna, na oko trzydziestokilkuletni, o przylizanych włosach i kwadratowej szczęce. Miał na sobie spodnie khaki i jasną koszulę z krótkimi rękawami. W garści trzymał mikrofon.

- Joan Bateman? - spytał, podtykając go Heather pod nos.

Heather w milczeniu potrząsnęła głową.

Samuel zdecydowanym ruchem wsunął się pomiędzy nią a reportera, po czym, ujmując jej łokieć, odepchnął ją w bok. Nie protestowała. Tym bardziej że dotyk jego silnej ręki przyprowadził ją o dreszcze.

- Szukam Joan Bateman - powiedział reporter, rozglądając się wkoło.

- Nie ma jej tu - odparł Samuel.

- Przepraszam, a z kim mam przyjemność?

Samuel zbył to pytanie milczeniem.

- To Samuel Kane! - zawołała siedząca za kierownicą kobieta i stukając głośno obcasami, dołączyła do grupki na chodniku. - To jego historia posłużyła Bateman za natchnienie.

- Pan jest Samuelem Kane'em? - spytał reporter.

- A bo co?

Reporter podsunał mu mikrofon pod twarz.

- Zgadza się pan z przedstawioną przez Joan Bateman wersją zabójstwa pana rodziców?

- Nie wiem - oznajmił neutralnym tonem Samuel.

- Nie czytałem książki.

O tak, Samuel potrafi kłamać jak z nut. Heather popatrzyła na niego z podziwem.

- Ale wierzy pan w niewinność swojego ojca?

- Mówiłem to wielokrotnie. - Obróciwszy się na pięcie, Samuel wziął Heather pod rękę i ruszył w stronę skrzyżowania.

- Więc uważa pan, że ktoś go zrobił w to morderstwo? - zawołał za nimi reporter.

Heather z trudem dotrzymywała olbrzymowi kroku. Czuła napięcie w jego mięśniach.

- Dokąd idziemy? - zapytała szeptem.

- Panie Kane? - Reporter biegł za nimi z mikrofonem, nie dając za wygraną. - Czy mógłbym prosić o komentarz? Co pan sądzi o przedstawionej w książce hipotezie, że ojca wrobiono w zbrodnię, której nie popełnił?

Samuel zatrzymał się, zacisnął zęby, po czym bez słowa pochylił się nad mężczyzną i spiorunował go spojrzeniem. Reporter opuścił mikrofon.

- Dziękuję. I prze... przepraszam - wydukał, umykając pospiesznie do furgonetki.

- O rany! - szepnęła Heather.

- To powinno być zakazane - rzekł Samuel, pewien, że chodzi jej o zachowanie dziennikarza.

Nie wyprowadziła go z błędu, ale nie myślała o reporterze. To on, Samuel, wywarł na niej wrażenie: nie potrafiła otrząsnąć się ze zdumienia, że samym spojrzeniem można aż tak wystraszyć drugiego człowieka.

- Zostawiłem samochód tu nieopodal. Podrzucić cię?

Skinęła głową. Musi ostrzec Joan przed reporterami. I opowiedzieć jej o włamaniu do domu Samuela. A także jak najszybciej zadzwonić do rodziców. Nie dość, że jedna córka pisze kryminały i udziela w telewizji wywiadów, to teraz druga pojawi się w wieczornych wiadomościach, w dodatku w towarzystwie muskularnego olbrzyma.

Joan z radością przyjęła obecność siostry przy śniadaniowym stole. Inaczej trudno byłoby jej spojrzeć w twarz Anthony'emu. Co jej wczoraj odbiło? Czy koniecznie musiała uwiesić się Anthony'emu na szyi? Czy musiała się z nim tak całować?

Ale pal sześć pocałunki! Kiedy ruszył do wyjścia, ona go zawołała. Nie chciała się z nim rozstać. Błagalnym tonem poprosiła, żeby spędził z nią noc. Na szczęście dla

nich obojga Anthony wykazał się opanowaniem i rozumem. Nie zatrzymał się, tylko wyszedł. Dziś rano najchętniej zapadłaby się pod ziemię ze wstydu.

- Musisz zadzwonić do mamy - powiedziała Heather, popijając kawę. Na świeżego rogalika, który leżał przed nią na talerzu, w ogóle nie zwróciła uwagi.

- Nie mogę.

- To twoja książka.

- Ale to ty przyjechałaś na przeszpiegi, więc ty wszystko im opowiedz.

Anthony, który przysłuchiwał się rozmowie sióstr, westchnął głośno.

- Na miłość boską, ile wy macie lat? Zachowujcie się jak dorosłe kobiety.

Po raz pierwszy odkąd zeszli do jadalni, Joan napotkała jego wzrok.

- Słucham?

Odstawił filiżankę z kawą.

- Nie bądź dzieckiem. Zadzwonź.

- A ty byś do swoich zadzwonił?

- Oczywiście.

- Żeby przekazać im złą wiadomość?

- Tego, że piszę książki, nie uznaliby przecież za tragedię.

- Tak? I byliby szczęśliwi, słysząc twoje nazwisko wymieniane w związku z jakąś straszliwą zbrodnią?

Anthony podniósł z kolan serwetkę i położył ją na stole.

- Byliby szczęśliwi, że osiągnąłem sukces na rynku wydawniczym. To nie łąda wyczyn.

Wiedziała, że próbuje nią manipulować.

- A przyjaciele rodziców, ich bliżsi i dalsi znajomi, koledzy z pracy...

- Wszyscy byliby ze mnie dumni.
- Akurat.
- Słowo honoru, Joan. Nie rozumiem, w jakim świecie wyście z Heather dorastały.

Łypnęła na niego gniewnie. W drzwiach jadalni pojawił się Luc Carter.

- Powinniście to obejrzyć - powiedział, włączając stojący w rogu nieduży telewizor.

Na widok Samuela i Heather Anthony poderwał się na nogi.

- Głośniej!
- Boże, moje włosy! - jęknęła Heather.
- Nie jest tak źle - skłamała Joan, zerkając na siostrę.

Kobieta na ekranie wyglądała tak, jakby wstała z łóżka i nie zdążyła się uczesać.

- Cicho! - warknął Anthony.
- Przecież mówiłam wam, co mu powiedzieliśmy...

Z ekranu zniknęła wykrzywiona twarz Samuela. Po chwili spiker przeszedł do kolejnego tematu.

- Chyba jednak powinnaś zadzwonić do mamy - mruknęła Heather. - Nie ma sensu dłużej tego odkładać.

Joan przymknęła powieki. Siedziała bez ruchu, nerwowo zastanawiając się, w jaki sposób miałyby przeprowadzić rozmowę.

No więc, mamo, postanowiłam się w końcu ujawnić. Od dziesięciu lat piszę po kryjomu kryminały. W ostatnim zamieściłam dość pikantną scenę erotyczną. A najśmieszniejsze jest to, że książka oparta jest na prawdziwej zbrodni...

Potarła palcami skronie. Nie. Ta wersja odpada.

Zadzwoniła komórka Anthony'ego, zamiast ją jednak odebrać, popatrzył z zatroskaniem na Joan.

- Jak się czujesz?

- Doskonale.

Ponownie zadzwieczał telefon i Anthony ponownie go zignorował.

Martwi się o nią. Setki razy widziała na jego twarzy wyraz zaniepokojenia. Ale po wczorajszym pocałunku coś się zmieniło. Tak jakby wyrósł między nimi mur niepewności. Anthony sprawiał wrażenie zagubionego; nie wiedział, jak ma postąpić.

Komórka zabręczała po raz trzeci.

- Przepraszam, odbiorę - rzekł z niechęcią. Odchodząc od stolika, uniósł kłapkę. - Verdun, słucham.

- No, no, no - powiedziała Heather, kiedy właściciel pensjonatu wyłączył telewizor i udał się w stronę recepcji. - Mniejsza o telefon do mamy.

- A co, zadzwonisz sama? - spytała z nadzieją w głosie Joan.

- Nie. Opowiedz mi o Anthonym.

- Go mam ci o nim opowiedzieć?

- Nie udawaj niewiniątka. Coś między wami zaszło, prawda? Potrafię wyczuć napięcie w powietrzu. Kiedy na siebie patrzycie, iskry lecą.

- Napięcie? Iskry? Wydaje ci się - skłamała Joan.

Na samą myśl o wczorajszym wieczorze poczuła dreszcze. Popełnili wczoraj wielki błąd. No trudno, muszą się z tego jakoś wykaraskać.

Heather pokręciła głową.

- Na pewno nie. - Ściszyła głos. - Powiedz, co prze-gapiłam?

- Nic - odparła Joan, patrząc siostrze w oczy.

- Łżesz jak pies.

- Dobra, dzwonię do mamy.

- Aha! Zdradziłaś się! Teraz to już wiem na sto procent, że coś się wydarzyło. Spaliście ze sobą?

- Nie, nie spaliśmy.

Joan skierowała się do aparatu telefonicznego w rogu jadalni. Heather podreptała za nią,

- Bo wczoraj byliście tacy sobie bliscy. Dotykaliście się, poklepywali i w ogóle...

- Wcale się nie dotykaliśmy.

- Wiem, co mówię.

Joan westchnęła.

- Od wczoraj wiele się zmieniło. - Po pierwsze, udzieliła wywiadu. Po drugie, ktoś włamał się do jej domu. Po trzecie, całowali się... Jęknęła w duchu.

- A teraz oboje jesteście spięci i rozdrażnieni.

- Wydaje ci się. - Joan podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer do rodziców.

- O nie. - Heather potrząsnęła głową. - Zawsze mówiłaś, że jestem nad wyraz spostrzegawcza, nie pamiętasz?

- Tym razem wyobraźnia płata ci figła.

- Co on ci zrobił?

- Nic.

- Czyli ty coś zrobiłaś?

- Nie.

- Byliście razem, kiedy opuściłam z Lukiem twój pokój.

- Co z tego? —Na drugim końcu linii rozległ się sygnał.

- Sami, razem, w tym romantycznym pokoju na poddaszu...

- Anthony wyszedł pięć minut po tobie.

- Bardzo dużo może się wydarzyć w ciągu pięciu minut.

- Lub bardzo mało - burknęła Joan.

- Joanie?
- Co?
- Nie wiem, czy masz tego świadomość, ale kiedy teraz rozmawialiśmy, wykręciłaś numer do mamy.

Joan zakłęta siarczyście. Miała wrażenie, że słuchawka nagle waży tonę.

- Rezydencja Batemanów - powiedziała dźwięcznym głosem Dinora Bateman.

- Wypchnij ją przed kamery! Niech się pokazuje w telewizji! - krzyczał do słuchawki Stephen Baker.

- Nie da rady, na pewno się nie zgodzi - odrzekł Anthony, zerkając przez ramię, by sprawdzić, czy siostry nadal siedzą w jadalni.

- Słuchaj, ciśnienie skoczyło mi do stu siedemdziesięciu. Musimy...

- Już po artykule w gazecie ludzie rzucają się na książkę. Sprzedaż i tak wzrośnie.

Stephen wyznawał teorię, że trzeba kuć żelazo, póki gorące, Anthony zaś wiedział, że nie może puścić wszystkiego na żywioł. Musi myśleć o Joan, która w ciągu ostatnich dwóch dni wiele przeżyła. Nie chciał na nią naciskać ani jej do niczego zmuszać. Oczywiście nawet gdyby chciał, i tak nie dałby rady. Zresztą po tym, jak się zachował wczoraj, kiedy przekroczył granicę oddzielającą pracę od życia prywatnego, nie ma prawa prosić Joan o cokolwiek.

Z przerażeniem myślał, co by było, gdyby spełnił jej prośbę, kiedy szepnęła, by został na noc. Gdyby przystanął w drzwiach - gdyby się obejrzał... nie zdołałby się oprzeć. Kusiło go jej wielkie łóżko oraz zgrabne, ponętne ciało. Dziś rano oboje czuliby się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Chcesz, żebym padł na zawał! - ryknął do telefonu Stephen.

- Mam pomysł - oznajmił Anthony.

Wiedział, że musi szybko coś wymyślić. Na pewno istnieje jakieś rozwiązanie, sposób na to, by udobruchać szefa, a jednocześnie uszanować wolę Joan.

- Jaki? - zaskrzeczał głos na drugim końcu linii.

- Nie widzę naszej autorki w żadnym porannym programie, a ty? Masz natychmiast oddzwonić do Charliego Longa! Słyszysz?

- Najpierw niech się wszystko uspokoi.

- Uspokoi? Oszalałeś? Trzeba jeszcze bardziej podgrzać atmosferę!

Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślał Anthony, jego szef faktycznie dostanie zawału.

- Słuchaj, Stephen, to był dla niej szok. Biedaczka nie może się z tego otrząsnąć.

- Nic jej nie będzie! W końcu nie jest ze szkła! Anthony zazgrzytał zębami.

- Proszę cię, daj mi trochę czasu.

- Jutro osobiście zjawię się w Indigo...

- Nie!

- Anthony? - Na linii pojawił się nowy głos.

- Tak?

- Mówi Bo Reese.

Anthony zamarł. Przez cały czas przysłuchiwał się ich rozmowie wiceprezes wydawnictwa?

- Halo? Anthony?

- Dzień dobry, panie Reese.

Mężczyzna roześmiał się cicho.

- Wystarczy Bo. A więc powiedz mi, Anthony, jak się sprawy mają na Południu?

- Hm, muszę przyznać, że jest to jedna z najbardziej interesujących podróży, jakie zdarzyło mi się odbyć.

- Anthony ponownie zerknął na wejście do jadalni.

- Dosłownie osłupiałem, kiedy okazało się, że Jules Burrell to kobieta.

- Tak, wiele osób ten fakt zaskoczył.

- Chcemy wznowić jej poprzednie książki.

- Świetny pomysł. - Anthony powoli zaczął się odprężyć. To byłyby prawdziwa żyła złota; zarobiłaby i Joan, i agencja, i wydawnictwo. - Czy ktoś mógłby mi przefaksować stare umowy? - Zamierzał dopilnować, aby wydawca trzymał się wszystkich punktów.

- Oczywiście - odparł ze śmiechem Bo.

- Chciałbym je najpierw przejrzeć.

- Słusznie. Tak postępuje prawdziwy zawodowiec.

A teraz słuchaj... *Zdrada na bagnach* ma szansę zająć dwudzieste piąte, może trzydzieste miejsce na liście best-sellerów „New York Timesa”.

Anthony'ego ogarnęła fala podniecenia. Reprezentować pisarza, którego książka figuruje na liście best-sellerów, to ogromny zaszczyt.

- Jeśli szczęście nam dopisze - kontynuował Bo Reese - *Zdrada* może nawet trafić do pierwszej dziesiątki.

Anthony wstrzymał oddech.

- Do tego dojdą wznowienia starych książek. Jesteśmy gotowi przeprowadzić wielką kampanię reklamową. Mówimy o eksponowanym miejscu w księgarniach, o zniżkach, o trasie promocyjnej i spotkaniach z czytelnikami.

A więc sukces! Dla Joan, dla agencji Prism, dla wydawnictwa Pellegrin.

- Co ty na to, żebyśmy zaczęli od Charliego Longa? Anthony poczuł bolesny skurcz. Wiedział, że nie ma wyjścia; musi się zgodzić.

To oczywiste, że w ramach kampanii reklamowej Joan powinna wystąpić w kilku popularnych programach telewizyjnych. Było to potrzebne zarówno jej samej, jak i wydawnictwu. Dzięki przeciekowi do prasy zyskała niesamowity rozgłos. Okazję należy wykorzystać. Za kilka dni sprawa ucichnie, wybuchnie r>owy skandal, media stracą zainteresowanie.

Czyli teraz albo nigdy.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał Anthony, nerwowo zastanawiając się, w jaki sposób przekonać do pomysłu Joan.

- Doskonale - ucieszył się Bo Reese. - Słuchaj, jeśli to ci cokolwiek ułatwi... mógłbym spytać Charliego, czyby nie zadzwonił do Joan i osobiście nie zaprosił jej do swojego programu.

Anthony zawahał się. Long miałyby rozmawiać z Joan? Hm, ryzykowne posunięcie. Ale może przeważyc szalę.

- Kilka razy poszedł nam na rękę - dodał Bo.

- W porządku. - Anthony zacisnął powieki. - Nie zaszkodzi spytać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czuła się tak, jakby znów miała czternaście lat. Zawsze tak było, kiedy wytrącała matkę z równowagi. Dlatego zwykle bardzo się pilnowała, żeby jej nie denerwować.

- Trzeba to ukrócić, zdusić w zarodku - oznajmiła stanowczo Dinora Bateman. - Sytuacja jest absolutnie nie do zaakceptowania.

- Może z czasem ludzie by się przyzwyczaili... - szepnęła Joan.

Przepraszała matkę już z dziesięć razy, ale wiedziała, że co się stało, to się nie odstanie. Jak słusznie powiedział Anthony, chowanie głowy w piasek nic nie da.

- Wcale nie chcemy, żeby ktokolwiek się przyzwyczajał. - Matka podniosła głos. - Chcemy, żeby jak najszybciej o wszystkim zapomniano. Nie pomyślałaś, jak to się może skończyć?

- Nie, mamo, nie zastanawiałam się nad końcem - przyznała Joan, przesuwając palcem po kwiecistej tapecie na ścianie jadalni.

Gdyby „The New York Times” nie wydrukował artykułu; gdyby Samuel nie wystąpił przed kamerą; gdyby bohaterowie *Zdrady* nie uprawiali perwersyjnego seksu... może wtedy zdołałaby zapobiec kłopotom.

Ale bomba poszła w górę.

Coraz bardziej kusił ją wyjazd do Paryża. Mogłaby

wynająć kawalerkę na poddaszu niedaleko Pól Elizejskich, wymyślić inny pseudonim i dalej pisać książki. Westchnęła ciężko. Musiałaby wszystko zaczynać od nowa. Ale czy ma inne wyjście?

- Cała ty - powiedziała matka. - Przystępujesz do działania, nie myśląc o konsekwencjach. Tak jak wtedy, kiedy zaczęłaś grać w tym okropnym zespole rockowym, a myśmy musieli...

- Pojadę do Paryża, mamó. - Podniósłszy wzrok, Joan ujrzała w drzwiach Anthony'ego z telefonem komórkowym w ręku.

Zapadła cisza, i w jadalni, i na drugim końcu linii.

Dinora Bateman pierwsza ją przerwała.

- No, wreszcie mówisz do rzeczy.

Anthony pokręcił głową,

- Nie... - rzekł półgłosem.

Postąpił krok naprzód, ale drogę zastąpiła mu Heather.

- Poproszę ojca, żeby natychmiast skontaktował się z pilotem - ciągnęła Dinora.

Przyglądając się, jak Anthony usiłuje wyminąć jej siostrę i wejść głębiej do jadalni, Joan oparła się o ścianę.

- Muszę kończyć, mamó.

- Ale trzeba zrobić plany - sprzeciwiła się matka.

- Zejdz mi z drogi! - warknął Anthony.

- Joan wyjeżdża do Paryża.

- Heather wspomniała, że samolot mógłby wylądować w St. Martinville - kontynuowała Dinora. - Proponuję, żebyś...

- Polecę zwykłymi liniami - przerwała jej Joan.

- Nie bądź śmieszna.

Anthony chwycił Heather za ramiona i niemal przestawił metr dalej.

- Mamo, naprawdę muszę kończyć.

Ale...

Rozłączyła się. Anthony stanął przed nią.

- Musimy pogadać.

- Joan wyjeżdża do Paryża - powtórzyła Heather.

- Chodź na dwór.

- Nie wychodź, Joanie.

Joan wychyliła się zza Anthony'ego i spojrzała na siostrę.

- Heather...

- Nie ufam mu, Joanie.

Joan westchnęła zniecierpliwiona. Nie może zniknąć ot tak sobie. Anthony'emu należy się wyjaśnienie. Spokojnie i racjonalnie zamierzała mu wytłumaczyć, że nie chce skrzywdzić swojej rodziny. Nigdy nie dążyła do sławy i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Wczorajszy wywiad w telewizji wypadł całkiem nieźle i nawet sprawił jej przyjemność. Chociaż nikomu by się do tego nie przyznała, widoczna gołym okiem radość ekipy z możliwości poznania sławnej pisarki podbudowała jej ego.

Od dziecka żyła w cieniu ojca, matki, siostry. Wczoraj, po raz pierwszy, ważna była ona, nie oni. Została przedstawiona jako „Joan Bateman”, nie córka Conrada lub Dinory Batemanów, nie siostra Heather Bateman. Po prostu Joan Bateman, pisarka.

No dobrze, nie ma sensu roztkliwiać się nad sobą. Narobiła szkód. Musi je naprawić.

- Wyjdźmy na powietrze - zwróciła się do Anthony'ego.

- A dziennikarze? - spytała Heather. - A fani? Przed budynkiem kręci się mnóstwo ludzi.

- Kazałem im opuścić teren posesji - oznajmił Luc Carter.

- Może porozmawiamy w altance? Tam powinno być spokojnie.

- Chodźmy. - Anthony wziął ją pod rękę.

- Będą was śledzić...

- Nikt nie będzie śledził. Jedyne dojście do ogrodu prowadzi przez pensjonat - wyjaśnił Luc.

- Co się wtrącasz? - zezłościła się Heather. - Ta sprawa ciebie nie dotyczy!

- Owszem, nie dotyczy - przyznał właściciel pensjonatu. - Ale altanka jest do dyspozycji gości.

Niewiele brakowało, aby na widok naburmuszonej miny siostry Joan szczerze się roześmiała. Ale przypomniała sobie o rozmowie, która ją czeka z Anthonym, i natychmiast spoważniała. Psiakość, będzie zawiedziony.

- Chodźmy - powtórzył Anthony.

Przez duże rozsuwane drzwi wyszli na taras za domem, a potem białymi schodkami zeszli na kamienną ścieżkę, która prowadziła do altanki na końcu ogrodu.

Wędrowali w milczeniu, Joan jednak czuła napięcie promieniujące z ciała mężczyzny. Po minucie czy dwóch znaleźli się w dębowym lasku. Słońce przedierało się przez gałęzie, powietrze wypełniał śpiew ptaków i kumkanie żab.

Tuż przed altanką Anthony przystanął.

- Jesteś zła z powodu tego pocałunku?

Zaskoczył ją. Od wczoraj usilnie starała się zapomnieć o tym, co się stało.

- Nie. I lepiej do tego nie wracajmy.

Przeczesał ręką włosy, wpatrując się w jej twarz.

- Chciałem cię przeprosić. Żałuję...
- Żałujesz, że mnie pocałowałaś? - Chyba żadna kobieta nie chciałaby usłyszeć twierdzącej odpowiedzi na tak postawione pytanie.

- Oczywiście, że tak. - Zacisnął dłonie.

Próbowała ukryć ból, jaki sprawił jej tymi słowami.

- Rozumiem. Przynajmniej mam jasność. Głupio byłoby wyjeżdżać z kraju, myśląc, że...

- Joan...

- Co? - warknęła.

Psiakrew, miała spokojnie i rzeczowo przedstawić swoje argumenty. Jak zwykle wystarczyło pół minuty w towarzystwie Anthony'ego, żeby straciła nad sobą panowanie.

- Popełniłem błąd.

- Rozumiem. Wyjadę do Paryża.

- To zły pomysł.

- Każdy ma prawo do błędów.

- Twoja matka usiłuje storpedować twoją karierę.

- Nie mieszaj do tego mojej matki.

- Ale to ona jest źródłem twoich kłopotów. To z powodu rodziców wygadujesz te bzdury...

- Nie zwalaj winy...

- Świat stoi przed tobą otworem, Joan. Możesz robić, co ci się żywnie podoba.

- Chcę pisać.

- To pisz.

- Zamierzam.

- Świetnie.

- W Paryżu. Pod nowym pseudonimem.

W ciszy, jaka zapadła, świergot ptaków, rechot żab i granie cykad zdawały się rozlegać ze zdwojoną siłą.

Twarz Anthony'ego wykrzywił grymas. Z gardła dobyło się coś, co zabrzmiało jak przekleństwo w jakimś dziwnym obcym języku. Policzki mu zbladły, potem pociemniały. Przez chwilę Joan zastanawiała się, czy tak wygląda człowiek przechodzący właśnie zawał serca.

- Anthony? - spytała zaniepokojona.

Wreszcie wypuścił z płuc powietrze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co odrzucasz?

- Nie interesują mnie pieniądze.

- Normalni pisarze marzą o sławie. Dążą do uznania i popularności.

- Jeżeli ludziom podobały się książki, które pisałam jako Jules Burrell, spodobają im się te, które napiszę jako John Smith.

- Niekoniecznie.

- Zaryzykuję.

Podszedł krok bliżej. Nieopodal w wodzie rozległ się chłupot. Joan odruchowo obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy to przypadkiem nie aligator.

- Zyskałaś sławę po dziesięciu latach i dwunastu książkach.

Przygryzła wargę.

- Nie zależy mi na sławie.

- Popularność autora wpływa na sprzedaż jego książek. Im wyższy książka ma nakład, tym większą autor ma siłę przebicia. Jedno pociąga za sobą drugie. Zrozum, poświęciłem twoim książkom dziesięć lat...

- Przepraszam bardzo, to ja je pisałam, nie ty.

- Ale beze mnie wciąż leżałyby u ciebie na dnie szuflady.

Zabolały ją jego słowa.

- Naprawdę tak uważasz?

Czekała. Strużka potu spływała jej po plecach.

- Nie - odparł wreszcie. Uszła z niego cała wola walki. - Jesteś wspaniałą pisarką, Joan. Najlepszą, jaką kiedykolwiek miałem przyjemność reprezentować. Najchętniej udusiłbym twoją matkę za to, że mi ciebie odbiera.

Zatkało ją. Ona, Joan Bateman, miałaby być wspaniałą pisarką? Wspaniałym pisarzem był Hemingway, wspaniałym dramaturgiem był Szekspir. A ona? Ona pisze nic nieznaczące powieści kryminalne.

- Wyjaśnij mi, Joan, dlaczego bliscy cię nie kochają?
- spytał niskim głosem.

- Ależ co ty mówisz! - oburzyła się. - Oczywiście, że kochają.

Pokręcił głową.

- Myślą wyłącznie o sobie. Nie o tym, czego ty pragniesz.

- Bo to ja popełniłam błąd. - Sprawiała im przykrość. Przyniosła wstyd. Publikując książki, wiedziała, że ryzykuje, ale nie miała świadomości, czym to się może skończyć.

- Jaki błąd? - spytał Anthony.

Próbował sprowokować ją do kłótni.

- Kochają mnie - powtórzyła cicho.

- Dziwnie to okazują.

- Próbują mnie chronić.

- Przed czym?

Westchnęła.

- Pytam serio, Joan. Przed pieniędzmi? Przed sławą?

- Przed byciem wykorzystaną.

Na moment zamilkł.

- Uważasz, że cię wykorzystuję? - spytał cicho.

- Ja nie. Oni tak.
- Że cię wykorzystuję?
- Ja tak nie myślę.

Potarł ręką szyję.

- Wiesz, że realizatorzy programu „Charlie Long Live” wyrazili tobą zainteresowanie?

Niemal wbrew sobie poczuła się mile połączona. Charlie Long jest szanowanym dziennikarzem. W swoim programie przedstawia fakty, prowadzi sensowne rozmowy i nie szuka taniej sensacji.

- Dlaczego Long miałby mnie zapraszać?
- Bo napisałaś znakomitą książkę. Bo ludzi interesuje historia rodziców Samuela. Byłabyś pierwszym, czyli najważniejszym gościem.

Skłamałaby, mówiąc, że ma to w nosie. Kusił ją występ u Longa, ale przyjmując zaproszenie, postąpiłaby egoistycznie. Zaspokoiłaby własną próżność, lecz rodzicom sprawiłaby kolejną wielką przykrość, której chyba jej nie wybaczyli.

- Muszę kierować się intuicją...

Anthony ujął jej rękę i delikatnie potarł palcem.

- I co ci ona teraz mówi?

Kropelki potu wystąpiły Joan na skroniach i zaczęły spływać ku brodzie. Wziawszy głęboki oddech, zmusiła się, aby spojrzeć Anthony'emu prosto w oczy.

- Mówi mi, że w obliczu trudności rodzina musi trzymać się razem.

Zacisnął zęby.

- A my? Ty i ja? - spytał. - Nie powinniśmy się trzymać razem?

- My nie...

- Oni myślą wyłącznie o sobie, Joan.

- Są moją rodziną - szepnęła. Decyzja o wyjeździe do Paryża nie należała do łatwych. Dlaczego Anthony wszystko jej utrudnia?

- Nie są.

Zesztywniała. Tym razem posunął się stanowczo za daleko.

- Czyżby? Więc powiedz mi, Anthony, czym według ciebie jest rodzina?

- To grupa ludzi, na których pomoc i wsparcie zawsze możesz liczyć.

- I tacy są twoi bliscy?

- Tak.

Roześmiała się, ale z jej śmiechu przebijała gorycz.

- Ciekawe, jak by się zachowali na miejscu moich rodziców?

- Nie dopuściliby do powstania takiej sytuacji.

- No tak, oczywiście - zirytowała się Joan. - Są święci.

- Nie, nie są święci. - Na moment zamilkł. - Nie wstydziliby się tego, co robię. Po ukazaniu się mojej pierwszej książki zorganizowaliby wielkie przyjęcie. Wykupiliby pół księgarni, obdarowaliby wszystkich przyjaciół, znajomych, współpracowników.

- A co, zadają się wyłącznie z amatorami szmiry?

Ledwo to powiedziała, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Spojrzenie Anthony'ego stało się lodowate. Otworzyła usta, by go przeprosić, ale ją powstrzymał:

- Lepiej nic więcej nie mów.

Stała spięta, wystraszona, czekając na wybuch gniewu.

Anthony przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby była obcą osobą, którą widzi po raz pierwszy w życiu, po

czym obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do pensjonatu.

Odprowadziła go wzrokiem. Plusk na pobliskim mokradle powtórzył się. Miała nadzieję, że to aligator. Spotkanie z dużym, głodnym zwierzęciem rozwiązałoby wszystkie jej problemy. Chrup, chrup i do widzenia. Już nikomu nie sprawiłaby zawodu.

Heather miała wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy. Joan nie wychodziła z pokoju, a na pytania udzielała monosylabowych odpowiedzi. Ponieważ jednak prywatny samolot do Paryża zamówiony był na jutro, a Joan nic nie mówiła o zmianie planów, Heather uznała, że musi cierpliwie czekać.

Anthony od rana się nie pokazywał, z kolei Luc zajęty był budową pomostu. Do Indigo przybywało coraz więcej dziennikarzy i turystów, więc Heather nie bardzo miała ochotę wybrać się na spacer po mieście. Z nudów sięgnęła po należący do Luca egzemplarz *Zdrady na bagnach*.

Zaczęła czytać około czwartej. O szóstej, pochłonięta niespodziewanymi zwrotami akcji, podniecającymi scenami erotycznymi, niezwykłymi postaciami, całkowicie zapomniała o zewnętrznym świecie. Nawet nie pamiętała o tym, że tę książkę napisała Joan.

Wieczorem usłyszała dochodzący z holu gruby głos Samuela. Jego obecność wywołała w niej dreszczyk emocji, ale dziś poczuła również sympatię do tego olbrzyma. Nie wiedziała, co w książce jest prawdą, a co wytworem wyobraźni. Lecz jedno nie ulega wątpliwości: to Samuel był szesnastoletnim Jaredem, którego rodzice zostali tak brutalnie pozbawieni życia.

Teraz rozumiała, dlaczego wyrósł na twardziela. Po stracie rodziców mieszkał sam w domu, w którym rozegrała się tragedia, wieczorami po szkole pracował, potem terminował u stolarza. I on, i chłopiec w książce, dali sobie w życiu radę.

Starając się nie zwracać uwagi na głosy w holu, wróciła do lektury. Po pewnym czasie zeszła na dół do jadalni, usiadła w kąciku, zapaliła lampę i dalej czytała.

Nie podsłuchiwała, zresztą trzy głosy - Samuela, Anthony'ego i Luca - zlewały się w jednostajny szmer. Ale ten szmer był jej potrzebny; koił emocje wywołane lekturą książki.

- Heather?

Podskoczyła jak oparzona. Zbliżała się do końca powieści; przestępcy zostali już złapani.

- Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Cześć, Samuel. - Odłożyła książkę na stół.

Zerknął na okładkę.

- Podoba ci się?

Skinęła głową, a potem, patrząc w jego czarne nieprzeniknione oczy, spytała cicho:

- Ile z tego jest... - Przygryzła wargę. - Przeżyłeś piekło.

Uśmiechnął się smutno.

- To było dawno temu.

- Mimo wszystko. Aż trudno to sobie wyobrazić.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ona jako nastolatka żyła w całkiem innym świecie; interesowały ją najmodniejsze stroje, sportowe samochody, prywatki. Miała świadomość, że nie wszystkim wiedzie się tak dobrze, ale nie zdawała sobie sprawy, jak wielką jest szczęściarą. Oczy zaszczyły jej łzami.

- Hej. - Samuel ujął ją za brodę. - Czyżby pod maską hetery kryła się łagodna istota?

Przełknąwszy ślinę, Heather potrząsnęła głową.

- Nie.

- To dobrze.

- Dobrze?

- Moja kobieta musi być silna.

Łzy natychmiast wyparowały jej z oczu.

- Twoja kobieta?

Pogładził ją po twarzy, a jej po krzyżu przebiegły ciarki.

- Moja. Nie udawaj, że nic nie czujesz. - Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Anthony powiedział, że jutro wyjeżdżacie?

- Zabieram Joan do Paryża - odparła drżącym głosem.

Przysunął się bliżej, przechylił głowę.

- Czyli to moja ostatnia szansa.

Ostatnia szansa? Na co?

- Żeby mnie pocałować? - spytała Heather.

Szelmowski uśmiech wypełził mu na usta i rozświetlił oczy.

- Możemy zacząć od pocałunku.

Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- A potem pokażę ci rzeczy, o jakich dobrze wychowani biali chłopcy z Bostonu nawet nie mają pojęcia.

- Tak myślisz? - spytała, siłąc się na zuchowaty ton.

- Wiem. - Wzruszył ramionami.

Zezłościła się. Co on sobie wyobraża? Że jest jego zabawką erotyczną? Nic z tego! Zaraz mu udowodni, że się myli. Może bije od niego seksapil, może kobiety za nim szaleją, może nawet wzbudził jej ciekawość, ale...

Otworzyła usta, nabrała powietrza i w tym momencie Samuel przysunął się jeszcze bliżej. Ich twarze dzieliły najwyżej dwa centymetry. W nozdrza uderzył ją zapach... nie, nie drogiej wody kolonskiej, lecz zapach mężczyzny, zapach ciała, skóry, feromonów.

Pogładził ją po policzku, leciutko musnął wargami jej usta. Właściwie to nie był pocałunek.

- Tylko jedna noc - szepnął. - Jaka szkoda.

Przez siatkę w oknie wpadł ciepły powiew wiatru, niosąc z sobą woń rosnących na zewnątrz hortensji. Lecz jej kręciło się w głowie od zapachu Samuela.

Wreszcie! Wreszcie ją pocałował. Nogi się pod nią ugięły.

- U mnie - powiedział cicho, na moment odrywając usta.

- Nie mogę - szepnęła, odwzajemniając pocałunek.

Zacisnął ręce na jej talii, na gołym skrawku ciała między szortami a brzegiem bluzki.

- Możesz...

- Nawet cię nie znam.

Wsunął rękę wyżej pod cienką bluzkę.

- Co z tego?

- Możesz być... - Wstrzymała oddech, gdy wierzchem dłoni przeciągnął po jej piersi.

- Jaki? Niebezpieczny?

- O, tak... - Wygięła plecy w łuk.

- Jestem. Bardzo niebezpieczny. - Jego palce pieściły jej skórę. - Zdobędę cię. - Zmiażdżył jej usta w namiętym pocałunku.

Płoneła. Gotowa była mu się oddać tu i teraz.

- Tylko jeszcze nie wiem gdzie.

Chciała zaoponować. Jeszcze żaden mężczyzna się do

niej tak nie zwracał. Wszyscy zawsze traktowali ją z szacunkiem.

Ale Samuel ma rację. Wiedziała, że lada moment zaczną się kochać na środku jadalni. Lepiej zrobią, jadąc do niego do domu.

- A jeśli powiem nie? - spytała przekornie.
- Nie powiesz.

Zaczął gładzić wewnętrzną stronę jej uda. Odruchowo wbiła paznokcie w jego szyję.

- Jedziemy do mnie.

Nie odpowiedziała. Ale to nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu. Po chwili zgarnął ją w ramiona i skierował się do wyjścia. Nawet przemknęło jej przez myśl, co Joan, Anthony albo Luc sobie pomyślą, ale oszołomiona zmysłowym zapachem i niesamowitym pożądaniem szybko zapomniała o otaczającym ją świecie.

Podczas krótkiej jazdy obserwowała profil Samuela. Był doskonale zbudowany i przystojny. Wiedziała, że czeka ją upojna noc.

Nagle samochód gwałtownie zahamował z piskiem opon.

- Cholera jasna!

Przytrzymując się ręką tablicy rozdzielczej, Heather rozejrzała się wkoło.

- Co się stało?
 - Pali się światło.
 - Gdzie?
 - W moim domu. - Wyłączył reflektory i podjechał bliżej do krawężnika, zgasił silnik.
 - Może zostawiłeś włączone?
 - Na pewno nie - odparł bez cienia wahania w głosie.
- Nie ruszaj się stąd.

Kolejne włamanie? Znów jakiś zapalony fan szukający pamiątek?

- Samuel... - Nie chciała, żeby tam wchodził. - Zadzwoń na policję.

- Zaraz wróce.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę podjazdu. Heather wstrzymała oddech. Jest silny, powtarzała w duchu. Nic mu nie będzie. Jeśli ktoś nadal przebywa w środku, tym lepiej. Samuel złapie tego drania i wreszcie w miasteczku znów zapanuje spokój.

Oczywiście nie miało to dla niej większego znaczenia, bo jutro leci z Joan do Paryża, ale Samuel tu mieszka. Tu jest jego dom.

Od ganku dzieliło go jeszcze kilka metrów, kiedy raptem drzwi się otworzyły i nocnym powietrzem wstrząsnął huk wystrzału.

Heather wrzasnęła, Samuel osunął się na ziemię.

Niewyraźna postać przeskoczyła przez balustradę i zniknęła w mroku.

Heather rzuciła się do leżącego na trawie mężczyzny, raz po raz wołając jego imię. Ukłękła na ziemi.

- Samuel...?

Jęknął. Krew spływała mu z ramienia na klatkę piersiową.

- Gdzie masz komórkę? - zapytała.

- W kieszeni - wysapał.

- Nie waż się umierać!

Drżącą ręką wyciągnęła telefon. W oddali usłyszała jadące na sygnale radiowozy. Zapewne sąsiedzi wezwali policję. Dzięki Bogu!

Pochyliwszy się nad Samuelem, ścisnęła mocno jego dłoń.

- Nie umieraj, proszę! - Głos się jej załamał. - Nie umieraj.

Nie zareagował.

Odgarnęła mu z czoła włosy. Skrzywił się z bólu.

- Zrobię wszystko, co zechcesz, przysięgam, tylko żyj. Zgodzę się na najbardziej perwersyjny seks, tylko nie umieraj.

Widząc, jak klatka mężczyzny unosi się gwałtownie i zaraz opada, wystraszyła się, że Samuel wydaje ostatnie tchnienie.

- Będiesz... - Urwał.

Przerażona, tuląc jego dłoń do swojej piersi, pochyliła się nad jego twarzą.

- Co, Samuel? Co będę?

- Żałować obietnicy.

- Dlaczego?

- Bo nie umrę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wiedziała, że powinna przeprosić Anthony'ego za to, co powiedziała przy altance. Cały dzień odkładała tę rozmowę. Najchętniej w ogóle by jej nie odbyła, ale za niecałe dwanaście godzin wylatywała do Paryża i nie mogła pozwolić, aby ich współpraca zakończyła się w tak przykry sposób.

Około północy, zdobywszy się wreszcie na odwagę, zeszła piętro niżej. Pokój Anthony'ego był tuż koło schodów; dalej znajdował się pokój Heather.

Zapukała cicho.

- Tak?

- Anthony? - Przełknęła ślinę.

Cisza. Czyżby nie chciał jej widzieć? W końcu rozległ się ochrypły głos:

- Wejdz.

Pchnęła drzwi. Siedział na łóżku, z gołym torsem, z rozłożonymi wokół siebie stronami maszynopisu.

- Cześć - powiedziała nieśmiało.

- Wszystko w porządku? - spytał chłodnym tonem.

- Tak. Nie. Przepraszam.

Wzruszył ramionami. W świetle lampki nocnej widziała niechęć w jego oczach.

- Anthony...

Skierował spojrzenie na kartkę, którą trzymał w dłoni.

- Nie przejmuj się. Nic się nie stało.

Postąpiła krok do przodu.

- Stało się. Obraziłam ciebie i twoją rodzinę.

Podniósł wzrok.

- Uważasz, że dlatego jestem zły?

Zmieszła się.

- A nie?

- Jestem zły za to, że pomiatasz sama sobą.

Zamrugła oczami. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Naprawdę myślisz, że tylko „amatorzy szmiry” czytają twoje książki?

- Ja...

Widząc, jak Anthony odrzuca kołdrę, wstrzymała oddech. A jeśli jest goły? Na szczęście miał na sobie bokserki.

- Oni zrobili ci pranie mózgu - powiedział, wstając z łóżka.

- Ja... po prostu nie mogę.

Przyszła, by go przeprosić, a nie żeby się znów kłócić. Prawdę mówiąc, była niepocieszona, że musi się rozstać zarówno z nim, jak i ze swoją karierą pisarską. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu potrzebowała wsparcia Anthony'ego.

Wyciągnął ręce i delikatnie zgarnął ją w ramiona.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Poczuła ukłucie w sercu; nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Będzie dobrze, zobaczysz - powtórzył.

- Przepraszam - szepnęła. Przepraszała za to, że go uraziła, za to, że zawiodła nadzieje, jakie w niej pokładał, za to, że musi go opuścić i wyjechać do Europy.

Popatrzyła mu w oczy, starając się zapamiętać jego mądrość, wrażliwość, dobroć i namiętność.

Odgarnął jej włosy z czoła, a ją znów przeszył dreszcz podniecenia.

Nie wypada prosić po raz drugi, zwłaszcza po wcześniejszej odmowie. Więc milczała. Duma nie pozwalała jej błagać.

Sekundy mijały. Stali przytuleni, ich ciała idealnie do siebie przylegały. Wciągała w nozdrza jego zapach, serce jej łomotało. Świat zewnętrzny oddalał się; istnieli tylko oni. Nie proś, powtarzała w duchu. Nie proś. Nie wypada.

Słowa same przecisnęły się jej przez gardło. Nie zdołała ich powstrzymać.

- Anthony, błagam cię...

Zakreśliło mu się w głowie. Nawet nie próbował się oprzeć; po prostu przywarł ustami do jej ust. Z włosami w nieładzie, lekko zaspana, była piękna, zmysłowa, niezwykłe pociągająca.

- Stęskniłem się... - szepnął.

Nigdy więcej nie chciał czuć jej gniewu, chłodu, obojętności. Jeżeli Joan wyjedzie, trudno. Może ją reprezentować bez względu na to, gdzie i pod jakim nazwiskiem będzie pisać. Jeśli zajdzie konieczność, będzie ją odwiedzał w Paryżu.

- Kiedyś wrócę - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Pokręcił smutno głową. W głębi duszy wiedział, że to koniec. Batemanowie mają na nią zbyt wielki wpływ.

- Ale nieprędko.

Nie zaprzeczyła.

- Nie powinienem był wczoraj odchodzić - rzekł.

- Powinienem był zaciągnąć cię do łóżka...

- A teraz? - Uśmiechnęła się niepewnie.

Wzruszyła go jej nieśmiałość.

- Nie powtarzam błędów.
- To dobrze. - Pociągnęła za pasek od szlafroka.

Była kragła w miejscach, gdzie kobieta powinna mieć kragłości, szczupła tam, gdzie powinna być szczupła. Gęste miękkie włosy opadały jej na ramiona: Oczy błyszczały. Nie przerywając pocałunku, Anthony uniósł ją z podłogi. Przepełniało go uczucie szczęścia, a zarazem smutku: rano Joan zniknie z jego życia.

- Pragnę cię. Potrzebuję...
- Ja ciebie też.

Położył ją na materacu i wodząc wzrokiem po jej ciele, szepnął:

- Od lat marzyłem o tej chwili. Ilekroć cię widziałem, marzyłem o tym, żeby wziąć cię w ramiona.
- Myślałam, że mnie nie zauważasz.

Roześmiał się.

- Nie żartuj! Z trudem nad sobą panowałem.
- Poważnie? - Przycisnęła nos do jego boku.
- Jak Boga kocham.

Uśmiechając się kokieteryjnie, zsunęła ramiączko. Anthony spoglądał wyczekująco na jej dekolt. Po chwili zsunęła drugie, po czym...

- Nie, ja sam.

Koszulka trzymała się na kilku kokardkach. Rozwiązał je. Na widok jędrnych piersi, płaskiego brzucha i ciemnego trójkąta u zbiegu ud nie zdołał powstrzymać pełnego zachwyty jęku. Szeptał jej imię, okrywał pocałunkami jej ciało, a ona mruczac z rozkoszy, coraz bardziej go rozpalała.

Nagle z korytarza dobiegł głośny łoskot.

Anthony zaklął. Ledwo zdążył zakryć kołdrą nagie

ciało Joan, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się, uderzając z hukiem w ścianę.

- Anthony? - W progu stała Heather.

Anthony obejrzał się za siebie. Spodziewał się, że się spieszy, że przeprosi za najście i czym prędzej wycofa. Ale ona stała jak wrośnięta w ziemię.

- Anthony - powtórzyła, dysząc ciężko.

Joan poderwała się, przyciskając kołdrę do piersi.

- O co chodzi? - spytała, patrząc na siostrę, która tak mocno zaciskała rękę na klamce, że kostki jej zbiały.

- Postrzelono Samuela.

Pierwszą osobą, którą Anthony ujrzał na szpitalnym korytarzu, był Alain Boudreaux. Ruszył prosto w jego stronę.

- I co? Jak on się czuje?

- Lekarz twierdzi, że nic mu nie będzie.

Przeczesując ręką włosy, Anthony odetchnął z ulgą. Idąca obok niego Joan uścisnęła siostrę.

- Wiadomo, co się stało?

- Kolejne włamanie - odparł Alain. - Samuel pojawił się, kiedy złodziej przetrząsał jego dom.

- Myślałem, że Indigo to spokojne miasteczko.

Pierwsze włamanie miało miejsce dwa dni temu. Wtedy nic nie zginęło. Czy dzisiejsze to robota tego samego człowieka?

- Nie wiem, co się dzieje - przyznał szef policji.

- Ale wszczynamy dochodzenie.

Joan, blada jak ściana, podeszła bliżej.

- Czy to ma jakiś związek ze mną? Z moją książką?

- Dobrze pytanie - mruknął Alain.

- Pewnie tak. Bo inaczej dlaczego by...

- Policja dopiero bada sprawę - oznajmił Anthony, biorąc ją za rękę, po czym ponownie zwrócił się do Alaina: - Wiadomo chociaż, kto strzelał?

- Według Samuela był to biały mężczyzna, szpakowaty na skroniach. Heather nie zdołała mu się przyjrzeć.

Heather skinęła głową na potwierdzenie słów policjanta. W szortach i cienkiej bluzeczce wyglądała przeźrażliwie krucho.

- Siedziałam w samochodzie. Zobaczyłam błysk. Samuel padł na ziemię. Przyjechała karetka, ale ja zgubiłam telefon... - Przełknąwszy łzy, zaczęła pocierać dłońmi ramiona, jakby chciała się rozgrzać. Dygotała na całym ciele. - Mogłabym go zobaczyć?

- Wkrótce. Teraz jest operowany.

Anthony spostrzegł leżący na wózku koc i zarzucił go Heather na ramiona.

- A więc nie będzie przewieziony do St. Martinville?
- spytała Joan.

- Kula utkwiała w ramieniu. Lekarze woleli przeprowadzić operację na miejscu, niż ryzykować transport.

- On nie może umrzeć... - załkała Heather.

Anthony uświadomił sobie, jakim traumatycznym przeżyciem musiał być dla niej widok strzału. Popatrzył na zatroskaną twarz Joan i przytulił do piersi obie kobiety. Zastanawiał się, co jeszcze się wydarzy. Jak długo potrwa to szaleństwo?

W wahadłowych drzwiach na końcu korytarza pojawił się lekarz w niebieskim fartuchu, papierowym czepku na głowie i ochraniaczach na butach.

Oswobodziwszy się z uścisku, Heather rzuciła się w jego stronę.

- Panie doktorze! I co?

Lekarz skinął głową.

- Wszystko w porządku. Na szczęście kula nie utkwiła głęboko. Jeszcze przez jakiś czas pacjent będzie lekko zamroczony, ale może go pani odwiedzić.

Heather ruszyła w stronę drzwi. Kamień spadł jej z serca.

- Wszystko wymyka się spod kontroli - szepnął Anthony.

Widząc pogrążonych w rozmowie lekarza z policjantem, wy dobył z kieszeni komórkę i wcisnął numer pensjonatu. Wciąż obejmował Joan; nie zamierzał spuszczać jej z oczu. Nie wiadomo, kto dokonuje włamań, toteż wołał nie ryzykować.

Na drugim końcu linii odezwał się Luc Carter.

- Wyrzebie się - oznajmił bez żadnych wstępów.

- Dziwne to...

- Oj, dziwne. Niedługo przywiozę dziewczyny. Masz jakąś broń?

- Strzelbę i stary pistolet.

- Świetnie.

- W razie czego służę pomocą.

- Dzięki. - Anthony rozłączył się.

- Broń? Chyba żartujesz? - Joan zamrugała nerwowo.

- Wyglądam, jakbym żartował?

Przełknęła ślinę.

- Więc jednak uważasz, że to moja wina?

- Nie bądź niemądra.

- Ale że sprawa ma związek z moją książką?

- Jeszcze nie wiem.

- Samuel został postrzelony z powodu czegoś, co napisałam.

- Nie wiadomo.
- To moja wina. - Zadrzała.
- Na pewno nie twoja.
- Więc czyja? No, czyja?

Popatrzył jej w oczy.

- Tego drania z pistoletem.

Zza drzwi wyłoniła się Heather. Joan podeszła do siostry, a do Anthony'ego podszedł szef policji i wręczył mu wizytówkę.

- Na odwrocie jest numer mojej komórki. Jeśli Heather coś sobie przypomni, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

- Ona jutro leci do Paryża. - Anthony schował wizytówkę.

- Nigdzie nie lecę - oznajmiła Heather, wierzchem dłoni wycierając policzki.

- Lepiej będzie, jak zostanie na miejscu - stwierdził Alain Boudreaux.

- Lepiej będzie, jak wyjedzie - sprzeciwił się Anthony.

- Nie sądzę, aby cokolwiek jej groziło. Włamywacz nie chciał nikomu wyrządzić krzywdy. Po prostu Samuel pojawił się w nieodpowiednim czasie.

- Wrócił do swojego domu.

- Wiem. I ten dom przeczesują teraz moi ludzie. Podobno wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Myślę, że włamywacz znalazł to, po co przyszedł.

- Tak czy inaczej wywożę dziewczyny z miasta.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła Joan.

- Lecisz do Paryża - przypomniał jej Anthony.

- Dopiero jak się wyjaśni, kto strzelał do Samuela.

- W czym twoja obecność mu pomoże? - Nie mógł

uwierzyć, że namawia ją do wyjazdu. Ale nic dziwnego; bał się o jej bezpieczeństwo.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym wsiadła do samolotu.

- Wczoraj nie chciałaś słyszeć o pozostaniu - odparował.

- Jestem chimeryczna.

- To prawda - przyznała Heather.

Obejrzeni się.

- No co? - spytała, rozładowując napięcie.

Alain schował notes do kieszeni na piersi.

- Jeśli pani nie wyjeżdża - zwrócił się do Joan - to może jednak zechce pani wesprzeć nasz festiwal?

- Widzisz? - Popatrzyła na Anthony'ego. - Alain uważa, że nic mi tu nie grozi.

- Alain nie wie, co mówi.

- Przepraszam bardzo, ale piętnaście lat pracuję w policji - oburzył się Boudreaus. - Oczywiście zawsze trzeba być ostrożnym, ale powodów do paniki nie ma.

- No widzisz? - ucieszyła się Joan.

Anthony łytnął gniewnie na policjanta. Ten wzruszył ramionami.

- Bardzo chętnie poprę festiwal.

- Dziękuję w imieniu swoim i mieszkańców.

- To moje książki burzą spokój Indigo - mruknęła pod nosem. - A nie festiwal.

- Lecisz do Paryża i już. - Anthony nie dawał za wygraną.

Przez całą drogę do pensjonatu doprowadzała Anthony'ego do białej gorączki, powtarzając z uporem maniaka, że nigdzie nie poleci.

- Opuść żaluzje i nie zapalaj światła - warknął, stając w drzwiach pokoju na poddaszu. - Trzymam pierwszą wartę, potem zastąpi mnie Luc.

- Zupełnie jakbyśmy miały siedem lat - mruknęła Heather, kładąc się obok siostry w olbrzymim łóżku.

- Bo zachowujecie się jak siedmiolatki.

Heather pokazała mu język.

- A nie mówiłem? - Anthony zamknął drzwi.

Joan uśmiechnęła się w duchu. Nie dziwiła się Anthony'emu, że się martwi, ale wszystko sobie dokładnie przemyślała. Dwukrotnego włamania dokonał jakiś niewiedzony fan, który za pierwszym razem nie znalazł pożądanых pamiaątek. Gdyby ktoś miał jej za złe napisanie *Zdrady*, nie strzelałby do Samuela. Przyszedłby do niej, do domu albo do pensjonatu.

Wyciągnawszy rękę, uściśnęła dłoń siostry.

- No i co, wszystko w porządku?

- Teraz, jak wiem, że Samuel będzie żył, to tak.

Joan wpatrywała się po ciemku w profil siostry, usiłując zrozumieć, co ją łączy z tym mężczyzną. Jeszcze niedawno miała wrażenie, że oboje zieją do siebie nienawiścią.

- Słuchaj... właściwie po co tam pojechaliście? - spytała.

Heather poprawiła poduszkę, po czym oparła ją o białe ratanowe wezglowie.

- Chciałam zobaczyć, jak Samuel mieszka.

- Dlaczego?

- Bo opisałaś w swojej książce jego dom.

- No i co z tego? - Dom, który opisała, był po części jej własnym domem, a po części jednym z wielu kreolskich domów, jakie widziała w okolicy. U Samuela nigdy przecież nie była.

- To, że przeczytałam dziś *Zdradę*.

Joan zamarła.

- Jest znakomita.

Wzruszenie odjęło Joan mowę.

- To znaczy... to znaczy, że ci się podobała?

- A czy cię kiedykolwiek okłamałam?

- Nie.

- No widzisz? Uważam, że twoja książka jest... Hm, ekscytująca, erotyczna, frapująca.

- Frapująca? - powtórzyła Joan. Nigdy nie sądziła, że usłyszysz tak pochwalne słowa z ust kogoś należącego do rodziny.

- Naprawdę potrafisz pisać.

Joan zamrużyła powiekami, oczy ją zapiekły.

- Myślisz, że spodoba się rodzicom?

Heather parsknęła śmiechem.

- Na to bym nie liczyła. Zrozum - dodała, widząc wyraz rozczarowania malujący się na twarzy siostry.

- Im lepsze są twoje książki i im większa twoja popularność, tym silniejsza jest ich niechęć.

- Brr! - Joan wcisnęła twarz w poduszkę.

- Nie wygrasz z nimi.

- Wiem - rzekła przytłumionym głosem. - Wiem.

Siostra poklepała ją po ramieniu.

- Trzeba było pisać wiersze.

- O źdźbłach trawy skapanych w porannej rosie? To nie w moim stylu. - Joan podniosła głowę. - Naprawdę ci się moja książka podobała?

- Przysięgam.

Joan odetchnęła z ulgą. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zależy jej na pozytywnej opinii siostry.

- Ale na razie musimy omówić inne sprawy.

- Jakże?

- Przyłapałam cię w łóżku z Anthonym...
- No cóż, zważywszy na okoliczności, wybaczam ci to wtargnięcie - oznajmiła Joan, starając się wymazać ten niezręczny moment z pamięci.

Heather dźgnęła siostrę w bok.

- Mówiłaś, że z sobą nie sypiacie.
- Bo nie sypialiśmy... Nie sypiamy.
- Jak to?
- My... my dopiero... - Joan urwała. Nie chciała pogarszać sytuacji.

Przez chwilę Heather patrzyła na nią w milczeniu, po czym wybuchnęła śmiechem.

Na schodach rozległ się tupot nóg. Zanim zorientowały się, o co chodzi, do pokoju wpadli Anthony i Luc, obaj uzbrojeni

- Jezu! Co się dzieje? - przeraziła się Joan.
- Krzyknęłaś.

Anthony rozejrzał się po pokoju, Luc skierował broń w stronę okna balkonowego.

- Nie ona. Ja - rzekła Heather.
- Nie się nie stało - dodała pośpiesznie Joan.
- Krzyczałaś bez powodu? - spytał z niedowierzaniem Anthony.
- Ja... ja się śmiałam - wyjaśniła Heather.

Mężczyźni opuścili broń. Luc, zdegustowany, potrząsnął głową i wyszedł z pokoju.

- Śmiałaś się?
- Tak. Z czegoś, co Joan powiedziała.

Zaraz ją zabiję, pomyślała Joan, posyłając siostrze ostrzegawcze spojrzenie.

- Może to i lepiej, że bawi was ta cała sytuacja - mruknął Anthony, zabezpieczając broń.

- Rozmawialiśmy o książce Joan - oburzyła się Heather. - A nie o tym, co się przytrafiło biednemu Samuelowi.

- W książce Joan nie ma nic śmiesznego.

- Śmieszne jest to, że mi się podobała.

W oczach Anthony'ego pojawił się błysk zaciekawienia.

- Przeczytałaś ją?

- Owszem. I uważam, że jest fantastyczna.

- No widzisz? - zwrócił się z zadowoloną miną do Joan. - Byłaś pewna, że Heather nigdy po nią nie sięgnie. A jeśli już, to że jej się nie spodoba.

- Rodzicom na sto procent się nie spodoba.

- Joan ma rację - poparła ją siostra.

- Poddaję się. - Odłożył broń na stół i podszedł do łóżka. Pogładziwszy Joan po głowie, schylił się i pocałował ją w czoło. - Żadnych więcej śmiechów i krzyków, dobrze?

- Obiecuję.

Usatysfakcjonowany odpowiedzią, wrócił po broń, po czym opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

- A więc twierdzisz, że nie sypiacie ze sobą? - zapytała Heather.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miałyby spać z Anthonym? Dziś rano marzyła o tym, by go zamordować. Jak mógł jej coś takiego zrobić?

- Panno Bateman? - Z zadumy wyrwał ją głos Charliego Longa, który przez telefon brzmiał równie przyjemnie jak w telewizji. - Pytałem, czy nie przyleciałyby pani w piątek do Los Angeles, żeby wystąpić w moim programie?

- Ja... Obawiam się, że... -bąkała, szukając pretekstu, by się wykręcić.

- Byłaby pani pierwszym i najważniejszym gościem.

Zacisnęła powieki, usiłując się skupić. Kolejny występ w telewizji, w dodatku w tak znanym i chętnie oglądanym programie, nie jest dobrym pomysłem. Ale Charlie Long sprawiał sympatyczne wrażenie, poza tym czuła się mile połączona jego telefonem.

- Chciałbym porozmawiać o pani książce, a także o tym, co spotkało rodzinę Kane'ów. Kto wie, może udałoby się doprowadzić do wznowienia śledztwa?

O tym nie pomyślała, ale oczywiście on ma rację. Jej występ mógłby pomóc Samuelowi. Jest mu to winna po wczorajszej strzelaninie.

Z drugiej strony... rodzice, zwłaszcza matka.

- Przeczytałem *Zradę na bagnach*. To pasjonująca książka. Ogromnie mi się podobała.

- Dziękuję. A mnie się ogromnie podoba pański program.

- Naprawdę? - ucieszył się Long. - Więc niech się pani zgodzi, bardzo proszę. Producent tak na mnie naciska...

- Współczuję - powiedziała Joan.

Faktycznie mu współczuła. Wiedziała, jak to jest, kiedy ktoś człowieka do czegoś zmusza. Znów ogarnęła ją złość na Anthony'ego. Jak mógł ją postawić w takiej sytuacji?

- To co, Joan, mogę na ciebie liczyć? - spytał mężczyzna, przechodząc na „ty”.

- Muszę się zastanowić...

- Potrzebuję odpowiedzi już teraz. Wizażystka właśnie pudruje mi twarz, za kilka minut wchodzę na wizję i muszę zapowiedzieć, co będzie w piątkowym programie.

Wizażystka pudruje mu twarz, a on rozmawia z nią, Joan, przez telefon? Poczowała się ważna.

- Joan...?

- Dobrze, zgoda. - Ledwo wypowiedziała te słowa, przeraziła się.

- Cudownie. Jesteś wspaniała. Do zobaczenia w piątek.

W słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

W głębi duszy Joan zdawała sobie sprawę, że może mieć pretensje wyłącznie do siebie. Ale wolała wyładować złość na Anthonyem.

- Anthony?

Poderwał się na nogi, chwycił broń, w dwóch susach znalazł się przy drzwiach. Otworzywszy je, rozejrzał się w obie strony.

Na korytarzu stała Joan - sama, z buńczuczną miną, z rękami splecionymi na piersiach.

- To było naprawdę podle. Nie spodziewałam się tego po tobie.

Opuścił broń i przeczesał ręką rozczochrane włosy, po czym jeszcze raz zerknął na schody i korytarz.

- Co? O czym mówisz?

Minąwszy go, Joan wpadła do pokoju.

- O Charliem Longu.

- Zadzwoił?

- Owszem. Wiedziałaś o tym?

Nie odpowiedział. Rozmawiając z Bo Reese'em, po prostu badał grunt. Nie sądził, że Long zadzwoni bez wcześniejszego porozumienia.

- Anthony! Zadałam ci pytanie.

- Wydawca wspominał mi o takiej możliwości. Ale to było, zanim Samuel został postrzelony.

- Zwalniam cię.

Przez moment sądził, że się przesłyszał. Ale wyraz twarzy Joan rozwiązał jego wątpliwości.

- Mówię serio - ciągnęła drżącym głosem. - Polecę do Los Angeles i wystąpię w programie, bo obiecałam Longowi, ale...

- Zgodziłaś się? - Nie wierzył własnym uszom.

- Chryste.,.

- Po prostu pytam. - Skoro się zgodziła, to dlaczego go zwalnia?

- Ciebie interesuje tylko praca. Strzelanina, seks z klientką to jedynie drobne przerywniki.

Trochę za daleko się posunęła.

- Nie doszło do żadnego seksu - zauważył.

Posłała mu wrogie spojrzenie.

- Muszę być kimś bardzo ważnym, skoro Long dzwoni do mnie osobiście.
- Oczywiście.
- Wiedziałeś, że nie zdołam odmówić!
- Wcale nie...
- Przestań. Nie kłam. Już mnie nie reprezentujesz.
- W porządku, nie reprezentuję. Poczynając od soboty - oznajmił.

Czy jej się to podoba, czy nie, potrzebuje go w Los Angeles. Potrzebuje jego rady i wsparcia. Łączy ich dziesięcioletnia współpraca. Nie zamierza rzucić jej na głęboką wodę i zostawić.

- Skreślałam cię z mojej listy plac.
- Dobrze, a ja i tak lecę z tobą do Los Angeles.
- Bez względu na to, co zrobisz, nie zmienię zdania.
- Wcale na to nie liczę.

Skierowała się ku drzwiom.

- Po Los Angeles nasze drogi się rozejdą.
- Jak sobie życzysz - powiedziała, starając się zachować kamienny wyraz twarzy. Czuł się tak, jakby wbiła mu nóż w serce.

Wtem na schodach rozległ się tupot.

- Joanie?

Joan wzięła głęboki oddech.

- Tu jestem!

W drzwiach pojawiła się Heather, tuż za nią Samuel.

- Szybko cię wypisali - rzekł Anthony, spoglądając na rękę na temblaku.

Samuel wzruszył zdrowym ramieniem.

- Powiedziałem lekarzom, że skoro oczyścili ranę, to się zmywam. Nawet specjalnie nie próbowali mnie zatrzymać.

Nic dziwnego, pomyślał Anthony, patrząc na olbrzyma.

Heather weszła do pokoju i nie zwracając uwagi na napięcie panujące między siostrą a jej agentem, przysiadła na łóżku.

- Samuel ma pewne podejrzenie.

- Jakie? - spytała Joan; z jej tonu nie sposób było się domyślić, że przed chwilą zakończyła dziesięcioletnią współpracę ze swoim agentem.

Samuel oparł się o framugę drzwi.

- Nie wykluczam, że to jednak sprawka wielbiciela.

- Mów, mów - zachęcił go Anthony, usiłując skupić się na rozmowie.

- Czytając książkę, byłem przekonany, że zawiera ona samą prawdę.

Heather wstała z łóżka i zaczęła przemierzać pokój.

- I przyszło nam do głowy...

- Że ktoś inny mógł mieć identyczne odczucie - dokończył Samuel.

- Nie rozumiem... - Joan zmarszczyła czoło.

- Chodzi o forszę - wyjaśnił Anthony, unikając jej wzroku. - W książce napomykasz, że w którejś ścianie domu zamurowano pieniądze. Najwyraźniej ktoś w to uwierzył.

- Brawo - przyklasnęła Heather.

- Przecież ja to zmyśliłam.

- Ale włamywacz tego nie wie - wtrącił Samuel.

- Podejrzewam, że po to najpierw włamał się do ciebie. Żeby znaleźć jakieś wskazówki.

- Skradł notatki, jakie robiłam podczas pisania.

- Przedstawiłeś swoją hipotezę Alainowi? - spytał Anthony.

- Nie. Uznałem, że najpierw zasięgnę waszej opinii.

Wersja Samuela trzyma się kupy. Jeśli to prawda, to chyba rzeczywiście nikt nikogo nie chciał zabić.

- Wygląda na to, że pojawiłeś się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie - stwierdził Anthony; jego wiara w szefa policji, który wczoraj wyraził podobną opinię, została przywrócona.

- No właśnie. Nie wydaje mi się, żeby włamywacz chciał mnie ukatrupić. Po prostu spanikował, a że był uzbrojony...

- Byłeś w domu? To znaczy od czasu wypadku?

Rozprute ściany potwierdzą słuszność jego hipotezy.

- Jeszcze nie.

- Teraz tam jedziemy. - Heather przysunęła się do Samuela. - O ile zdołamy wymknąć się dziennikarzom.

- Chcecie nam dotrzeć towarzystwa?

- Tak - odparł Anthony. - Ale zaraz po tym lecimy do Kalifornii.

Heather popatrzyła pytająco na siostrę.

- Zgodziłam się wystąpić w programie Charliego Longa.

- O Boże!

- Wiem. Nie powinnam była...

- Nie uprzedziłyśmy mamy, że zostajemy! - Heather rzuciła się biegiem do drzwi. Samuel odsunął się, robiąc jej przejście. - Pewnie już wysłała samolot do St. Martinville.

Przeklinając pod nosem, Joan pognała za siostrą.

Z cierpiętniczą miną szła za Heather i mężczyznami do drzwi na tyłach domu Samuela.

Psiakość, zwolniła dziś Anthony'ego. Była zła, że nie respektuje jej życzeń. Prawdę rzekłszy, spodziewała się,

że ją przeprosi, że będzie o nią walczył. Zależało jej na tym.

Niestety, tak się nie stało.

Teraz jest za późno. Nie może przyjąć go z powrotem.

Ruszyła po schodach i nagle zorientowała się, że wszyscy przystanęli. Wyciągnęła szyję, usiłując zajrzeć do środka. Samuel ją przepuścił. Zrównała się z Heather, wsunęła głowę za drzwi i zamarła z przerażenia.

Szafy były otwarte, szuflady powyciągane, zawartość kuchennych szafek leżała porozrzucana po podłodze.

Samuel ruszył przez kuchnię w głąb mieszkania. Szkło chrzęściło mu pod nogami. Widać było, że należy do ludzi, którzy przykładają wagę do swojego otoczenia. Ściany w salonie miały piękny beżowy kolor; gdzieś na suficie przecinały grube belki z drzewa sekwojowego. Na wyłożonej terakotą podłodze leżał gruby, wzorzysty dywan.

Na szczęście meble, duża, wygodna kanapa i fotele, pozostały nietknięte. W nienaruszonym stanie zachował się również wiszący nad kominkiem portret państwa Kanne'ów.

- Większość rzeczy jest nieuszkodzona - powiedział Anthony, patrząc na książki, papiery i naczynia, które zaścielały podłogę w pomieszczeniach na parterze. Doszedłszy do schodów, podniósł głowę, po czym przytrzymując się ręką poręczy, ruszył na górę.

Heather podążyła za nim.

- I co? Widać rozprutą boazerię? Albo dziurę w ścianie... - Jej głos cichł w oddali.

Wzdychając ciężko, Samuel spojrzął na Joan.

- Zanim napisałaś tę książkę, moje życie upływało znacznie spokojniej.

- Przepraszam - szepnęła. Sprawia ludziom zawód, przysparza kłopotów. Łatwo jej to przychodzi. Najwyraźniej ma do tego talent. - Chętnie zatrudnię kogoś, kto tu posprząta - zaferowała. Przynajmniej tyle może zrobić.

Potrząsnął głową.

- Nie, muszę wszystko sam przejrzeć.

- Rozumiem. Chcesz sprawdzić, czy nic nie zginęło.

Schylił się po ciśnięty w kącie album fotograficzny.

- Nie sądzę, żeby cokolwiek zabrano.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie przypominam sobie, żeby ten facet coś niósł.

- Przynajmniej wiemy, że forsę w ścianie nie znalazł. - Żałowała, że pisząc książkę, wpadła na tak durny pomysł.

Samuel podniósł zdjęcie w pękniętej ramce, zdmuchnął z niego kurz i ustawił na stoliku.

- Korci mnie, żeby samemu coś zamurować. Może jak znajdą pieniądze, dadzą mi spokój.

- Sto tysięcy dolarów? Masz tyle?

- Żyję skromnie.

Tyle oszczędził, pracując jako stolarz? - zdumiała się Joan. Jeśli tak, powinien forsę zainwestować albo otworzyć własny biznes!

Podniósł z podłogi następny oprawny w skórę album.

- Oczywiście, wolałbym nie dzielić się oszczędnościami ze złodziejem - dodał.

- Wiesz, Charlie Long uważa, że moja książka i występ w jego programie mogą doprowadzić do wznowienia procesu. - Powiedziała to, bo chciała Samuela pocieszyć, a nie dlatego, że wierzyła w niewinność jego ojca.

- Lepiej ogłoś wszem wobec, że żadnej forsę nie ma.

Skinęła głową. Racja.

Samuel wyprostował klosz na lampie.

- Żartuję. Nikt ci nie uwierzy. Niektórzy nawet potraktują twoje zaprzeczenie jako dowód na istnienie forsy.

- Dlaczego?

- Uznają, że sama chcesz ją odnaleźć.

- Gdyby tak było, tobym się wstrzymała z drukiem książki.

- Może. - Zawahał się. - Tyle że pisałaś *Zdradę* pod pseudonimem. Nie sądziłaś, że prawda wyjdzie na jaw; że ludzie dowiedzą się, gdzie mieszkasz.

- Psiakrew. - Położyła rękę na jego ramieniu. - Tak mi przykro...

- To nie twoja wina.

- A czyja? To ja napisałam tę książkę.

Zmrużył oczy, a po chwili się uśmiechnął.

- Nie miej wyrzutów sumienia. Kto mógł przypuszczać, że tak się stanie?

Łzy napłynęły jej do oczu. Samuel jest niezwykły. Swoim pisaniem zburzyła mu spokój, a on ją pociesza.

- Czasem mi się wydaje, że wszystko, czego się tknę, obraca się w proch.

- Różnicie się z Heather, prawda? Ty katujesz się poczuciem winy, a ona grzeszy nadmierną pewnością siebie.

- To dlatego, że wszystko jej zawsze wychodzi.

- E tam.

- Gdybyś słyszał, jak pięknie gra na skrzypcach...

- Udaje.

Joan spojrzała w sufit.

- Nie można udawać gry na skrzypkach.

- Ale można udawać, że się to lubi. Heather się okła-

- Co ty mówisz! - oburzyła się Joan.
- Ona nienawidzi swojego życia.
- Nie bądź śmieszny! Jak można nienawidzić podróży prywatnymi odrzutowcami, noclegów w pięciogwiazdkowych hotelach i premier na Broadwayu? - Często zazdrościła siostrze tego, że jest pogodna, beztraska i pełna życia.

- W takim razie co ona tu jeszcze robi? - spytał z namysłem Samuel. - Dlaczego tkwi w Indigo, zamiast szaleć w Nowym Jorku?

- Czeka na mnie. Żeby mnie zabrać do Paryża. Bo jestem zakałą rodziny.

- Tak sądzisz?
- A ty jak sądzisz?
- Ściany nietknięte! - zawołała z góry Heather.
- Moim zdaniem jest o ciebie zazdrosna - odparł.
- Chyba zwariowałeś!
- Polowania na pamiątki nie można wykluczyć
- rzekł Anthony, schodząc z góry.

Na jego widok Joan poczuła bolesne ukłucie. Sprawił wrażenie zrelaksowanego, jakby w ogóle nieprzejęty tym, że rozstają się na zawsze.

- Powiem jutro w programie, że w domu Samuela nie ma żadnej ukrytej forsy - oznajmiła lekkim tonem. - Powiem wszystkim, co jest prawdą, a co fikcją.

- Mówiłem, że to nic nie da - mruknął Samuel.
- Takie oświadczenie tylko nasili spekulacje - stwierdził Anthony.

- Muszę coś zrobić! - Nie chciała siedzieć bezczynnie i patrzeć, jak życie Samuela wymyka się spod kontroli.

- Moglibyśmy spalić chałupę - podsunął Anthony.

- Nie! - zaprotestowała ostro Heather. - To piękny stary dom. Tylko spójrz na te belki...

- Przecież żartowałem.

Samuel miał inny pomysł.

- Można by ukryć się i czekać, aż dranie wróca, po czym schwytać ich na gorącym uczynku.

- Skąd wiesz, że wróca?

- Bo nie znaleźli forsy.

- Dobry pomysł - pochwaliła Heather.

- Ja niestety nie mogę wam pomóc - powiedziała Joan. - Muszę lecieć do Los Angeles.

Podczas gdy Heather będzie pomagała Samuelowi wyplątać się z kłopotów, ona z kieliszkiem szampana w ręku będzie siedziała w wygodnym fotelu i denerwowała się przed rozmową z Charliem Longiem.

Autorkę *Zdrady na bagnach* czeka wspaniała przyszłość. Wszyscy tak myśleli: Anthony, Charlie Long, nawet asystentka na planie. Pozostałych dwóch gości przesunięto na inny termin, a cały godzinny program poświęcono Joan. Anthony'ego rozpieęła duma.

Po zakończeniu programu Charlie przez kilka minut kontynuował rozmowę z Joan, potem przedstawił ją swoim współpracownikom.

Nie spuszczać z niej oka, Anthony pomyślał, że przed odlotem do Nowego Jorku musi jej znaleźć nowego agenta. Może Calvin Brick? Nie, Calvin nalegałby na wielką kampanię reklamową. Tristan Tremayne? Też nie; Tristan znany był z tego, że sypia z klientkami. Adrianna Carmichael reprezentowała wielu autorów bestsellerów, ale z wieloma wydawnictwami była skłócona. Czyli też odpada.

W kieszeni na piersi poczuł wibracje telefonu komórkowego. Wyciągnął go.

- Słucham?

- Przypomnij, żebym ci dał lepszy gabinet - powiedział mu do ucha Stephen Baker.

- Świetnie sobie poradziła, prawda?

Po przerwie reklamowej, punktualnie o szóstej, stacja zaczęła nadawać serwis informacyjny. Oglądały go tysiące ludzi. Przypuszczalnie większość z nich widziała przynajmniej ostatnie minuty wywiadu z Joan Bateman.

- Była fantastyczna.

- Przekażę Joan twoje słowa.

- Powiedz jej też, że planujemy dla niej trasę promocyjną, kilkanaście miast, spotkania z czytelnikami...

- To nie jest dobry pomysł - przerwał swemu rozmówcy Anthony. Już nigdy nic nie będzie planował dla Joan, ale na razie trzymał to jeszcze w tajemnicy.

- Przekonałeś ją do występu w programie Longa - zauważył Stephen.

- Z wielkim trudem.

I za jaką cenę!

Joan uwolniła się od publiczności w studiu. Mimo że nienawidziła rozgłosu i sławy, oczy lśniły jej z podniecenia. Pociemniały, kiedy napotkała wzrok Anthony'ego. Uśmiech na jej wargach również zgaś.

- Muszę kończyć - powiedział Anthony i rozłączył się. - Doskonale wypadłaś - rzekł, kiedy podeszła bliżej.

Odgarnęła włosy za ucho.

- Charlie chyba jest zadowolony z programu.

- Zaprosił cię ponownie?

Zmrużyła oczy. Anthony pokręcił przepaszająco głową.

- Tak tylko pytam.
- Nie, nie zaprosił. - Skierowała się w stronę poczekalni dla gości.

Wzdychając głośno, Anthony wepchnął telefon do kieszeni i ruszył za Joan. Szła wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, lekko kołysząc biodrami; w wąskiej spódnicy, w żakiecie i szpilkach stanowiła uosobienie wdzięku i elegancji.

Przyśpieszył nieco, żeby zrównać z nią krok.

- Jesteś głodna?

Wzruszyła nie dbale ramionami.

- Musisz coś zjeść. - Nie chciał zrywać z nią kontaktu, przynajmniej dopóki nie znajdzie kogoś, kto by dobrze reprezentował jej interesy. - Na Sunset jest sympatyczna knajpka, w której serwują pyszne owoce morza.

Restauracja znana była nie tylko z pysznych owoców morza, również z pięknego tarasu z widokiem na ocean oraz bardzo powolnej obsługi. Mieliby okazję dłużej porozmawiać.

- Zamierzałam jechać prosto na lotnisko.
- Samolot mamy jutro.

Weszli do dużej sali, w której zaproszeni goście czekali na wejście do studia. Nieopodal drzwi, przy małym biurku, siedziała pracownica telewizji.

- Czy mogłaby mi pani zamówić taksówkę? - poprosiła Joan.

Kobieta uśmiechnęła się i sięgnęła po telefon.

- Nie ma potrzeby. Jeden z naszych kierowców zaraz będzie do pani dyspozycji.

- Dziękuję.
- Chcesz spędzić noc na lotnisku? - spytał Anthony.

Producent wynajął dla nich ogromny apartament z trzema sypialniami.

- Może uda mi się zdobyć bilet na wcześniejszy lot
- powiedziała Joan, odchodząc od biurka.

- Joan? - Ujął ją za łokieć. - Dlaczego to robisz?

Chyba nie chciała, aby ich pożegnanie odbyło się w poczekalni lub na korytarzu studia telewizyjnego?

- Joan...

- Daj spokój, Anthony. - Popatrzyła mu w oczy.

- Nie ma sensu tego przeciągać.

Przeczesał ręką włosy.

- A więc to koniec? - spytał, przerywając pełną napięcia ciszę. - Mamy się tutaj rozstać?

Usta miała zaciśnięte, spojrzenie utkwione w przeciwległą ścianę.

- Przeżyłaś największy sukces w swoim życiu zawodowym. - Mimo że starał się zachować spokój, głos mu drżał. - I teraz mówisz mi do widzenia?

- Uważasz, że to był mój największy sukces? - spytała cierpkim tonem.

- Program Charliego Longa należy do najlepszych w telewizji. Znane osobistości marzą, żeby w nim wystąpić.

- Proszę pani? Samochód czeka...

- Jadę z tobą - rzekł Anthony.

- Nie.

- Przepraszam, czy ten pan pani przeszkadza?

- Nie, wszystko w porządku. - Joan skierowała się do drzwi.

- Tak, wszystko w porządku - zawtórował Anthony, ruszając w ślad za nią.

- Zostaw mnie.

- Twoje niedoczekanie.
- Zwolniłam cię.
- Poczuję się zwolniony, jak wylecimy z Los Angeles.

Joan przystanąła.

- Czy mogłaby pani wezwać ochronę? - zwróciła się do kobiety przy biurku.
- Hej, nie wygłu...
- Ten człowiek mnie napastuje.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kraźyli po budynku opery, szukając bezpiecznej kryjówki, z której mogliby prowadzić obserwację domu. Obejrzelili wiele zagraconych pomieszczeń; został jeszcze strych. Zadarłszy głowę, Heather popatrzyła na wąskie strome schody, które znikały w mroku kopuły. Mrok rozjaśniało słabe światło, które wpadało przez niewielkie okienko, oraz blask latarki, którą Samuel ścisnął w dłoni.

- Jak się boisz wspinaczki, to poczekaj na dole. Ja sprawdzę i wrócę.

- Nie boję się - oznajmiła, próbując zlekceważyć lęk. Wiedziała, że bez problemu dotrze na górę. To nie wchodzenie, lecz schodzenie ją przerażało.

- Na pewno?

Na strychu znajdowało się mnóstwo okienek; dom Samuela byłby widoczny z trzech stron. Na wszelki wypadek wzięli z sobą aparat. Nie, Heather nie zamierzała zostać na dole; pokona lęk wysokości!

- Na pewno.

- Znakomicie. - Samuel uśmiechnął się chytrze.

- Co tak szczerzysz zęby?

- Pamiętasz, co mi obiecałeś? - spytał szeptem.

- Nie - skłamała, unikając jego spojrzenia.

- Kłamczucha.

Obiecała mu, że zrobi wszystko, czego on zechce, ale była to obietnica zrodzona ze strachu. Samuel nie umarł.

A ona, Heather, mimo podniecenia, jakie stale odczuwała, nie była gotowa na żaden perwersyjny seks.

Postawiła stopę na dolnym stopniu.

- Nie tak szybko.
- Musimy zająć dogodną pozycję.

Kiedy zaśmiał się pod nosem, zrozumiała, że jej słowa zabrzmiały trochę dwuznacznie. Samuel pogładził ją po ramieniu. W tym momencie uświadomiła sobie, jak skąpo jest ubrana: w kusą bawełnianą spódniczkę i obcisły top na ramiączkach.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - powiedziała. Z jednej strony chciała zmienić temat, a z drugiej...

- Dałaś mi słowo. Obietnica to rzecz święta - rzekł Samuel, jakby czytał jej w myślach.

- Wtedy myślałam, że zaraz wyzioniesz ducha.
- Ale nie umarłem.

Cisza zdawała się ciągnąć bez końca. Wreszcie Heather podniosła głowę i odważyła się spojrzeć na Samuela. Oczy mu płonęły. Wciąż gładził ją palcem po ramieniu. Nie przypuszczała, że ramię zalicza się do stref erogenych.

Nic nie mówił; przyglądał się jej bez słowa, a ona walczyła sama ze sobą.

- No dobrze, a na co miałbyś ochotę? - W końcu co jej szkodzi spytać? Może to coś niewinnego? Może wcale nie perwersyjnego? Chociaż wtedy byłaby lekko rozczarowana.

- Zdejmij majtki.

Przebiegł ją dreszcz.

- Po co?

- Bo obiecałaś, że zgodzisz się na najbardziej perwersyjny seks.

- A co... co chcesz zrobić?
- Zobaczysz.
- Nie.
- Tak.
- Nie, najpierw mi powiedz.
- Nie, najpierw zdejmij majtki.

Oczy mu się śmiały. A więc drażni się z nią. Nie zamierza jej skrzywdzić. Prawda?

- Na co czekasz? - spytał.
- No dobrze, w porządku. Ale pod warunkiem, że nie sprawisz mi bólu.
- Nie sprawię.
- Na pewno?
- Za kogo mnie masz?

Próbowała zdecydować, czy jeśli go posłucha, to wykaże się niesamowitą odwagą czy niesamowitą głupotą. W końcu uznając, że do odważnych świat należy, sięgnęła pod spódnicę i ściągnęła koronkowe figi.

Proszę bardzo. Wywiązała się z obietnicy. Postąpiła honorowo. Samuel podniósł majtki z podłogi i schował je do kieszeni.

- I co teraz? - spytała Heather, krzyżując ręce.

Chce przywiązać ją do balustrady schodów? Kochać się z nią na stojąco przy ścianie? A może przyniósł z sobą jakąś zabawkę z sex-shopu?

- Idziemy na górę. - Zapraszającym gestem wskazał schody.

- Będziemy uprawiać perwersyjny seks na schodach?
- Kto mówi o perwersyjnym seksie?
- Ale... —Nagle uświadomiła sobie, o co mu chodzi.
- Zboczeniec!
- Myślałem, że już to ustaliliśmy.

Uderzyła go w lekko pięścią w mostek.

- Chcesz mi zaglądać pod spódnicę!
- To był twój pomysł. W dodatku świetny.
- A ty powiedziałaś, że nie masz zwyczaju tego robić.
- Bez pozwolenia nie mam. - Przysunął się bliżej.
- Ale zakładam, że mam pozwolenie?
- Mylisz się.
- Łamiesz przyrzeczenie.
- Bo mnie oszukałeś.
- I nie umarłem? Fakt. - Skinął z powagą głową. - Od początku wszystko sobie tak zaplanowałem. Najpierw, że dam się postrzelić, a potem, że zmuszę cię, abys mi obiecała dziki wyuzdany seks.
- Och, jesteś niezdolny!
- Mogę zadać ci pytanie?
- Jakie?
- Czy chcesz iść po tych schodach przede mną?

Poczuła ciarki na plecach. Otworzyła usta, by powiedzieć „nie”, ale patrząc Samuelowi w oczy, zrozumiała, że to „nie” byłoby kłamstwem.

Bo pomysł ją kusił. Nigdy nie paradowała bez bielizny, tym bardziej w kusej spódniczce po stromych schodach z mężczyzną idącym z tyłu. Byłby to jednorazowy wyczyn, szaleństwo, którego więcej by nie powtórzyła.

- No, mała? Jesteśmy tylko we dwoje, ty i ja. - Samuel odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Nikt z twoich bostońskich przyjaciół o tym się nie dowie.

To prawda. Gdyby miała się zdecydować na tak odważny krok, to tu i teraz. Z trudem panując nad nerwami, obróciła się i postawiła nogę na pierwszym Ntopniu. Potem na drugim, trzecim, czwartym. Spód-

nica jej falowała, uda ocierały się o siebie. Czuła na biodrach gorące spojrzenie mężczyzny.

Stare drewniane schody zaskrzypiały, gdy wolno ruszył za nią na górę. Nie zatrzymała się, nie zmieniła tempa. Szli, utrzymując jednakowy dystans.

Kiedy dotarła na górę, była tak podniecona, że niewiele brakowało, by rzuciła się Samuelowi w ramiona. On zaś poszedł do okienka znajdującego się na wysokości kolan; kucnąwszy, wyjrzał na zewnątrz, pokiwał z zadowoleniem głową, po czym zdjął z szyi aparat.

- Idealnie.

Heather wytrzeszczyła oczy. A gdzie pocałunek? A gdzie pieszczoty? A gdzie dziki seks?

- No co?

- Myślałam...

Uniósł pytająco brwi.

- Psiakrew! - Nie wytrzymała. - Po co to wszystko było?

- Chciałem popatrzeć, jak idziesz po schodach.

- Ale...

- Myślałaś, że będziemy się teraz kochać?

Pewnie, że tak myślała. Każdy by tak pomyślał. Inaczej po co kazałby jej ściągać majtki, po co by...?

Chyba że coś go zniechęciło? Coś w wyglądzie jej ud i pośladków?

- Wolę poczekać, aż będę miał dwie sprawne ręce - rzekł, wskazując na temblak.

- Aha. - To nie mogą się kochać więcej niż raz? Teraz, a potem gdy lekarze zdejmą mu gips?

Skinał głową w stronę okna.

- Poza tym zajęty seksem mógłbym przegapić wizytę włamywacza.

Fakt. Zrobiło się jej głupio.

- Chodź - powiedział łagodnie. - Usiądź mi na kolanach.

Wywróciła oczy do nieba.

- Może być się w końcu na coś zdecydował.

- Wiem, czego chcę: dopaść drania. Ale z tobą na kolanach będzie mi znacznie przyjemniej. Chyba że wolisz siedzieć na gołej podłodze?

- Pewnie by mi drzazgi w pupę weszły - mruknęła, patrząc na deski.

- Na pewno. - Wyciągnął do niej zdrową rękę.

- W porządku. - Heather podeszła bliżej i usiadła.

- Ale trzymaj łapy przy sobie.

Położył rękę na jej udzie.

- Będę trzymał tam, gdzie mi się podoba.

- Nie lubię cię. - Była żałosna: chciała stracić mu rękę, a jednocześnie marzyła, by przesunął ją wyżej.

Roześmiał się cicho.

- To nie mnie nie lubisz, lecz tego więzienia, w którym tkwisz.

- Nie tkwię w żadnym więzieniu! - Co on za bzdury wygaduje!

- Powiedz, gdybyś była dziś w Bostonie, to co byś robiła?

Dziś w Bostonie...

- Boże! Jeffrey Plant! - Wystawiła go do wiatru.

- A któż to jest Jeffrey Plant?

- To mój znajomy. Mieliśmy się wybrać na koncert orkiestry smyczkowej. Która godzina?

- Kilka minut po ósmej.

- Daj mi telefon.

- Poproś.

Łypnęła na niego gniewnie.

- Poproszę.

Samuel wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Dziękuję. - Pośpiesznie wybrała numer. Chwilę później na drugim końcu linii usłyszała znajomy głos.

- Jeffrey?

Usiłowała się wyprostować, ale Samuel objął ją w pasie i przytrzymał.

- Heather? Gdzie jesteś?

W tle rozbrzmiewały rozmowy. Oczami wyobraźni widziała Jeffreya, który ubrany w smoking czeka na nią w foyer. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- W Indigo. Z Joan.

Samuel prychnął pogardliwie. Dała mu kuksańca w żebra.

- Jest piątek. Powinnaś być w Bostonie.

- Wiem, przepraszam.

Wciągnęła z sykiem powietrze: dłoń Samuela zacisnęła się na jej piersi.

- Nie podoba mi się to, co słyszę o twojej siostrze - oznajmił Jeffrey.

- A co słyszysz? - Przygryzła wargę, żeby nie jęknąć z rozkoszy.

- Jak to: co słyszę? To samo, co wszyscy.

Palce Samuela zaczęły ją pieścić.

- Sprawa jest dość skomplikowana - wysapała do słuchawki.

- Mniejsza z tym. Kiedy wracasz?

- Nie wiem.

- Postaraj się dziś. Najdalej jutro. - Głos Jeffreya przybrał rozkazujący ton.

Podziałało to na nią jak płachta na byka.

- Nie mogę - odrzekła.

- Możesz.

Wstrząsały nią dreszcze. Bezskutecznie usiłowała odepchnąć rękę, która błędziła po jej ciele.

- Muszę kończyć, Jeffrey. Do zobaczenia. - Rozłączyła się, po czym naskoczyła na Samuela: - Co ty sobie wyobrażasz?

Uśmiechnął się szeroko.

- Ja? Nic. Po prostu...

- Jak mogłeś! Przecież usiłowałam...

- Chyba nie powiesz, że ci się nie podobało?

Wzięła głęboki oddech. Była zła; nie zamierzała mu tego darować.

- Nie o to chodzi!

- Ależ o to. Właśnie... Jest! - Zabrał rękę z piersi dziewczyny i szybko przyłożył aparat do oczu.

Heather skierowała spojrzenie na okno.

- Mam zejść?

- Nie, nie ruszaj się.

W ogrodzie zobaczyła skradającą się postać. W tym samym momencie usłyszała, jak Samuel pstryka serię zdjęć.

- Może powinniśmy podkraść się od drugiej strony?

- Żeby drań znów się wystraszył i zaczął strzelać?

- Samuel nie przestawał robić zdjęć.

- Wyraźnie go widać?

- Nie bardzo. Na razie mam kilkanaście ujęć jego pleców.

Włamywacz minął drzwi do domu.

- A dokąd on...

- Może to nie on? - Samuel opuścił aparat.

- Więc dlaczego krąży po twoim ogrodzie?

- Nie mam pojęcia.

Ciemna postać zniknęła za kępą drzew.

- Gdzie...

- Ścieżka prowadzi do szopy z narzędziami. O, widzisz?

Postać wyłoniła się zza drzew. Podeszła do szopy, sprawdziła drzwi; były zaryglowane.

- Niczego tam nie znajdzie - mruknął Samuel. - Od lat stoi nieużywana.

Włamywacz przeszedł na tyły szopy, rozejrzał się wkoło, po czym opadł na dłonie i kolana.

Samuel przyłożył aparat z zoomem do oczu.

- Kopie.

- Ale czego szuka?

- Żebym to ja wiedział.

- Jakiegoś ukrytego skarbu?

- Ciekawe, czy zamierza mi przekopać cały ogród.

Przez kilka minut obserwowali, co się dzieje.

- Jak myślisz? - spytała Heather. - Może powinniśmy zadzwonić do Alaina?

- Dzwon. - Samuel podał jej komórkę.

- Może to jakiś wariat?

- Całkiem niewykluczo... - Urwał w pół słowa.

- Co?

- A to sukinsyn! - Samuel poderwał się, niemal strącając ją z kolan, i rzucił się pędem w dół.

Chodziła po luksusowym apartamencie hotelowym wynajętym przez studio, upychając ubranie do walizki. Szkoda, że nie może zostać dłużej i skorzystać ze wszystkich udogodnień, jakie hotel ma do zaoferowania. Od lat nie leżała w wannie z hydromasażem, popijając

szampana i spoglądając na światła tętniącego życiem miasta.

Ale musi wracać do Indigo. Nie była pewna, czy słusznie zrobiła, pozbywając się Anthony'ego. Korciło ją, by wszystko odkręcić, ale z drugiej strony... Nie, musi przeciąć pępowinę, uwolnić się od niego raz na zawsze.

Anthony kładzie za duży nacisk na promocję i reklamę. Pod względem zawodowym zupełnie się ze sobą nie zgadzają. To, że jako mężczyzna jest inteligentny, zabawny, seksowny, że ją pociąga, że pragnie go do bólu, nie powinno mieć wpływu na jej decyzje w sprawach profesjonalnych. Tak, musi od niego uciec, odpocząć.

Zamknęła walizkę. I wtedy z holu dobiegł ją jego głos.

- Joan?

Chciała zmylić Anthony'ego, dlatego powiedziała mu, że jedzie prosto na międzynarodowe lotnisko LAX. Zamierzała natomiast wpaść na moment do hotelu, a potem taksówką udać na krajowe Ontario Airport. Liczyła, że zdoła kupić bilet na lot do Nowego Orleanu.

- Joan? - zawołał ponownie.

Słyszała zbliżające się kroki. Co robić? Może schować się w łazience i udawać, że już wyszła?

- Joan?

Za późno. Wkroczył do sypialni.

- Chciałaś, żeby mnie aresztowano?

- Chciałam, żebyś dał mi święty spokój.

Zapadła pełna napięcia cisza. Przez zamknięte okna wdzierały się przytłumione odgłosy miasta.

- A więc to naprawdę koniec?

Oczywiście, że koniec. Chyba jasno przedstawiła swój punkt widzenia?

- A czego się spodziewałeś? - spytała, napotyając

jego wzrok. Ściągnęła z łóżka walizkę. - Dziękuję, poradzę sobie - powiedziała, kiedy Anthony usiłował jej pomóc.

- Sprawia wrażenie ciężkiej.
- Od lat sama taszcę własne torby. - Dlaczego nie chce zostawić jej samej?

Czekał cierpliwie, aż znów na niego spojrzy. W jego niebieskich oczach malował się wyraz smutku i zdeorientowania. Okropnie się czuła, zadając mu ból. Był jej przyjacielem. Od dziesięciu lat stał u jej boku. Owszem, mają inne poglądy i zapatrywania. Ale nigdy dotąd nie działał wbrew jej woli. Aż do programu Charliego Longa. Może powinna go była wysłuchać? Może...

Kiedy toczyła walkę z sobą, oczy Anthony'ego pociemniały, a jej znów serce zabiło szybciej. Kropelki potu wystąpiły jej na czoło.

- Nie mogę uwierzyć, że w ten sposób chcesz zakończyć naszą współpracę - powiedział cicho. Jego niski głos przyprawił ją o dreszcze.
- To nie wierz - mruknęła.
- Nie możemy się chociaż pożegnać jak dwoje cywilizowanych ludzi?

Przełknęła ślinę. Starła się opanować łomot serca.

- Do widzenia, Anthony.

Stanął przed nią, zmuszając ją, by podniosła głowę.

- Do widzenia, Joan. Dzięki tobie...

Miała wrażenie, że jego zapach osacza ją ze wszystkich stron. Uchwyt walizki powoli wyślizgiwał się ze spoczonej dłoni.

- ... przeżyłem najwspanialsze chwile mojego życia.

Walizka opadła z hukiem na podłogę.

- Och, Anthony... - szepnęła. Wpatrzona w jego usta, pamiętała każdą sekundę każdego pocałunku.

- Będzie mi ciebie brakowało.
- Mnie ciebie też. - Pod powiekami zapiekły ją łyzy.

Anthony pochylił się. Ich usta się zetknęły. Przycisnął ręce do jej policzków, ona objęła go za szyję.

Może miał to być niewinny całus na pożegnanie, ale szybko nabrał innego charakteru. Joan zamknęła oczy. Chciała, by ta chwila trwała wiecznie, bo gdy się skończy, Anthony zniknie. A ona zostanie sama jak palec.

- Moja słodka - szepnął, prawie nie odrywając ust od jej warg. Gładził jej ramiona, plecy. - Moja piękna. Jesteś najbardziej pociągającą istotą na świecie.

Pragnęła go. Pragnęła go bardziej niż cegokolwiek w życiu. Bardziej niż uratowania Indigo przed napływem turystów, bardziej niż wydania kolejnej książki, bardziej niż udobruchania swojej rodziny. Chciała się z nim kochać tu i teraz, nawet gdyby miała tego żałować do końca swych dni. Nagle coś zatrzepotało przy jej ramieniu. Odskokzyła wystraszona.

- Co...

- Komórka. - Ponownie zgarnął Joan w objęcia. Telefon znów zawibrował.

- Psiakrew. - Anthony wyciągnął aparat z kieszeni i cisnął go na łóżko.

- Powinieneś odebrać - mruknęła między pocałunkami. Bo czy tego chcieli, czy nie, to jednak tam na zewnątrz toczy się normalne życie.

- Mam to gdzieś! - Przytknął usta do jej szyi.

Z łóżka dobiegło ciche, przytłumione buczenie. Przeklinając pod nosem, Anthony otworzył klapkę.

- Tak? - warknął do telefonu. Przez chwilę milczał, potem potrzęsnał głową. - Nie rozu...

Znów zapadła cisza. Joan odwróciła się, zanim jednak zdążyła odejść, Anthony chwycił ją za łokieć.

- Masz rację - powiedział do swojego rozmówcy, wzrokiem nakazując jej, by została.

Trzymał ją tak mocno, że nie dałaby rady się uwolnić. Ale też nie próbowała. I nie chciała. Powinna chcieć, ale...

- W porządku. Może na kilka dni do Dallas.

Sprawy zawodowe. Tylko to go interesuje. Poczwała, jak coś w niej wygasa.

- Dobra, pogadamy później. - Rozłączył się.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, ale bez wcześniejszego żaru w oczach.

- Mamy problem - rzekł.

Wzięła się w garść. Skoro on potrafi zapomnieć o pocałunku, to ona również.

- Jaki?

Puścił jej łokieć. Odzyskawszy swobodę ruchu, sięgnęła po walizkę.

- Dzwonił Samuel.

Znieruchomiła. Czyżby coś się stało Heather?

- Wydaje mu się... - Anthony schował telefon do kieszeni. - Widział, jak ktoś wykopał z ziemi za jego domem kij baseballowy.

- No i?

- Policja uważa, że zanim matka Samuela została zastrzelona, ktoś walnął ją w głowę kijem baseballowym. Ale kija nigdy nie odnaleziono.

- Faktycznie. - Joan pokiwała głową. - Czytałam o tym w aktach sprawy.

- Jeżeli to jest właśnie ten kij...

Ogarnęło ją przerażenie. Tylko jedna osoba może wiedzieć, gdzie ukryto kij.

- To znaczy, że teoria o samobójstwie ojca Samuela upada. Że morderca Kane'ów żyje i ma się dobrze.

- Czy dobrze, to nie wiem. Twoja książka najwyraźniej wzbudziła jego niepokój.

- To niemożliwe. - Cofnęła się krok. - Wszystko wymyśliłam.

- Lepiej nie ryzykować. Polecimy na kilka dni do Dallas. Samuel ma rację: w Indigo nie będziesz bezpieczna.

- A Samuel? A Heather?

- Morderca boi się tylko ciebie. Sądzi, że ty jedna znasz prawdę.

- Przecież ja nic nie wiem. - Cała sytuacja wydawała się jej jakąś kosmiczną pomyłką.

- Samuel rozmawiał z Alainem. Dajmy policji kilka dni, a w tym czasie odwiedzimy moich rodziców.

Co powiedział? Odwiedzimy? Użył liczby mnogiej? To chyba nie jest dobry pomysł. Nie, zdecydowanie nie.

- Mogę lecieć do Bostonu - powiedziała, chociaż bała się spotkania z własną rodziną.

Popatrzył na nią tak jak dawniej: czule, z troską w oczach.

- Jeśli myślisz, że spuszczę cię z oczu choć na chwilę, - to się grubo mylisz.

- Ale... już mnie nie reprezentujesz. - Głos się jej lekko załamał.

- Stanowimy tandem, Joan. Nie zostawię cię z tym samej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po telefonie Samuela pojechali prosto na lotnisko. Dostali bilety na nocny lot do Houston, a tam przesiedli się w samolot do Dallas. Na lotnisku w Dallas wynajęli samochód. Kiedy dotarli do domu państwa Verdunów, Joan dosłownie padała na nos ze zmęczenia.

Poprawiwszy ręką fryzurę, zerknęła do lusterka, by sprawdzić, czy makijaż zbyt nie rozmazał.

- Nie będziemy im przeszkadzać? - spytała po raz setny.

- Słowo honoru. Są zachwyceni. Nie widzieli mnie od roku.

- Z twojej wizyty na pewno się ucieszą. Ale mnie nie znają.

Anthony zgasił silnik.

- To bardzo serdeczni ludzie, Joan.

- Ale jestem dla nich obcą osobą, w dodatku...

- Przestań. - Otworzył drzwi. - Wsiadamy.

Wzięła głęboki oddech. Jeżeli zauważy u starszych państwa najmniejszą oznakę niezadowolenia, przeniesie się do hotelu. Nawet prosiła Anthony'ego, by zarezerwował dla niej pokój, ale odparł, że matka śmiertelnie się na niego obrazi, jeśli zatrzymają się gdzie indziej.

Wysiadła z samochodu i rozejrzała niepewnie. Verdunowie mieszkali w starej, lecz zadbanej okolicy. Trawniki miały tu kolor soczystej zieleni, żywopłoty były

starannie przycięte, szerokie podjazdy prowadziły przed piękne murowane domy.

Joan ruszyła za Anthonym w stronę szerokiej werandy, na której stały ratanowe meble. Wchodząc po schodach, zastanawiała się, co Anthony powiedział o niej swoim rodzicom. Czy wiedzą, że łączą ich sprawy zawodowe? A może sądzą, że jest przyjaciółką ich syna?

Wtem podwójne drzwi prowadzące do domu otworzyły się na oścież i ze środka wypadła krótko ostrzyżona, pulchna, sześćdziesięciokilkuletnia kobieta, która porwała Anthony'ego w objęcia.

- Cześć, mammo. - Anthony wyściskał matkę, po czym, otaczając ją ramieniem, wskazał na Joan. - To jest Joan Bateman.

- Joan. - Oswobodziwszy się, kobieta z całej siły przytuliła Joan do piersi. Puściła ją po około dziesięciu sekundach. - Tak się cieszę, że mogę cię poznać.

- Mnie również jest miło poznać panią. - Joan cofnęła się krok.

- Oj, uważaj na schody! - ostrzegł Anthony, przytrzymując ją, by przypadkiem nie spadła.

- Mam nadzieję, że nie sprawiamy państwu kłopotu...

Uśmiechając się szeroko, kobieta machnęła lekceważąco ręką.

- Jakiego kłopotu? Jesteśmy zachwyceni waszą wizytą. - Obciągnęła zieloną bluzkę, poprawiła szorty. - Kochanie, mów mi po imieniu: Anna. Oscar, ojciec Anthony'ego, jest w ogrodzie, a...

- Anthony! - Z domu wypadła dwudziestokilkuletnia kobieta w dżinsowych szortach, kusej bluzce w biało-niebieskie paski i klapkach na nogach, która rzuciła się Anthony'emu na szyję.

- To Nadine - powiedziała Anna Verdun. - Bratowa Anthony'ego.

Szczupła, opalona Nadine odgarnęła za uszy długie czarne włosy, po czym wyciągnęła na powitanie rękę,

- Cześć, ty pewnie jesteś Joan?

- Tak, Joan Bateman.

Ledwo wymieniły uścisk dłoni, kiedy na werandzie pojawił się mężczyzna podobny z wyglądu do Anthony'ego.

- No, nareszcie! - zawołał, klepiąc serdecznie brata po ramieniu.

- A to Brett - wyjaśniła Anna.

Widząc przerażenie malujące się na obliczu Joan, Nadine przysunęła się do niej i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

- Ja też tu kiedyś byłam nowa. Nie bój się; oni nie gryzą.

- Nie stójcie na werandzie. - Anna zaczęła zaganiać wszystkich do środka. - Ojciec piecze mięso.

Joan ruszyła za Anthonym i jego bratem.

- Carlo występuje dziś w Amarillo - poinformowała ją Anna, kiedy szły przez pomalowany na beżowo hol pełen butów i rakiet tenisowych.

Salon nie należał do miejsc wymuskanych, raczej do takich, w których rodzina chętnie przebywa. Przed wielkim kamiennym kominkiem stały ogromne, skórzane kanapy i fotele. Każdą wolną powierzchnię zajmowały rośliny w doniczkach, na podłodze zaś walały się stosy kolorowych pism. Najwyraźniej w ten weekend Anna nie spodziewała się gości.

Z salonu przeszli do kuchni, która urządzona była w tej samej beżowo-brązowej tonacji co hol, ale panował w niej znacznie większy porządek.

Joan rozejrzała się z zaciekawieniem. Powietrze wypełniał zapach świeżo upieczonych ciasteczek. W rogu na marmurowym blacie stały różne przydatne urządzenia, natomiast na dwóch stojakach przy ścianie leżakowały wina. Wyobraziła sobie, jak zajęta pichceniem Anna rozmawia z członkami rodziny, którzy siedzą przy blacie barowym na wysokich metalowych stołkach.

- Wkrótce powinien przyjechać David z rodziną - oznajmiła kobieta, otwierając drzwi balkonowe prowadzące na ogromny cedrowy taras.

Nie ulega wątpliwości, że Verdunowie mnóstwo czasu spędzają na powietrzu.

- David to najmłodszy z braci - wyjaśniła Nadine.
- Ma trójkę dzieci i żonę Leilę, która od kilku lat nie przespała całej nocy.

- A ty? Masz dzieci? - spytała Joan.

- Nie, ale uczę trzecioklasistów. Na razie to mi w zupełności wystarcza.

Joan uśmiechnęła się. Sama nie podjęła decyzji w sprawie macierzyństwa, a zresztą nawet gdyby zamarzyło się jej dziecko, to nie bardzo miała je z kim spłodzić.

- Hej, Joan! - zawołała z drugiego końca tarasu Anna. - To Oscar, ojciec Anthony'ego.

Oczom Joan ukazał się wielki, misiowaty facet z drewnianą łyżką w ręku, ubrany w fartuch z napisem „Pocahuj kucharza”. Nim się spostrzegła, Oscar Verdun porwał ją w objęcia.

- Witaj, złotko, w Teksasie - rzekł przyjaznym głosem.

- Dziękuję.

- A gdyby Anthony sprawiał ci kłopoty, śmiało wal do mnie. - Mrugnął porozumiewawczo.

- Anthony ciągle sprawia mi kłopoty - zażartowała, ośmielona jowialnym usposobieniem starszego pana.

Oscar pogroził synowi drewnianą łyżką.

- Masz być grzeczny, słyszysz?

Anthony rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- Cokolwiek ci Joan powiedziała, to nie byłem ja.

- Lubisz mięso bardziej czy mniej wysmażone?

- spytał po chwili Oscar.

- Po prostu lubię mięso - odparła.

Pogładził ją szorstko po głowie.

- To tak jak ja. Hej, Anthony! - zawołał do syna.

- To świetna dziewczyna! Strzeż jej jak oka w głowie!

Joan rozciągnęła usta w uśmiechu, ale nie odważyła się spojrzeć na Anthony'ego.

- Napijesz się czegoś? - spytała Nadine.

- Chętnie.

- Masz jakieś preferencje?

- Nie, tylko żeby było mocne.

- David! - ucieszyła się Anna i pognała w stronę kuchennych drzwi. - Przyjechaliście!

Taras wypełnił się rozbieganymi dziećmi.

- Mieszkają w Oklahoma City - wyjaśniła Nadine, po czym wskazała stolik pod oknem. - Tam serwują margaritę.

- Strasznie nas tu dużo - powiedziała cicho Joan. Ciekawa była, czy David z rodziną też mają zamieszkać w domu rodziców. - Zdaje się, że zjawiliśmy się z Anthonyem nie w porę.

- Nie żartuj. Wszyscy zjechali się z Waszego powodu.

Podeszły do urządzenia ze szklanym pojemnikiem, w którym bulgotał jasnozielony płyn.

- Naprawdę? Przebyli taki kawał drogi, żeby zoba-

czyć się z Anthonyem? - zdziwiła się Joan. Co za kochająca się rodzina, pomyślała ż zazdrością.

Nadine nalała margarity do plastikowego kubeczka.

- Nie z Anthonyem. Z tobą. Anna zadzwoniła z wiadomością, że przylatujecie, więc się wszyscy stawiliśmy w komplecie.

- Nie rozumiem...

- Uwielbiamy twoje książki. Oczywiście Anthony'ego też uwielbiamy, ale twoje książki bardziej.

- Czytałaś *Zdradę na bagnach*?

- Czytałam wszystkie. Cała rodzina je czytała.

Dopiero po chwili jej słowa dotarły do świadomości Joan.

- Wszystkie?

Skinawszy głową, Nadine podniosła kubek do ust.

- Co do jednej.

- Chcesz powiedzieć, że czytacie wszystkich autorów, których Anthony reprezentuje? - zdumiała się Joan. Wprawdzie mówił jej, że ma oddaną rodzinę, ale oni chyba trochę przesadzają?

Nadine parsknęła śmiechem.

- Książki wydawałaś pod męskim pseudonimem. Nie wiedzieliśmy, że jesteś kobietą, a do tego klientką Anthony'ego.

Joan coraz mniej z tego rozumiała.

- W takim razie dlaczego...

- Bo masz znakomite pióro. Bo twoje książki czyta się jednym tchem. Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała podpisać z sześćdziesiąt egzemplarzy, zanim cię stąd wypuścimy?

- Ja bardzo chętnie... - Rozejrzała się dookoła. Ci wszyscy ludzie czytali jej powieści?

- Strasznie mi się podobały *Noce na wodzie*.
- Tak? - Joan uśmiechnęła się z zadowoleniem.
- Miałam wielką frajdę, tworząc postać bohatera.
- Wiesz, widziałam cię wczoraj w programie Charliego Longa. Wypadłaś fantastycznie.

Uśmiech na twarzy Joan przygasł.

- Nie przepadam za rozgłosem. - Nie chciała mówić o zawodzie, jaki sprawiła swoim bliskim. Zresztą Verdunowie są tak inni od Batemanów, że Nadine pewnie by tego nawet nie rozumiała. - Występując publicznie, czuję się potwornie stremowana.

- Nie wierzę!

- A jednak. Postanowiłam sobie, że na więcej występów nie dam się namówić.

- Dlaczego?

Joan wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk margarity.

- Po prostu chcę pisać, to wszystko.

- Powiedz, jaki on jest? - zainteresowała się Nadine.

- Kto? Anthony?

- Nie. Charlie Long.

- Miły. Zadziwiająco sympatyczny.

- Poprosiłaś go o autograf?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Cześć, dziewczyny. - Podeszła do nich młoda kobieta, wzrostu najwyżej metr pięćdziesiąt, z maluchem na biodrze. Sprawiała wrażenie zbyt słabej i kruchej, aby utrzymać nawet tak nieduży ciężar.

- Joan, to jest Leila, żona Davida.

- Domyśliłam się - powiedziała Joan, wyciągając dłoń na powitanie.

- Napijesz się? - Nadine wskazała na urządzenie mieszające margaritę.

- Pewnie. - Leila postawiła na ziemi dziecko, które coraz bardziej się wierciło. - David, uważaj, żeby mały nie spadł z tarasu! - zawołała do męża, po czym uśmiechnęła się nieśmiało. - David prosił mnie, żebym cię o to nie pytała...

Joan zeszytniała. Czyżby Verdunowie wiedzieli o jej zawodowym rozstaniu z Anthonym?

- O co?

Nadine podała Leili plastikowy kubeczek. Ta wypła tyk, jakby chciała dodać sobie odwagi.

- Anthony właśnie sprzedał moją pierwszą książkę...

- Naprawdę?

- Tak. Kryminał.

- Gratuluje! - Joan szczerze się ucieszyła. Dobrze pamiętała własny debiut; była to książka Briana, którą dokończyła po jego śmierci. Wydanie drugiej książki, którą napisała już całkiem samodzielnie, świętowała razem z Anthonym. Niestety, z nikim innym nie mogła podzielić się tą radosną nowiną.

Leila skinęła głową.

- Nie powinnam... - Zerknęła przez ramię na męża.

- Ale czy... czy mogłabym ci dać maszynopis do przeczytania? I prosić cię o napisanie dwóch zdań na jej temat? To znaczy, tylko jeśli książka ci się spodoba...

- Urwała speszona.

- Oczywiście! Chociaż nie wiem, w czym te dwa zdania mogłyby ci pomóc.

- Wydawca umieściłby je na skrzydełku.

- Przecież nie jestem nikim ważnym.

- Chyba żartujesz?

Joan westchnęła cicho.

- Naprawdę mnie przeceniacie.

Ktoś otoczył ją ramieniem; nawet nie oglądając się.
- wiedziała, że to Anthony.

- W porządku? - spytał.

- Upijamy ją - rzekła Nadine.

Zerknął na kubeczek w dłoni Joan.

- Uważaj, to zdradliwy koktajl.

Pociągnęła łyk.

- Dziś jest dobry dzień na upicie się - stwierdziła.

I faktycznie.

. . .

Cieszyła się z przyjazdu do Dallas. Czuła, że tu odpocznie, że nabierze sił do dalszej pracy. Jej rodzice są daleko, Indigo również, Anthony jeszcze przez kilka dni będzie jej agentem, a jego bliskim podobały się jej książki.

Wyciągnęła kubeczek do Nadine.

, - Mogę prosić o jeszcze?

- Pamiętaj, że cię uprzedzałem - mruknął Anthony. delikatnie odgarniając jej z twarzy kilka niesfornych kosmyków.

- Jestem dużą dziewczynką! - zaprotestowała.

- Która potrafi o siebie zadbać.

- Absolutnie - powiedziała, ignorując nutę ironii w jego głosie.

Brett usiadł koło Anthony'ego na leżaku, puszkę z piwem postawił na trawie i oblizał się na widok drugiego hamburgera z licznymi dodatkami, którego przed chwilą nałożył sobie na tekturowy talerz.

- No, co jest grane? - spytał brata, korzystając z okazji, że nikt ich nie słyszy.

- Grane? - Anthony wypił łyk piwa. Unikał mocniejszych trunków; dziś Jean wyrabiała normę za nich dwoje.

- Tyle lat byłeś agentem literackim Julesa Burrella i słowem się nie zdradziłeś?

Anthony posłał bratu spojrzenie pełne niedowierzania.

- Miałem zdradzić zaufanie klienta?

Brett wzruszył ramionami.

- Nie zdradzić, ale... hm, rodzinie mogłeś delikatnie napomknąć. - Na moment zamilkł. - I proszę, okazuje się, że Jules Burrell to kobieta.

- Owszem, kobieta.

- W dodatku niezła laska.

Anthony nie zareagował.

- Nie sądzisz, że niezła z niej laska?

Anthony powędrował wzrokiem tam, gdzie Joan rozmawiała z Nadine.

- Przecież nie jestem ślepy - mruknął.

- A skoro ją tu przywiozłeś - kontynuował Brett - to znaczy, że coś was łączy.

- To znaczy, że lepiej, aby przez jakiś czas nie pokazywała się w Indigo.

- Mogłeś ją ukryć gdzie indziej.

Anthony uśmiechnął się tajemniczo.-

- Wiedziałem, że rodzina chętnie ją pozna.

- Tra ta ta ta.

- Chcesz znać prawdę?

- Na co mi prawda? Wolę poplotkować o waszym życiu erotycznym.

- Nie prowadzimy żadnego życia erotycznego. Przy najmniej ze sobą.

- Szkoda, braciszku... - Brett wgrzył się w hamburgera. - Chyba się z Nadine polubiły.

- Nic dziwnego, skoro Nadine od pierwszej minuty

poi ją drinkami. Nie mógłbyś poprosić swojej żony, żeby przystopowała?

Brett zlizął majonez z palca.

- Na pewno tego chcesz? Bo wiesz, po alkoholu pusz czają hamulce.

- Chętnie sypiasz z pijanymi kobietami?

- Tylko z Nadine.

- Ona się nie liczy; jest twoją żoną.

- Wiesz, stary, niektórzy faceci potrzebują większe zachęty od innych.

- Rozkwasić ci nos?

Brett potrzęsnał ze śmiechem głową, po czym zajął się jedzeniem.

Anthony pociągnął duży łyk piwa. Trzy sprawy nis dawały mu spokoju: nieodwzajemnione zauroczenie Jo an, świadomość, że po Indigo krąży morderca i zawodo we rozstanie z ulubioną autorką.

Kiedy lecieli z Los Angeles do Dallas, przyszło mu do głowy, że powinien spróbować ją odzyskać. Przejrzał w myślach długą listę agentów literackich, ale żaden nie wydał mu się dla niej odpowiedni. Nie żeby on sam był taki znów genialny. Ale pragnał tej kobiety.

Zastanawiał się, czy nie porozmawiać szczerze z Bret tern. Brett zna się na kobietach, ma większe doświadczenie w sprawach męsko-damskich i może mógłby mi udzielić paru cennych wskazówek. Ale zrezygnował z tego pomysłu; wkrótce cała rodzina wiedziałaby o jego kłopotach.

Skończywszy jeść, Brett skierował spojrzenie na Joan i ponownie utkwiał je w twarzy brata.

- Pokłóciliście się?

- Daj spokój, masz jakieś zwidy.

- Tak? To dlaczego ona jest tam, na drugim końcu ogrodu, a ty tu?

- Bo rozmawia z twoją żoną.

Brett odstawił talerz na trawę.

- Posłuchaj...

- Przestań.

- Ty mi pomogłeś, kiedy nie mogłem dogadać się z Nadine.

- To co innego. Nadine była twoją narzeczoną, a Joan jest moją klientką.

- Jest kimś więcej niż klientką.

- Nie chcę o niej rozmawiać.

- Chcesz, chcesz. Tylko boisz się, że nie utrzymam języka za zębami.

Brett rzeczywiście o wszystkim lojalnie informował Nadine, a zważywszy na to, że Nadine szybko stawała się najlepszą przyjaciółką Joan, Anthony przezornie wolał milczeć.

- Posprzeczaliście się? - spytał Brett.

- Nie chciała wystąpić w programie Charliego Longa

- odparł Anthony. Tyle mógł powiedzieć; nie zdradzał żadnych wielkich tajemnic.

- A ty uważałeś, że powinna?

- Oczywiście - zachnął się Anthony. - Tylko głupek nie skorzystałby z takiej okazji.

- Więc Joan jest głupia?

- Ależ skąd! Jest mądra i inteligentna.

- To dlaczego zmusiłeś ją, żeby zrobiła coś wbrew sobie?

- Nie zmusiłem.

- Ale wystąpiła. I jest zła.

- Miała wybór. Mogła odmówić.

- Oj, Anthony, Anthony. - Brett pokiwał smutno głową, po czym wyciągnął na leżaku nogi i pociągnął łyk piwa. - Zdradzę ci coś, czego nauczyłem się podczas pięciu lat małżeństwa.

- Zamieniam się w słuch.

- Wina jest zawsze twoja. Cokolwiek się stanie, że na zawsze ma rację. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej.

- Nic złego nie zrobiłem. A Joan jest moją klientką nie żoną.

- Jest kobietą. Przepróż ją i już.

Miał kłamać, mówić, że ona, Joan, mądrze postępuje rezygnując z okazji do reklamy? Że osiągnie sukces ukrywając się przed czytelnikami? Co to, to nie.

- Przestań - warknął Brett.

- Co?

- Przestań myśleć racjonalnie. Po prostu przepróż I za każdym razem przepraszaaj.

- Mam udawać?

- Masz zapomnieć o swoim wybujałym ego.

- Nie mam żadnego ego.

Brett odchylił głowę i parsknął głośnym śmiechem.

- Jesteś więźniem własnego ego.

- Wypchaj się.

- To jej życie, jej kariera.

- A moim obowiązkiem jest udzielanie jej dobrych rad.

- Nawet wtedy, gdy nie będziecie z sobą rozmawiać?

Całkiem nieświadomie brat trafił w sedno. Jeżeli Joan się go pozbędzie, to faktycznie nie będzie miał prawa do niczego się wtrącać. A bez jego rad... diabli wiedzą, jakie decyzje zaczną podejmować.

Może Brett ma rację? Może powinien ustąpić? Może więcej zyskuje się ustępstwem i kompromisem niż uporem i zaciekłością?

To by znaczyło, że musi ją przeprosić, pozwolić jej znów zejść do literackiego podziemia. Ale wtedy przynajmniej jej nie straci. A na samą myśl o tym, że mogliby się więcej nie widzieć, robiło mu się słabo.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Słońce zaszło, dzieciaki leżały w łózkach, a Oscar Verdun zapalił ustawione wokół tarasu lampiony. Ogród wyglądał tajemniczo i bajkowo.

Brett objął żonę. W tym samym momencie Joan poczuła czyjaś rękę na swoim ramieniu. Obejrawszy się, zobaczyła Anthony'ego.

- Cześć. - Uśmiechnęła się. W głowie jej szumiało od wypitych drinków.

- Przepraszam - szepnął jej do ucha.

- Za co?

- Za wszystko.

Kątem oka spostrzegła szeroki uśmiech na twarzy Bretta.

- Za wszystko? - spytała zdziwiona.

- Absolutnie za wszystko - odparł z powagą Anthony.

- W takim przyjmuję cię z powrotem do pracy - oznajmiła wspaniałomyślnie.

- Wywaliła cię? - zdumiał się Brett.

Joan przyłożyła rękę do ust i zachichotała.

- Ojej, nic im nie mówiłeś?

- Nie.

- Dlaczego się go pozbyłaś? - spytała Nadine.

Anthony zmierzył uważnym spojrzeniem brata i bratową.

- Nikomu nie powiemy - obiecała Nadine w imieniu swoim i Bretta. - Słowo.

W oczach Anthony'ego wciąż malowało się wahanie.

- Przepraszam - powiedziała teatralnym szeptem Joan. Znów zakręciło się jej w głowie, tym razem z radości, że nie musi rozstawać się z Anthonyem.

- Będiesz rano cokolwiek pamiętała? - spytał.

- Wszystko!

Może była lekko wstawiona, ale nie pijana. Od dwóch godzin piła wyłącznie drinki bezalkoholowe, ale Anthony o tym nie wiedział. Postanowiła się nim zabawić. Udała, że ma czkawkę.

- No, chyba wszystko... - dodała po chwili.

Anthony westchnął ciężko. Nadine, która szybko zorientowała się, co jest grane, pokręciła ze śmiechem głową i dźgnęła szwagra łokciem w bok.

- Nic nie będzie pamiętała.

Brett popatrzył na żonę zszokowany. Ignorując go, Nadine ciągnęła:

- Radzę ci skorzystać z okazji.

Joan, czując się nagle odważna i uwodzicielska, mrugnęła do Nadine, po czym pogładziła Anthony'ego po ramieniu.

- Na co masz ochotę?

Stracił jej rękę.

- Przestań się wygłupiać.

- Wczoraj wieczorem mówiłeś co innego. - Wyduła usta, udając obrażoną.

Nadine szepnęła coś do męża; ten wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- A co mówił wczoraj wieczorem?

- Powiedział, że...

Anthony przyłożył rękę do ust Joan.

- Ona idzie spać - poinformował brata i bratową.

Chciała wyjaśnić, że jedynie udaje pijaną, ale Anthony obrócił ją i zaczął prowadzić ku drzwiom. Usiłowała się oswobodzić; nie wypada zniknąć bez słowa pożegnania. Byłoby to nieuprzejme wobec gospodarzy.

- Hmmmff... - mruknęła, wskazując w ich stronę.

- Nic z tego - rzekł, machając do rodziców. - Dzięki, kochani. Zobaczymy się rano.

Joan zdwoiła wysiłki.

- Ostrożnie. Jeszcze kilka kroków. - Zabrał rękę z jej ust, dopiero gdy znaleźli się w kuchni.

- Och, ty...

Trzymając ją mocno za łokieć, ruszył w kierunku schodów.

- Puść mnie! Muszę powiedzieć dobranoc.

- Nie musisz.

- Muszę!

Wbił w nią wzrok.

- I co jeszcze musisz? Wyznać wszystkim, co ci wczoraj mówiłem? Że jesteś najbardziej pociągającą istotą na świecie?

- Przecież żartowałam.

- To nie było śmieszne.

- Nie zamierzałam Brettowi i Nadine niczego zdradzać.

- Akurat.

- Nie jestem pijana, Anthony. Słowo honoru. - Nagle potknęła się. - No dobrze, może mi odrobinę szumi w głowie.

- Obserwowałam cię przez cały wieczór. Wlewałaś w siebie jedną margaritę za drugą.

- Obserwowałeś mnie? - Uśmiechnęła się w duchu.

Ona też bez przerwy łypała na niego okiem i zastanawiała się, dlaczego go zwolniła. Co nią kierowało? Ale na szczęście naprawiła swój błąd. To było bardzo mądre posunięcie.

Ruszyli na górę.

- Zgodziłeś się, prawda?

- Na co?

- Żeby znów być moim agentem.

Przystanąwszy na półpiętrze, popatrzył jej w oczy.

- Spytaj mnie o to rano.

- Mówiłam ci, nie jestem pijana.

- W takim razie masz o wiele mocniejszą głowę niż ja. - Wskazał drzwi. - Mama przygotowała dla ciebie dawny pokój Brett.

- A Brett z Nadine gdzie będą spali?

- W dawnym pokoju Davida.

- A David?

- W bawialni, gdzie jest dość miejsca na pięcioosobową rodzinę. - Nacisnął klamkę. - Spokojna głowa, pomieścimy się.

Joan weszła do pokoju Brett i wstrzymała oddech: każdą wolną przestrzeń zajmowały proporce, trofea futbolowe oraz plakaty zespołów rockowych.

- Czuję się tu jak w świątyni. - Posłała Anthony'emu zalotne spojrzenie. - Pokażesz mi swój pokój?

- Jutro.

Zrobiła naburmuszoną minę.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo nie.

Przysunęła się bliżej, zniżyła głos. Marzyła o tym, żeby wziął ją w ramiona i pocałował.

- Boisz się mnie?

- Joan...

Zaczęła gładzić jego tors.

- Powiedz, że będziesz moim agentem.

Chwycił jej rękę.

- Przestań.

- Obiecay mi, bo inaczej wycofam swoją ofertę.

- Nie myślisz jasno.

Odgarnęła włosy za uszy.

- Od dwóch godzin nie piję już alkoholu.

- Co z tego? - Zmrużył oczy.

- To, że nie jestem pijana. Może lekko wstawiona, ale nie pijana. Rano będę wszystko dokładnie pamiętała.

- Flirtujesz ze mną?

- Owszem.

- I mam z powrotem być twoim agentem?

- Zgadza się. A więc...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Prawdziwym, namiętym pocałunkiem.

Ręce Anthony'ego błądziły po jej ciele, wsuwały się pod bluzkę, a ona przywierała do niego z całej siły; nie zamierzała pozwolić, by cokolwiek ich rozdzieliło.

Z dołu doleciał śmiech.

To ją otrzeźwiło. Nie są sami. W domu przebywa cały klan Verdunów.

Anthony sięgnął za siebie i zatrzasnął drzwi.

- Ale...

- Od zewnątrz nie sposób ich otworzyć - zapewnił.

- Ale ty... Twój pokój... Zorientują się...

Bez słowa wziął ją za rękę i pociągnął na koniec sypialni, gdzie znajdowała się druga para drzwi. Nacisnąwszy klamkę, wprowadził Joan do przestronnej łazienki.

- Tutaj będziemy się kochać? W łazience? - zdziwiła się. Sceneria niezbyt romantyczna, ale...

- Nie, nie tutaj. - Pociągnął ją za sobą do kolejnych drzwi. - W moim pokoju.

Gdy odwrócił się, aby przekręcić klucz w zamku, Joan rozejrzała się z zaciekawieniem. O ile w sypialni Bretta przeważały pamiątki-związane z futbolem, to w sypialni Anthony'ego rzucały się w oczy różne puchary zdobyte w mistrzostwach koszykówki, rękawice bokserskie i medale za wygrane biegi narciarskie.

- Jeździsz na nartach? - Teksas nie kojarzył się jej ze sportami zimowymi.

- Jutro porozmawiamy - mruknął, zaciskając palce na jej bluzce. - Wiesz, jak długo o tym marzyłem?

Na tle cienkiej białej tkaniny jego ręce wydawały się duże, opalone, silne. Nagle szarpnął. Materiał rozdarł się, guziki z łoskotem posypały się na podłogę.

Całował ją po twarzy, po szyi, mocno i namiętnie. Była pewna, że rano będzie miała sine znaki. Ale to jej nie przeszkadzało. Zanurzyła ręce w jego włosach, szepcem powtarzała jego imię. Usiłowała rozpiąć mu koszulę; guziki stawiały opór, więc Anthony sam ją rozpiął. Już dwa razy próbowali się kochać i dwa razy ktoś im przeszkodził...

- Mmm, jak dobrze - westchnęła, ocierając się zmysłowo o jego ciało. - Już nie mogę się doczekać.

- Ja też. - Ściągnął resztę ubrania, swojego i jej, po czym delikatnie pchnął Joan na łóżko. - Nigdy nie myślałem, że będziemy się kochać na łóżku, w którym jako nastolatek miałem tyle erotycznych snów. Moja śliczna...

- Przepraszam - szepnęła, żałując tych wszystkich kłótni i nieporozumień.

- Ciii.

Całował ją coraz namiętniej i coraz namiętniej pieścił, a ona odwzajemniała te pieszczoty. Nagle poczuła, jak palce Anthony'ego wędrują po jej udzie, wyżej, jeszcze wyżej. Nie wytrzymała; jęknęła z rozkoszy. Była już blisko, tak blisko spełnienia, a przecież dopiero zaczęli.

- Chodź... - szepnęła, unosząc biodra.

Patrząc jej prosto w oczy, powoli się w nią wsunął. Na czole wystąpiła mu warstewka potu, wzrok stał się zamglony. Joan płonęła. Serce jej łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nagle ujrzała spadające gwiazdy, całą feerię spadających gwiazd. Zaciśnęła mocniej uda. Świat zatrzęsł się w posadach. I gdy unosiła się w powietrzu, w kosmosie, wysoko ponad ziemią, słyszała swoje imię, powtarzane z miłością raz po raz, zdyszany głosem.

Nie mógł się poruszyć. Ale to mu nie przeszkadzało. Mógłby tak leżeć, z uśmiechem na twarzy, do końca swoich dni. Gdyby przyszło mu dokończyć żywota w tej właśnie minucie, umarłby szczęśliwy.

- O rany - szepnęła Joan.

- Masz rację. - Przyciągnął do siebie jej gorące ciało.

- To jak długo się znamy?

Roześmiał się cicho i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Dziesięć lat. I przez dziesięć lat snułem o tobie fantazje. Gdybym wiedział, co tracę, dużo wcześniej próbowałbym cię uwieść.

- Mmm, musisz mi kiedyś opowiedzieć o tych swoich fantazjach.

- Osobiście ci je zademonstruję.

Ziewając, przeciągnęła się i zamknęła oczy.

- To dobrze.

Dmuchnął lekko, żeby pozbyć się kosmyka, który łaskotał go w nos.

- Na pewno będziesz rano wszystko pamiętała?

- Nie żartuj. Dzisiejszy wieczór będę pamiętała nawet na łożu śmierci.

- Odtąd będziemy działać po twojemu.

- O czym mówisz? - spytała zdziwiona.

- O twojej karierze.

Skinęła głową.

- Zdecydowanie po mojemu.

Oczekiwał nieco mniej stanowczej odpowiedzi. Już chciał zaproponować, gdy nagle przypomniał sobie słowa Bretta. I przezornie zamilkł.

- Czuję, jak mnie to wciąga - dodała po chwili Joan.

- Boję się.

- Co cię wciąga?

- Sława, popularność, co za tym idzie większa sprzedaż. Miałam mały przedsmak, no i... Nawet nie przypuszczałam, że to może tak kusić.

- A czego się boisz? - spytał, niepewny, czy strach ją podnieca, czy wprost przeciwnie, paraliżuje.

- O nie! - zawołała.

- Co nie?

- Nie próbuj mnie przekonywać ani wpływać na moje decyzje.

- Ależ ja...

- Mówię poważnie. Odtąd chcę sama o sobie decydować.

Widząc determinację w jej oczach, skinął głową. Cały czas miał w pamięci słowa Bretta: jeżeli przestanie być

agentem Joan, nie będzie miał nic do powiedzenia na temat jej kariery; jeśli jednak ustąpi w kilku ważnych dla niej kwestiach, wciąż będzie mógł służyć jej doświadczeniem i radą.

Wykonał taktyczny odwrót.

- Mamy rozmawiać teraz o interesach? - spytał.

- Broń Boże. - Wsunęła rękę w jego dłoń. - Podoba mi się twoja rodzina.

- Ty im też przypadłaś do gustu.

- Tak ci powiedzieli?

- Mama przydzieliła nam sąsiednie pokoje, połączone łazienką. To o czymś świadczy.

Joan rozejrzała się wkoło.

- Grywałeś w kosza...

- W szkole średniej. Na studiach okazałem się za niski.

- I wtedy przerzuciłeś się na narty? - Oswobodzisz się, uklękła na łóżku i z półki nad wezglowiem zdjęła puchar.

- To za mistrzostwa w Kanadzie.

- Dobry byłeś?

- Przecież wygrałem.

- No wiem, ale czasem zawody uniwersyteckie są...
- Wzruszyła ramionami.

Zdjął z półki inne, mniejsze trofeum.

- Mistrzostwa juniorów. Krajowe, nie uniwersyteckie.

Odstawiła na miejsce jeden puchar i wzięła od Anthony'ego drugi.

- Całkiem niezłe. - Uśmiechając się, pogładziła złotego narciarza.

- Owszem, niezłe - mruknął, odbierając jej cenne

trofeum. Nie chciał, by go miała za mięczaka; narciarze są równie silni i wysportowani, jak koszykarze.

- Nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś. - Na moment zamilkł. - A ty czym się zajmowałaś na studiach?

Ułożyła się na wznak i przykryła kołdrą.

- Grałam na fortepianie.

- I co, dobra byłaś? - zażartował.

- Wprawdzie nie zdobyłam żadnej nagrody w mistrzostwach juniorów, ale za to występowałam z „Azek Breeze”.

- Serio?

- Tak. Wtedy chłopcy dopiero zaczynali... Niestety, krótko trwała ta moja przygoda. Kiedy mama odkryła, co robię, musiałam pożegnać się z zespołem.

Zaimponowała mu.

- Kurczę, mogłaś zostać gwiazdą rocka.

- Albo zespół mógłby się rozpaść z powodu kiepskiego pianisty.

Anthony pokręcił głową. Nie ulega wątpliwości, że jako muzyk Joan również odniosłaby sukces.

- Właśnie wtedy rodzice w pełni sobie uświadomili, że mają w rodzinie czarną owcę.

- Nie jesteś czarną owcą. - Pogładził ją po włosach.

- Dlaczego tak o sobie mówisz?

- Bo ciągle przynoszę im wstyd.

- Moim zdaniem to oni powinni się wstydzić.

Obróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie żartuj. Czego ma się wstydzić kobieta w kostiumie od Chanel na otwarciu nowego skrzydła szpitala pediatrycznego? Wszystko można powiedzieć o moich rodzicach, ale nie to, że komukolwiek przynoszą wstyd.

- Joan...?
- Mmm?
- Zmieńmy temat.,. Wiesz, że jutro będziesz musiała podpisać mnóstwo książek?
Odpreżyła się.
- Nie mogłam uwierzyć, że Nadine wszystkie przeczytała.
- A ona nie mogła uwierzyć, że cię znam.
Joan roześmiała się cicho.
- To takie dziwne, kiedy ludzie myślą, że jest się kimś - wyjątkowym.
- Bo jesteś kimś wyjątkowym.
- Leila, na przykład - kontynuowała, nie zwracając uwagi na słowa Anthony'ego - krępowała się poprosić, żebym przeczytała jej powieść. Chce krótki tekst na okładkę;
Anthony zazgrzytał zębami. Miał za złe Leili, że wykorzystuje jego znajomość z Joan.
- Nie musisz tego robić. Ona nie powinna była...
- Nie bądź śmieszny. Z chęcią przeczytam. I jestem pewna, że książka mi się spodoba.
- Joan, naprawdę nie...
- O co ci chodzi? Czyżby biznes ważniejszy był od rodziny?
- Leila nie jest twoją rodziną.
- Nie szkodzi. Przeczytam i postaram się wymyślić coś zgrabnego na okładkę.
- Czytelnicy kierują się zamieszczonymi z tyłu notkami.
- Słusznie.
- A jeśli ci się powieść nie...
- Tobie się podoba? - przerwała mu.

- Oczywiście. Inaczej nie wziąłbym Leili pod swoje skrzydła.

- Czyli nie mam się o co martwić.

- Joan...

- Co?

- Nic.

Chciał powiedzieć, że powinna być egoistka, że powinna myśleć o sobie i swojej karierze, ale uznał, że lepiej nie drażnić tego tematu, kiedy Joan leży w jego ramionach. Właściwie to znów zbierało mu się na amory.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Wiesz, że musimy wrócić? - szepnęła.

- Nie musimy. - W Indigo grozi jej niebezpieczeństwo.

Przewróciła się na brzuch i podparła na łokciach.

- Chcę przejrzeć notatki, jakie robiłam podczas pisania *Zdrady*. Chcę ponownie przestudiować policyjne raporty i stenogramy. Może wpadnę na jakiś pomysł, na coś, co inni przeoczyli...

- To zbyt niebezpieczne - rzekł Anthony. - Ktoś... jacyś złoczyńcy podejrzewają, że znasz prawdę.

- I że Samuel ją zna. Do jego domu były już dwa włamania, do mnie tylko jedno. - Zamyśliła się. - Ciekawe, co on...

- Przestań, Joan.

- Może widział wtedy coś, czego dziś nie pamięta? Może odpowiedź tkwi w aktach?

- No dobra. - Zamiast się spierać, Anthony pocałował ją lekko w usta i sięgnął do szafki po kolejną prezerwatywę.

- No dobra?

- Chyba nie zamierzasz wracać teraz, po nocy?

- Nie...
- Czyli mamy co najmniej sześć godzin na inne przyjemności.
- Coś ty taki ustępliwy? To nie w twoim stylu.
Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.
- Zmieniłem się. Nowy Anthony do usług. - Powiódł dłonią po jej plecach. - Ale nawet ten nowy, ustępliwy Anthony nie puści cię przed świtem z łóżka.
Zarzuciła mu ręce na szyję.
- Niech nie puszcza - szepnęła.
- Wreszcie jesteśmy zgodni.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podczas gdy czerwone słońce zachodziło hen nad Zatoką Meksykańską, Heather siedziała po turecku na podłodze w sypialni Samuela i układała na kupki ubranie: oddzielnie szorty, oddzielnie spodnie, oddzielnie bokserki, oddzielnie T-shirty. Od rana porządkowali kuchnię i salon. Z każdą godziną dom stawał się coraz bardziej zdatny do zamieszkania.

- A twoja bielizna? Gdzie się podziała? - spytała Heather, wskazując na najmniejszą kupkę, na której leżały dwie pary jedwabnych bokserek.

Samuel, który zajęty był naprawianiem szuflady w komodzie, obejrzał się przez ramię.

- Bielizna?

- Tylko to zostało. Chyba złodziej nie połasił się...

- Te gatki służą mi za piżamę - wyjaśnił Samuel.

Heather rozejrzała się wkoło.

- W takim razie gdzie... - Urwała; najwyraźniej Samuel obywa się bez bielizny.

Roześmiał się i wrócił do przerwanej pracy.

- W Bostonie faceci noszą ten niewygodny przyodziewek?

Wstawszy z podłogi, umieściła stertę koszulek w jednej z niezepsutych szuflad.

- W Bostonie panują znacznie niższe temperatury.

- A faceci...

- Noszą garnitury, czasem wełniane.
- Biedacy.
- Większość ludzi nie wychodzi z domu bez majtek.

Ja zawsze noszę bieliznę.

- Kłamczucha. Wcale nie zawsze.
- Nie zaczynaj!
- Czego?
- Wciąż masz rękę na temblaku.
- W każdej chwili mogę go zdjąć.

Ułożyła koszulki według kolorów na dnie szuflady.

- Lekarz mówił, żebyś się wstrzymał do jutra.
- A co on tam wie?
- Chyba coś wie. Przez wiele lat studiował medycynę.

- Ale to moja ręka.

Wróciła po stos koszul.

- W porządku. Jeśli jednak nie chcesz jej stracić, to lepiej słuchaj zaleceń lekarskich.

- Grozisz mi?

Popatrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

- Skądże.
- Powiedziałaś: jeśli nie chcesz jej stracić.
- Chodzi mi o to, że może wdać się zakażenie.
- Aha.

Ponownie skierowała się do komody.

- Dziwny jesteś.
- Nie tam - oznajmił nagle.

Obejrzała się przez ramię.

- Koszule idą do szafy.

Heather zgrabnie zasalutowała.

- Rozkaz, panie kapitanie.

Posłał jej łobuzerski uśmiech, a ją z miejsca przesyłał

dreszcz. Starając się skupić na porządkach, otworzyła drzwi szafy. Złodziej, czy też włamywacz, całą zawartość szafy wyrzucił na podłogę; w środku zostało kilka pojedynczych wieszaków... oraz jakiś duży ciemny przedmiot.

Hm. Odłożyła koszulę i przysunęła do siebie wciśnięty w kąt stary skórzany futerał.

- Co to? - spytała Samuela, pokazując mu, co znalazła.
- Skrzypki taty.
- Mogę?
- Zapomniałem... Przecież ty grasz.
- Na skrzypcach.
- Och, bardzo panią przepraszam.

Zaczerwieniła się. Nie chciała nikogo urazić.

- Mogę na nie zerknąć?
- Jasne.

Położywszy futerał na łóżku, uniosła wieko. To, co zobaczyła w środku, sprawiło, że z wrażenia wstrzymała oddech. Oniemiała z zachwyty wyciągnęła rękę i opuszkami palców delikatnie pogładziła przepięknej roboty instrument. Nie mogła oderwać wzroku od ozdobnego napisu. Ostrożnie wyjęła skrzypce z futerału i z uwagą przyjrzała się charakterystycznej stylizowanej literze A.

- Samuel? - Nie była w stanie opanować drżenia głosu.

- Co się stało?
- To jest ambrogino.
- Żadne ambrogino. To skrzypki.

Potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz. Jako mistrz lutnictwa Ambrogino ustępował jedynie Stradivariusowi. Nie wiesz, skąd twój ojciec miał te skrzypce?

Samuel zmarszczył czoło.

- Sugerujesz, że je ukradł?
- Nie! Przestań być takim paranoikiem. Czy twoja rodzina należała do bogatych? Czy miała pieniądze?
- Gdyby miała, nie musiałbym tak harować.
- Bo ten instrument... on jest niezwykle cenny. To niemal eksponat muzealny.
- Wydaje mi się, że tata dostał go w spadku po swoim ojcu.
- W oczach Samuela pojawił się wyraz tęsknoty.
- Po kolacji lubił siadywać na ganku i wygrywać różne melodie.

Heather ponownie powiodła spojrzeniem po pięknym instrumencie. Palce ją swędziały. Ileż by dała, żeby usiąść po kolacji na ganku i pograć sobie na nich!

- Mogę? - zapytała.

Samuel wzruszył ramionami.

Wyjęła z futerału smyczek, natarła go kalafonią, wyregulowała napięcie włosia, szarpnęła struny palcami. Wreszcie wzięła głęboki oddech i przyłożyła instrument do brody.

Zaczęła od Vivaldiego, potem przeszła do Chopina, a na końcu zagrała sonatę Bacha.

- Brzmi to zupełnie inaczej, niż kiedy tata na tym grywał - rzekł Samuel, kiedy ucichły ostatnie dźwięki.
- Niesamowite... - Heather uśmiechnęła się do siebie.
- Muzyka kajuńska na ambrogino.
- Straszna z ciebie snobka.

Znów zrobiło się jej wstyd. Ale... muzyka kajuńska jest monotonna, pełna powtórzeń, podwójnych tonów i jednostajnych nut. Mieć ambrogino i ograniczać się do prostych, niewyrafinowanych melodii jest niemal grzechem.

Samuel podszedł do szafy i z tej samej półki, na której znalazła wciśnięty w kąt czarny futerał, wyciągnął stary, oprawny w skórę zeszyt. Patrząc Heather butnie w twarz, rzucił zeszyt na łóżko.

- To utwory, które grał mój ojciec. Uwielbiałem jego muzykę. Czego nie mogę powiedzieć o tej, którą ty zagrałaś.

Przygryzła wargi. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Cholera, musi uważać na to, co mówi.

Kiedy Samuel wrócił do sklejania uszkodzonej szufelady, podniosła z łóżka zeszyt. Składał się z luźnych kartek papieru wypełnionych zapisem nutowym; niektóre miały ze dwadzieścia lat, inne pewnie ze sto.

Utwory te wcale nie wydawały się monotonne; przeciwnie, były fascynujące. Zaintrygowana, zagrała w myślach kawałek z pierwszej strony. Stała skupiona, kiwając leciutko głową i poruszając nieznacznie palcami, dopóki nie nabrała pewności, że opanowała sekwencję nut. Następnie wsunęła skrzypce pod brodę i zaczęła grać.

Gdy skończyła, zorientowała się, że Samuel stoi bez ruchu, jak skamieniały, z dziwnie zbolaną miną.

Odłożywszy skrzypce, podbiegła do niego wystraszona. Otarł ręką łzy.

- Ojej, przepraszam - szepnęła.

Wykazała się totalnym brakiem taktu i wyczucia. Pewnie biedak nie słyszał tej melodii od śmierci ojca.

Zacisnęła dłoń na ramieniu Samuela. Mięśnie miał napięte, twarde jak ze stali.

- Możesz to zagrać jeszcze raz? - poprosił ochryłym głosem. - Możesz?

Łzy podeszły jej do gardła.

- Oczywiście, że tak.

- Wiem, że nie przepadasz za tego rodzaju...

Przyłożyła mu palec do ust.

- To piękna muzyka. Po prostu cudowna. Absolutnie godna tego, aby wykonywać ją na ambrogino.

Samuel skinął głową.

- No, wszystko w porządku?

Ponownie skinął głową, po czym kolejno pocałował palce jej prawej ręki.

Wróciła do łóżka, rozłożyła strony z nutami i zagrała kilka kawałków. Niektóre utwory były proste, łatwo wpadające w ucho, inne miały ostre, szaleńcze tempo.

Grała na skrzypcach, a Samuel tańczył.

To było niesamowite patrzeć, jak ten potężnie zbudowany mężczyzna podskakuje lekko w rytm muzyki. Ściągnął temblak, który najwyraźniej mu przeszkadzał, przymknął oczy i tańcem wyrażał radość życia.

Gdy tylko melodia nie wymagała od niej skupienia, Heather również kołysała się, czasem podrygiwała.

Kiedy zabrzmiały ostatnie nuty i w pokoju wreszcie zaległa cisza, Samuel chwycił Heather za nadgarstek, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Oswobodzwszy się na moment, umieściła skrzypce w futerale, po czym wróciła na miejsce i wsunęła ręce w jego ciemne loki.

- Jesteś piękna- szepnął, wodząc dłońmi po jej ciele,

- Jeszcze nic nie widziałeś. - Śmiejąc się cicho, pozbyła się bluzki.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Wprawnym ruchem odpiął koronkowy stanik.

- Masz rację, jeszcze nic nie widziałem...

Zaciskając rękę na piersi Heather, całował ją po szyi, Jego język zostawiał gorący ślad ciągnący się od obój-

czyka po ramię. Westchnęła błogo. Wprawdzie spodziewała się czegoś innego, bardziej brutalnych i wyrafinowanych pieśczoł, ale i tak czuła się jak w niebie.

Zdarła koszulę z Samuela. Stali przytuleni, jego palce wędrowały niespiesznie po jej plecach. Wreszcie zatrzymały się przy gumce od szortów.

Heather wstrzymała oddech. Czekała, aż Samuel wsunie dłoń niżej, on jednak dalej całował ją po twarzy i po szyi. Przyłgnęła do niego biodrami. Gdy objął ją mocno w pasie, wyczuła, że ręce mu drżą. No może wreszcie... może wreszcie... Nie, jednak nie. Westchnęła zniecierpliwiona.

- Mmm? - spytał, nie odrywając ust od jej warg.
- Co robisz?
- A jak myślisz? - odparł zdumiony.
- Obchodzisz się mną, jakbym była ze szkła. Jakbym była... - Cofnęła się krok, uwalniając się z jego objęć.
- Jakbym była twoim cennym ambrogino. - Uderzyła go lekko w pierś. - Co ty jesteś, facet z Bostonu, czy co?

Chwycił ją za nadgarstek. Uderzyła go drugą ręką. Drugą też chwycił. Rozpostarł jej ramiona i przywarł mocno do jej piersi.

- No, nareszcie stuprocentowy samiec!
- Chcesz ostro i brutalnie?
- Nie. Tak. Nie wiem. Boże, skąd mam wiedzieć?
- Na moment zamilkła. - Ale ty... od paru dni się ze mną drażnisz, kusisz mnie, zachęcasz, obiecujesz coś innego, coś nietypowego...

Na jego ustach pojawił się przekorny uśmiech.

- Jesteś gotowa na coś innego niż zazwyczaj?
- Tak. - Normalny, zwyczajny seks miała w Bostonie. W Bostonie, do którego wróci najdalej za tydzień.

Dziś z Samuelem zdecydowanie chciała przeżyć odrobinę szaleństwa, coś dzikiego, nieokiełzanego, co zapamięta do końca życia.

- Byłaś kiedykolwiek na górze?

- Nie.

- A przywiązana?

Wytrzeszczyła oczy. Samuel zaśmiał się pod nosem.

- Rozumiem, nie wszystko naraz.

- Ja... to znaczy...

Jednym ruchem ściągnął jej szorty.

- Nie bój się, nie związę cię.

- To dobrze. - Oblizła wargi. Z drugiej strony trochę ją to korciło...

- Przerażasz mnie, wiesz?

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Bo... - Zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

- Bo jesteś taka piękna - kontynuował po chwili. - Piękna, tajemnicza, emanująca erotyzmem, a jednocześnie pełna zahamowań. Chciałbym je zburzyć, nauczyć cię wszystkiego, co umiem.

- Naucz.

- Nie mamy tyle czasu. - Wyjąwszy z kieszeni prezerwatywę, ściągnął spodnie, po czym objął Heather za biodra i ją uniósł. Jedną ręką podtrzymując ją za biodra, pokazał, aby otoczyła go nogami w pasie. Gdy usłuchała, wziął ją w posiadanie. Jęknęła z rozkoszy. Samuel przesunął się kilka kroków w bok, nie odrywając jej pleców od ściany.

- Wolno czy szybko? - spytał ochryple.

- Szybko. Wolno to mam w Bostonie.

Przyśpieszył. Jego pocałunki były miękkie, czułe, ściana za plecami twarda i zimna. Miał niewyczerpane

zapasy energii. Heather straciła rachubę czasu, przeniosła się w inny świat. Gdy szczęśliwa i zaspokojona nie była w stanie dłużej oplatać go nogami, zwolnił, po czym wreszcie znieruchomiał. Zamrugła powiekami.

Otoczający ją świat znów nabrał ostrości; ujrzała leżące na łóżku wielkie białe poduszki, zawaloną ubraniami podłogę oraz futerał ze skrzypcami otoczony zapisaną na kartkach bezcenną muzyką.

Spotkali się rano w jadalni La Petit Maison.

- Nie pojmuję, czego oni się boją! - powiedziała Joan, odkładając na stół teczkę z aktami.

Anthony doskonale rozumiał jej frustrację. Przejrzał wszystkie dokumenty procesowe; nie było w nich nic, czym mógłby się zasugerować czytelnik *Zdrady na bagnach*.

Heather siedziała po turecku na ławie przy oknie, za którym rozciągał się widok na ogród.

- Skupmy się. Co wiemy na pewno?

- Że moi rodzice zostali zamordowani - oznajmił Samuel.

- Coraz bardziej na to wygląda - przyznał Anthony. Był zaskoczony, że policja dokładniej nie zbadała sprawy.

- Ale dlaczego teraz morderca wrócił? - spytała Joan, podnosząc egzemplarz książki. - Co takiego napisałam, że się wystraszył?

Anthony wstał od stolika i zaczął przemierzać pokój.

- I dlaczego ofiarą padli państwo Kane'owie? Czy był to niefortunny zbieg okoliczności? Czy morderca chciał ich okraść? A może widzieli coś, czego nie powinni byli widzieć? - Strzeliwszy palcami, zatrzymał się

w pół kroku. - Samuel, czy rodzice mogli być świadkami jakiejś zbrodni?

- Zbrodni? - oburzyła się Joan. - W Indigo?

- Tak, w Indigo. Samuel, spróbuj sobie przypomnieć kilka poprzedzających dni. Czy rodzice zachowywali się normalnie? A może wydawali się zdenerwowani? Może próbowali z kimś się skontaktować?

Samuel potrząsnął przecząco głową.

- Nie, zachowywali się normalnie. To był poniedziałek. Weekend spędzili w domku letniskowym...

- W domku letniskowym?

- Tata uwielbiał łowić raki. Mieli niedużą chatę na bagnach, jakieś pięćdziesiąt kilometrów za Indigo.

- Może kogoś na czymś przyłapali?

- Kogo?

- Nie wiem. Bimbrowników. Dilerów. Handlarzy bronią.

Samuel zmarszczył czoło.

- Nie sądzę, żeby bimbrownicy mordowali...

- Kto jeszcze może mieszkać na bagnach?

- Przeciwnicy cywilizacji - podsunęła Joan.

- Albo wariaci - dodał Samuel. - Pomyłeńcy. Jest tam paru takich typów, których wolałbym nocą nie spotkać.

- Miejscowy wieśniak, nawet najbardziej pomyłony, nie jechałby za Kane'ami do miasta - sprzeciwiła się Joan.

- Stawiam na dilerów - oznajmiła Heather.

- Dobrze, ale co ich wystraszyło w mojej książce? Nigdzie nie pada słowo „narkotyki”.

- Może chodzi im o forszę? - wtrącił Anthony. - Albo o to, że piszesz o podwójnym morderstwie, a nie o morderstwie i samobójstwie.

- Ale czego szukają w domu Samuela?

- Psiakrew! - warknął ten ostatni.
- Trzy głowy obróciły się w jego stronę.
- Podczas pierwszego włamania ten drań przejrzał wszystkie albumy ze zdjęciami.
- Chcesz powiedzieć, że tamtego dnia rodzice robili zdjęcia? - spytał cicho Anthony.
- Fotografowali wyłącznie siebie.
- Heather wyprostowała nogi i wstała z ławy.
- Ale włamywacz tego nie wie. Może myśli, że są też inne...
- Anthony napotkał wzrok Samuela.
- Pięćdziesiąt kilometrów, powiadasz?
- Luc! - Samuel poderwał się od stołu. - Będzie nam potrzebna łódź.

Wykonując polecenia stojącego na dziobie Samuela, Anthony ostrożnie manewrował łodzią. Po chwili dobili do starego pomostu ukrytego pośród bujnej zieleni. Znajdowali się w samym sercu Bayou Teche. Niebo było niewidoczne, zasłonięte konarami drzew, z których zwiisały długie sznury mchu. Z wody gdzieniegdzie sterczały poskręcane korzenie cyprysów.

Gdyby, nie daj Boże, coś się stało Samuelowi, miesiącami mogliby błądzić po bagnach, zanim trafiliby z powrotem do cywilizacji.

Anthony zgasił silnik. Panującą wokół ciszę przerywało bzyczenie owadów i jakieś tajemnicze szmery dochodzące z zarośli. Trzymając w ręce linę, drugą ręką Samuel chwycił się słupka i przeskoczył z łodzi na drewniany pomost.

- Jeszcze nie wstawajcie - ostrzegł kobiety, obwiązując liną słupek.

Anthony zdjął kamizelkę ratunkową. Kiedy łódź przestała się chybotać, wstał i pomógł kobietom wysiąść.

- Dziwnie tu - powiedziała Heather, rozglądając się lękliwie.

- Samuel, jesteś pewien, że nie pomyliłeś drogi?
- spytała Joan.

Olbrzym zerknął na wąskie, zniszczone schody pnące się w górę między dwoma dębami i skinął głową.

- Nie. To tutaj.

- I co teraz? - spytała Heather, strzepując brud z jasnozielonych spodni.

Anthony wysiadł ostatni. Ciekaw był, czy stare deski wytrzymają ciężar tylu osób.

- Rozejrzemy się po okolicy.

Mogli tu znaleźć wszystko: kryjówki przemytników, składy narkotyków, groby.

- Czyli wybieramy się na trekking? - Joan popatrzyła na swoje nogi w sandałkach.

- Możecie poczekać w chacie - zaproponował Samuel. - Albo na pomoście. Gdzie wolicie.

Anthony ruszył po schodach, chcąc się przekonać, czy chata Kane'ów wciąż tam jest. Ściany i dach nadał trzymały się prosto, chociaż ganek wydawał się dziwnie przekrzywiony, jakby trochę się zapadał.

Heather zabiła komara, który przysiadł na jej ramieniu..

- Głosuję za chatą.

- Sprawdźmy, jak jest w środku.

Powiew wiatru rozrzedził chmurę owadów, która krążyła nad ich głowami. Całe szczęście, pomyślał Anthony. Był zbyt dumny, by wymachiwać rękami, tak jak to robiły kobiety. Wolał naśladować Samuela, który wszelkie niedogodności znosił ze stoickim spokojem.

Z każdym dniem spędzonym w gorącym Indigo coraz większym szacunkiem darzył mieszkańców Luizjany. Przypomniały mu się słowa piosenki: jeśli powiesz ci się w Nowym Jorku, to powiesz ci się wszędzie. Powoli nabierał przekonania, że dla większości ludzi z Południa życie w Nowym Jorku nie stanowiłoby najmniejszego problemu.

Weszli na przekrzywiony ganek. Po chwili Samuel pchnął drzwi. W środku panował idealny porządek. Owszem, wszystko pokrywała warstwa kurzu, ale podłoga była ładnie polakierowana, ściany lśniły bielą, a bawełniane pokrowce ochraniały meble. Ktokolwiek był tu ostatni, przed wyjazdem starannie posprzątał chatę. Na pewno nikt nie opuszczał tego miejsca w pośpiechu.

Samuel odsłonił okna, by wpuścić do środka trochę światła, następnie zdjął z mebli pokrowce. Oczom zebranych ukazała się nieduża kapana obita tkaniną w kwiaty oraz fotel na biegunach. W jednym rogu chaty stał zakurzony stół kuchenny z trzema krzesłami, w przeciwległym zaś dwa łóżka.

- Ubikacja jest na dworze. - Wskazał kciukiem za Niebie, po czym wybuchnął śmiechem na widok znie-Nmaczonej miny Heather. - Bez obaw. Zanim ruszymy z Anthonyem na zwiedzanie, sprawdzę, czy w pobliżu nie zadomowiły się jakieś węże.

Tym razem jęknęła Joan. Anthony posłał jej współczujące spojrzenie. Sam też nie przepadał za tak prymitywnymi warunkami, ale jako mężczyźnie nie wypadało mu narzekać.

- Przyniosę z łodzi wodę.

Chciało mu się pić. Na szczęście Luc, bo sami o tym

nie pomyśleli, zapakował im na drogę plecak zjedzeniem i napojami.

Heather zerknęła na stos pism leżących na szafce pod ścianą.

- No proszę, „Good Housekeeping”. - Uśmiechnęła się do siostry. - Może zdobędziemy jakąś pożyteczną wiedzę.

- Mów za siebie - odparowała Joan. - Jesteś rozpieszczoną córeczką tatusia...

Heather otworzyła pismo.

- Czy rozpieszczoną to nie wiem, ale z wychodka faktycznie nigdy nie musiałam korzystać.

- Skromne życie uczy pokory - stwierdził Samuel.

Pomost znajdował się cieniu. Anthony zadartł głowę. Pomiędzy poskręcanyimi gałęziami dębów widział gromadzące się na niebie chmury. Miał nadzieję, że temperatura spadnie o kilka stopni. Jeżeli jesień jest tak parna i gorąca, to wyobrażał sobie, jaki skwar panuje latem!

Słyszac chlupot wody, obejrzał się za siebie. Wydawało mu się, że widzi łuskowaty, zielony ogon znikający w gąszczu po drugiej stronie bagna. I pomyśleć, że żyją tu ludzie! Jak oni wytrzymują? Z jednej strony chmury komarów, z drugiej aligatory, z trzeciej węże...

On już wolał szczury, kieszonkowców i gangi uliczne. Przynajmniej wie, co robić, by ich unikać.

Wskoczył do łodzi i chwycił leżący na tylnej ławce plecak. Znów poczuł lekki powiew wiatru. Co za rozkosz! Wydostawszy się z powrotem na pomost, ruszył schodkami do chaty Kane'ów.

- Niczego więcej nie potrzebujecie? - spytał Samuel, zwracając się do kobiet.

- Anthony! - zawołała uradowana Heather. - Mój ty bohaterze!

- To ja przegoniłem z wychodka mokasy na - oburzył się Samuel.

- Ale mnie się chce pić, a nie sikać.

Anthony uśmiechnął się: można było przyzwycząić się do Heather, a nawet ją polubić. Otworzył plecak, wyjął butelki, wręczył każdemu po jednej. Swoją w mig opróżnił do połowy.

- No dobra, to od czego zaczynamy?

- Ze dwa kilometry stąd, na północ, mieszkał stary Barns - odparł Samuel. - Staruszek pewnie wyzionął już ducha, ale chałupa po nim została. A kilometr na południe stała opuszczona chata, do której zjeżdżali różni hipisi. Do obu tych miejsc prowadzą ścieżki...

- Wolisz iść pieszo?

- Silnik jest za głośny. Po co mamy się dekonspirować?

- Myślisz, że ktoś się tam ukrywa? - spytała Joan.

- Facet, który dokonał drugiego włamania, zniknął bez śladu. Jakby rozpułynał się w powietrzu - odparł Anthony.

Zrobione przez Samuela nocne zdjęcia wyszły nie najgorzej, ale nikt w miasteczku nie widział sfotografowanego mężczyzny.

Joan była wyraźnie przybita. I wyraźnie potrzebowała pocieszenia. Korciło ją, by przytulić się do Anthony'ego, ale wstrzymywała się ze względu na siostrę i Samuela, którzy jeszcze nie wiedzieli o tym, co ich łączy. Właściwie to sama też za bardzo nie wiedziała.

Patrząc na nią, Anthony również miał ochotę przytulić ją do piersi. Zamiast tego zacisnął rękę na jej ramieniu.

- No dobra, idziemy z Samuelem rozejrzeć się po okolicy - rzekł. - Jeśli zauważymy coś podejrzanego, zawiadomimy policję.

Joan skinęła głową.

- Dobrze.

- Ruszamy, Samuel?

- Ruszamy.

Bez trudu odnaleźli chałupę hipisów. Była pusta; wyglądała tak, jakby od lat nikt do niej nie zaglądał. Potem ruszyli na poszukiwanie chaty starego Barnsa. Szli ostrożnie, usiłując wypatrzeć w lesie ślady ludzkiej obecności. Żadnych nie dostrzegli, chociaż ścieżka, którą wędrowali, nie była całkiem zarośnięta.

Anthony ociekał potem. Powietrze było duszne, nieruchome, za to temperatura skoczyła o kilka stopni.

Brnęli przez gąszcz, co rusz odgarniając zwisające gałęzie, kiedy nagle Samuel położył dłoń na ramieniu swojego towarzysza. Anthony stanął w pół kroku i zmarszczył czoło. Samuel przytknął rękę do ucha, a potem wskazał na ukryty za kępą drzew domek.

Anthony wyteżył słuch. Przez kilka sekund tkwił nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. Raptem usłyszał łoskot. Ktoś jest w chacie Barnsa. Po chwili rozległo się szuranie, jakby ktoś coś ciągnął po podłodze.

Anthony poczuł, jak serce mu wali. Strugi potu spływały mu po plecach. Popatrzył na Samuela, który na miga dał mu znać, że powinni zejść od tyłu. Skinął głową na znak zgody.

Cofnęli się parę metrów ścieżką, po czym przedzierając się przez zarośla, szerokim łukiem dotarli na tyły chaty. Twarze mieli pogryzione przez komary, podrapa-

ne przez liście i gałęzie. Może to wszystko jest bez sensu, pomyślał Anthony. Ale miał świadomość, że nie może zawrócić. Musi odkryć, kto i dlaczego zagraża bezpieczeństwu Joan.

Zatrzymali się trzy metry od domu. Zwisające z drzew kłęby mchu czyniły ich niewidocznymi. Z chaty wciąż dochodziły hałasy. Ktokolwiek był w środku, nie wiedział, że został namierzony.

Anthony skinął w prawo.

- Spotkamy się przy drzwiach?
- Tak. Sprawdźmy, czy gość jest uzbrojony.

Rozdzielili się. Po drodze Anthony minął nieduże, lepkie od brudu okienko, ale nic nie było przez nie widać. Chwilę później zza rogu po drugiej stronie chaty wyłonił się Samuel. Olbrzym usiłował zerknąć przez okno od frontu. Wzruszył ramionami; też nic nie widział.

Powoli, na palcach zbliżali się do drzwi. Były uchylone; ledwo trzymały się na zawiasach. Szuranie stało się głośniejsze.

Anthony wyciągnął rękę i pchnął drzwi. Obaj z Samuelem przywarli do ściany.

Dochodzący ze środka hałas ucichł. Nie padły żadne strzały.

- Jest tam kto?! - zawołał Anthony. Może w środku jest jakiś niewinny turysta albo dziki lokator pozbawiony złych zamiarów?

Odpowiedziała mu cisza.

- Wyłaź stamtąd! - rozkazał groźnym tonem Samuel, przycupnąwszy na wypadek, gdyby intruz nagle zaczął strzelać.

Zero reakcji.

Anthony podszedł krok bliżej. Samuel ruszył w jego

ślady. Ostrożnie, gotów w każdej chwili czmychnąć, Anthony zajął do środka. Zamrugał raz, zamrugał drugi raz. Był pewien, że widzi kości.

- I co? - zapytał Samuel.

- Cholera! - Nic mu się nie przywidziało. To są kości.

Samuel wskoczył na ganek. W tym samym momencie z mrocznego wnętrza wypadł potężny aligator z rozdzieloną paszczą.

Ostrzegając Samuela przed niebezpieczeństwem, Anthony skoczył w bok. Samuel zareagował ułamek sekundy za późno.

Gad, poruszając się z prędkością światła, zacisnął zębiska na bucie Samuela.

scandalous

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Samuel chwycił kamień i walnął zwierzę w łeb, Anthony zaś rzucił się na ogon. Wydierał się na całe gardło, wyzywając gada od najgorszych drani. Potem złapał kij i zaczął okładać potężne cielsko.

- Odwróć się! - wrzasnął. - Na mnie popatrz, skurwielu jeden!

Na moment zwierzę rozwarło szczękę. Samuel błyskawicznie wyrwał stopę i przeturlał się kilka metrów w bok. Aligator rzucił się za nim, wlokąc za sobą Anthony'ego.

- Wdrapuj się na drzewo! - krzyknął Anthony.

Samuel poderwał się na nogi i kuśtykając, popędził w stronę najbliższego dębu.

- Teraz ty! Uciekaj! - zawołał, wspiawszy się na bezpieczną wysokość.

Anthony chwycił się w locie gałęzi i podkurczył nogi. Zdażył, zanim bestia kłapnęła szczęką. Podciągnął się, złapał za drugą gałąź, potem za trzecią i czwartą. Kiedy przystanął, by spojrzeć w dół, znajdował się z dziesięć metrów nad ziemią. Ogłupiałe zwierzę tkwiło obok pnia.

- No, jak się czujesz? - zawołał do Samuela.

- W porządku. Trochę krwawię... Wdrapałeś się dostatecznie wysoko?

- Spokojna głowa. - Anthony roześmiał się. - Takiej adrenaliny nigdy nie czułem.

- Ja też. Dzięki, stary; uratowałeś mi tyłek.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Zdołasz zata-
mować krwawienie?
- Chyba tak. — Samuel zdjął koszulkę i zaczął ją rwać
na strzępy.

Anthony ponownie zerknął w dół. Zwierzę mrugało leniwie. Przypuszczalnie zapomniało już o nieudanej po-
goni za jedzeniem. Ot, zwyczajny dzień w życiu luizjań-
skiego aligatora.

Oddychając ciężko, Anthony oparł czoło o nierówny
pień.

- Wiesz, chyba raptem zatęskniłem za Nowym Jor-
kiem.

Samuel zarechotał.

- Nie dziwię ci się. Słuchaj, myślisz, że ten drań
skonsumował starego Barnsa?

- Też widziałeś kości?

- Owszem. - Paskiem materiału Samuel obwiązał
nogę w kostce. - Ale chyba leżą tu od dawna.. Myślę, że
Barns zmarł ze starości.

- Pewnie tak - zgodził się Anthony. Aligator zaciąg-
nąłby ciało do wody. - Dasz radę iść?

- Postaram się.

- Aż strach się z tobą zadawać, wiesz?

Samuel ponownie zarechotał.

- Fakt, to nie jest mój szczęśliwy tydzień.
- Włamania, aligator... i jeszcze Heather - dodał An-
thony. Widział, jak na siebie patrzyli.

- Heather? - Samuel wyprostował się na gałęzi.

- O czym ty mówisz?

- Czy ja wyglądam na głupiego?

Zmrużywszy oczy, Samuel przyjrzał mu się uważnie.

- Teraz, na tym drzewie? Jeśli mam być szczerzy...
Nie dokończył, bo nagłe usłyszeli bliski grzmot.

Chmury zgęstniały, niebo przybrało stalowoszary kolor, temperatura obniżyła się o kilka stopni. Po chwili kilka kropli deszczu rozbryznęło się na liściach.

- No, pięknie - mruknął Samuel.

- Przynosisz, kolego, pecha.

- Ja? Nie skończyłem od kuli, nie pożarł mnie aligator. To jest szczęście, nie pech. A ty jakie masz osiągnięcia?

Dobre pytanie, pomyślał Anthony.

Błyskawica rozdarła niebo.

- No, jakie?

Lunęło jak z cebra.

- Hm, udało mi się przekonać autorkę bestsellerów, żeby zatrzymała mnie jako swojego agenta.

- Joan chciała cię zwolnić? Dlaczego?

- Bo namówiłem ją, żeby wystąpiła w programie Charliego Longa.

- No tak. - Samuel pokiwał głową. - Heather też miała ochotę cię za to udusić.

Robiło się coraz ciemniej. Anthony musiał wyężyć wzrok, żeby dojrzeć Samuela.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał.

- Trochę boli, ale nic mi nie jest. Spójrz... - Wskazał na ziemię.

Aligatory najwyraźniej nie przepadają za burzą z pionurami. Kolos czatujący pod drzewem obrócił się i powoli ruszył w dół skarpy; po chwili zsunął się bezgłośnie do wody.

Myśl o tym, by zejść z drzewa, przyprawiała Anthony'ego o ciarki. Ale wiedział, że muszą wrócić do pozostawionych w chacie kobiet; że muszą opatrzyć nogę

Samuela; że muszą dalej szukać odpowiedzi na dręczące ich pytania.

Zapadł zmierzch, w chacie zrobiło się ciemno jak w grobie. Od czasu do czasu błyskawica rozdzierała mrok, ale wtedy było jeszcze gorzej. Wiatr targał zwisającymi z drzew kłakami mchu, które oświetlone parosekundowym błyskiem przypominały zjawy.

Joan była kłębkim nerwów.

Z końca kanapy dobiegł ją przestraszony głos siostry:

- Gdzie oni się podziewają?

Bała się, że spotkało ich coś złego. Może znaleźli mordercę Kane'ów? Może ten drań ich zabił? Może teraz skrada się do chaty...?

Coś walnęło o drzwi. Joan krzyknęła przerażona. Heather przysunęła się i z całej siły ścisnęła ją za rękę.

Drzwi otworzyły się. W blasku pioruna, który na moment rozświetlił niebo, zamajaczyła twarz Anthony'ego. Na Joan spłynęła niewysłowiona ulga.

Po chwili w blasku kolejnego pioruna kobiety dostrzegły wspartego na Anthonym Samuela.

- Co się stało? - Joan poderwała się na nogi.

- Dlaczego nie zapaliłyście lamp? - zdziwił się Samuel.

- Jakich lamp? O czym ty mówisz? - Skrzywienie sprężyn oznaczało, że Heather również podniosła się z kanapy. - Gdzieżeście byli?

- Mieliśmy drobne starcie z aligatorem - odparł w ciemności Anthony.

Kolejny piorun, kolejny błysk. Korzystając ze światła, szybko posadził Samuela na krześle. W chacie znów zapadł mrok.

- Zapałki leżą nad kuchenką - wycharczał olbrzym.
- A lampa stoi na parapecie.

Anthony ruszył po omacku we wskazanym kierunku.

- Znów jesteś ranny, - szepnęła Heather, brnąc po ciemku w stronę krzesła, na którym siedział Samuel.

Potarłszy zapałkę, Anthony przytknął płomień do knota. W chacie zrobiło się jasno.

- Druga stoi na oknie od frontu.

Anthony posłusznie zapalił drugą lampę.

- Pokaż nogę - poprosiła Heather.

- Trzeba ją będzie obmyć - rzekła Joan, zdumiona zachowaniem siostry. Heather należała do osób, które mdleją na widok krwi, a noga ugryziona przez aligatora... No cóż, może rana nie jest zbyt rozległa. Bądź co bądź Samuel jest przytomny i jakoś z pomocą Anthony'ego dotarł do chaty. - Anthony, a ty jak? Bez obrażeń?

- spytała, mijając go z butelką wody w ręce.

- Bez. Mnie przypadł w udziale ogon. Samuel miał dużo gorzej.

- Ale co się stało?

- Gadzisko spało w domku starego Barnsa - wyjaśnił Samuel. - Wystraszyliśmy je.

- Mielicie nikogo nie straszyć. Mielicie się tylko rozejrzeć - powiedziała z pretensją w głosie Joan, wbijając wzrok w kochanka.

Był brudny, spocony i podrapany. Serce zabiło jej jak szalone, tak mocno jak tego wieczoru, gdy Anthony spał u niej na sofie. Pragnęła go. Chciała się z nim kochać.

Pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Nie patrz tak na mnie.

Speszona, skinęła głową i przybrawszy neutralny wyraz twarzy, zaniósła siostrze butelkę z wodą. Następnie

postawiła na podłodze lampę, żeby lepiej było widać okaleczoną nogę. Rany były głębokie, miały poszarpane krawędzie.

- Postaram się znaleźć czysty bandaż - powiedział Anthony.

Ściągnął pokrowiec z łóżka i opróżnił plecak. Na materacu wylądowały butelki z wodą, patyczki serowe, bułeczki z cynamonem, francuskie wino. Nic z tych rzeczy się nie nadawało, ale w bocznej kieszeni znalazł lniane serwetki.

- Świetnie - ucieszyła się Joan, po czym zwróciła się do olbrzyma: - Chcesz łyk wina, zanim polejemy ci nim nogę?

- Jeszcze pytasz!

Heather odwróciła głowę.

Anthony przykucnął obok Joan.

- Jak to wygląda?

- Szkoda, że tak kiepsko znam się na medycynie - odparła. Rana wyglądała paskudnie.

- A choć trochę się znasz?

- Nic a nic.

Z gardła Heather wydobył się szloch.

- Hej, chodź tu do mnie. - Samuel wyciągnął do niej rękę. - Przecież nie jest tak źle.

- Właśnie, że jest! - załkała. - Nie wiem, jak możesz siedzieć tak spokojnie i jeszcze żartować.

Samuel wzruszył lekceważąco ramionami.

- Przerabiałem kurs pierwszej pomocy - oznajmił Anthony.

- Serio? - Joan odsunęła się, robiąc mu miejsce.

- Serio. To tylko tak paskudnie wygląda - oznajmił, zerkając na Heather. Po chwili przeniósł spojrzenie na

Samuela. - Będzie bolało jak diabli, ale na szczęście kolega aligator niczego ci nie uszkodził.

Heather zbliżyła się niepewnie do krzesła. Samuel objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Potrzebuję cię - szepnął.

Joan, zdumiona, wytrzeszczyła oczy.

- Trzymaj mnie, kiedy będą lać wino. Może wtedy mniej będzie bolało?

Heather obdarzyła go nieporadnym uśmiechem, a jej siostra zaczęła się zastanawiać, czy tych dwoje naprawdę coś łączy, czy to ona ma zwidy.

- Czy nie możemy się spotykać w bardziej romantycznych miejscach? - spytał Samuel. Leżał na wąskim łóżku na oddziale chirurgii.

Heather siedziała obok, gładząc go delikatnie po czołe. Podejrzewała jednak, że bardziej kojąco działają na niego środki przeciwbólowe niż dotyk jej ręki.

Noc spędzili w chacie na bagnach; leżeli obok siebie na jednym z dwóch łóżek, wsłuchując się w odgłosy burzy. Samuel prawie nie zmrużył oczu. Oddech miał płytki, mięśnie napięte.

- Obiecuj mi, że nie będziesz więcej narażał życia.

- Uważasz, że chciałem, by aligator się na mnie rzucił?

- Trzeba było go nie budzić.

- No wiesz, to nie fair! - oburzył się.

- Życie jest nie fair. Próbuję przeżyć z tobą namiętny romans, a ty co? Ciagle pakujesz się w kłopoty.

Wybuchnął śmiechem.

- Połóż się koło mnie.

- Tu? - Zerknęła za siebie. Byli sami w pokoju, ale w każdej chwili mógł wejść lekarz albo pielęgniarka.

- Takie ryzyko cię nie podnieca? Że możemy być złapani na gorącym uczynku? - Przysunął jej rękę do ust. - Żartuję... Słuchaj, chciałbym cię o coś poprosić.

Położyła się na materacu. Czuła ciepło bijące z jego ciała.

- Tylko nie spodziewaj się oświadczyn!

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, nie będę.

- Tak się zastanawiałem... - Urwał. - Zamierzasz wyjechać do Bostonu czy zostaniesz tu chwilę dłużej?

Właściwie dawno temu powinna była wrócić do Bostonu, ale jakoś nie potrafiła się zdobyć na ten krok. Po pierwsze, cieszyła się, że może spędzić trochę czasu z Joan, choć już nie wierzyła, że zdoła ją namówić na Paryż. W życiu siostry ogromną rolę odgrywał Anthony. Jak dużą, tego Heather nie była pewna, nie ulegało jednak wątpliwości, że Joan nie będzie chciała się z nim rozstać.

Po drugie, sprawa morderstwa wciąż nie została rozwiązana.

A po trzecie... po trzecie, pragnęła pobyc dłużej z Samuelem. Tych parę dni to stanowczo za mało.

Gładził ją czule po głowie. Mimo okoliczności, w jakich się znajdowali, jej ciało zaczęło reagować na jego dotyk.

- Chodzi o to... To znaczy, gdybyś została do czasu festiwalu...

- Który odbędzie się dopiero za kilka tygodni?

- Tak. Więc gdybyś została, to mogłabyś zagrać na skrzypkach mojego taty.

Heather przekręciła się na bok i oparła na łokciu. Nie potrafiła ukryć wzruszenia.

- Chcesz, żebym została? Jeszcze kilka tygodni? I żebym zagrała na festiwalu utwory z zeszytu twojego ojca?

- Albo mogłabyś wrócić na festiwal. Jak ci pasuje.

Mogłaby zostać albo mogłaby wrócić. Serce zabiło jej mocno. Oczywiście wolałaby zostać, a potem zagrać na ambrogino cudowną kajuńską muzykę.

- Dobrze. Bardzo chętnie. - Napotkała wzrok mężczyzny. - Zostanę. I zagram.

Uradowany, pochylił się i musnął wargami jej usta. Nawet tak niewinny całus przejął ją dreszczem.

- Ale musisz być ze mną szczerą.

- A nie jestem?

- Musisz powiedzieć mi, kiedy będziesz miał dość.

Inaczej bardzo długo się mnie nie pozbędziesz.

Znów ją pocałował, tym razem dłużej i namiętniej, po czym przytulił tak, jakby nigdy nie zamierzał jej wypuścić.

- W porządku, małeńka - szepnął głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Siedziała przy kuchennym stole, oglądając kolejny album, który dziś rano znalazły z Heather na dnie szafy. Były w nim zdjęcia małego Samuela, jego matki, ojca, a także wielu mieszkańców Indigo, których Joan знаła obecnie jako ludzi w podeszłym wieku.

Najstarsze zdjęcia przedstawiały krewnych ze strony matki. Z podpisów i dat można było prześledzić historię rodziny, która w pierwszych latach dwudziestego wieku opuściła Missisipi, by osiedlić się w Indigo. Potem w latach sześćdziesiątych znaczna część rodziny wyjechała z Luizjany. Maisie jednak została i poślubiła Johna Kane'a. Samuel był ich jedynym dzieckiem.

Zdjęć ukazujących Johna jako chłopca było zaledwie kilka, a zdjęć jego rodziców, ciotek czy wujów nie było wcale.

- Czy Samuel opowiadał ci o rodzinie ojca?

Heather, która porządkowała drobiazgi na półce nad kominkiem, potrząsnęła przecząco głową.

- Ani razu. To dziwne...

- Dziwne?

Anthony pojechał odebrać Samuela ze szpitala. Na razie były same w domu.

- Powiem ci, ale obiecaj, że nikomu nie piśniesz słówka.

Joan wstała od stołu.

- Że nie pisnę? O czym? Heather, czy ty...

- Cii... Chodź na górę, coś ci pokażę.

Zaprowadziła siostrę do sypialni Samuela. Wyrzała przez okno, sprawdzając, czy mężczyźni nie nadjeżdżają, po czym otworzyła szafę, z której wyjęła stary futerał. Położywszy go na łóżku, uniosła wieko.

- Co to? - spytała Joan.

- Skrzypce. Należały do ojca Samuela.

Joan popatrzyła na instrument; widać było, że jest perfekcyjnie wykonany.

- Oryginalny ambrogino - wyjaśniła Heather. - Piękny, prawda? - Pogładziła ręką wierzchnią płytę. - Samuel pozwolił mi na nich zagrać... - Oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Ambrogino... To znaczy, że dziadkowie Samuela byli bogaci?

- Samuel nic nie wie o rodzinie ojca. Pamięta tylko, że ojciec wieczorami siadywał na ganku i grywał na skrzypcach.

- To niezwykle cenna pamiątka rodzinna - zauważyła Joan.

- Jeszcze coś ci pokażę. - Heather cofnęła się do szafy po oprawny w skórę zeszyt. - Ojciec Samuela komponował. Pisał muzykę kajuńską.

Położyła zeszyt koło skrzypiec i zaczęła delikatnie przewracać strony. Joan, która wiele lat grała na fortepianie, potrafiła czytać nuty. Wpatrywała się uważnie w pożółkłe stronicę.

- Powinno się je przepisać...

- Tak, wiem. Właśnie miałam zamiar zaproponować to Samuelowi.

Joan ponownie skierowała spojrzenie na cienkie arkusze pokryte pięcioliniami. Przełożyła jedną stronę, drugą i nagle ze środka wysunęła się stara czarno-biała fotografia.

- Co to?

- Nie mam pojęcia. Nie zauważyłam wcześniej tego zdjęcia.

Joan przysunęła je do światła. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w bogato urządzonej sali, trzymającego na rękach małego chłopca. Sądząc po meblach, mógł być rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty. Mężczyzna był biały, dziecko czarne, a przynajmniej mieszanej krwi. Na odwrocie widniał podpis: Gerard i John.

Joan ponownie spojrzała na zdjęcie. Czy to możliwe, że ten bogaty biały mężczyzna o imieniu Gerard jest ojcem Johna? Przysunęła zdjęcie do oczu i nagle poczuła dziwne klucie w brzuchu.

- O rany - szepnęła. - O rany.

- Co?

- To Gerard Dinose. - Usiłowała ułożyć sobie wszys-

tko w logiczną całość. Gerard Dinose musiał mieć romans z matką Johna, czyli z babką Samuela.

- Kim jest Gerard Dinose? - spytała Heather.

- Do rodziny Dinose'ów należy pól Lafayette. Zaczynali od szmuglowania rumu, potem przeczucili się na trzcinę cukrową...

- Odrobiliśmy lekcję historii, tak? - zapytał obcy męski głos.

Obróciwszy się, Joan ujrzała w drzwiach sypialni szpakowatego mężczyznę w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat, który ścisnął w dłoni pistolet.

scandalous

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Siostry instynktownie chwyciły się za ręce.

- Czego pan tu szuka? - warknęła Joan.

- Niełatwo mi na to odpowiedzieć.

Mężczyzna wykonał krok do przodu. Heather zaczęła się cofać, ale Joan nawet nie drgnęła. Uważnie obserwowała intruza. Miała wrażenie, jakby już go kiedyś widziała. Ale gdzie? Kiedy?

- Przyszedł pan po skrzypce?

Mężczyzna roześmiał się cynicznie.

- Akurat! Miałbym sobie zadać tyle trudu, żeby zdobyć jakieś głupie skrzypce?

Widząc, jak siostra otwiera usta, by zaprotestować, Joan ścisnęła ją za rękę.

- Kim pan... - zaczęła i nagle coś ją tknęło. Zerknęła ponownie na zdjęcie. Czy to możliwe? Facet, który wtargnął do sypialni Samuela, jest żywą kopią Gerarda Dinose'a.

- Nie, nie jestem Gerardem. Nazywam się Nash Dinose — odrzekł. - Mój ojciec nie żyje od wielu lat.

To znaczy Nash był przyrodnim bratem Johna? I stryjem Samuela?

W takim razie dlaczego trzyma je na muszce?

- Nie rozumiesz, prawda?

Joan pokręciła głową.

- No, zastanów się...

Czyżby zamordował swojego przyrodniego brata?

- Hm, mógłbym was po prostu zastrzelić...

Heather zaszlochała, Joan zaś wbiła wzrok w pistolet. A gdyby spróbowała mu go wyrwać? Może siostra miałaby szansę ucieczki?

- Nie jestem żadnym zwyrodnialcem. Jestem biznesmenem, który dba o własne interesy.

- Zabiłeś ich! - szepnęła Heather, oswobadzając rękę.

- Heather, nie! - Joan złapała siostrę, zanim ta zdążyła wykonać jakiś nieprzemysłany ruch.

- Oczywiście, że zabiłem. Nie miałem wyjścia.

Wreszcie Joan doznała olśnienia. John musiał wiedzieć, kim jest jego ojciec. Jako synowi Gerarda należała mu się część spadku. Nash postanowił do tego nie dopuścić.

- Załadali od ciebie pieniądze...?

- Nie, ale prędzej czy później zaczęliby się ich domagać. - Nash zmrużył oczy. - Dawniej żaden sąd nie uznałby takiego bękarta za prawowitego syna. Ale potem wszystko się zmieniło. - Wykrzywił twarz w grymasie. - Wolałem nie ryzykować.

- A więc zabiłeś ich oboje i wrobiłeś w morderstwo Johna - dopowiedziała Joan. Z wrażenia zakręciło się jej w głowie.

- No właśnie. Nikt niczego nie podejrzewał. Dopóki ty się nie pojawiłaś.

Nie miała ochoty poznawać szczegółów zbrodni, ale musiała kontynuować z Nashem rozmowę. Niech gada. Może wkrótce nadejdzie pomoc?

- Nie wiedziałeś, czy znam prawdę...

- Nie znałaś. Co za ironia. A teraz znasz. - Łypnęła na Heather. - Obie znacie prawdę.

- Niczego nie zdołałyśmy udowodnić. Masz. -

Joan wyciągnęła do niego zdjęcie. - Trzymaj. Nikt nie chce twoich pieniędzy.

Prychnął pogardliwie.

- Przyznałem się wam do morderstwa. Myślicie, że jestem głupi? - Podniósł rękę z pistoletem. - Przykro mi, dziewczyny. W to morderstwo zrobię Samuela.

Joan rzuciła się do przodu, zasłaniając sobą siostrę.

Rozległ się huk. Nie czuła bólu. Nic nie czuła. Wydawało się jej, że w zwolnionym tempie osuwa się na podłogę. Heather przytrzymała ją, łagodząc upadek.

Zwinięta w kłębek, popatrzyła na Nasha. Wiedziała, że strzeli ponownie. Że tym razem nie chybi.

I nagle zobaczyła Anthony'ego; jedną rękę zaciskał na szyi mordercy, drugą usiłował wyrwać mu broń.

Pistolet wystrzelił, następnie upadł na podłogę. Samuel krzyknął; razem z Anthonyem obezwładnili Nasha.

- Dziewięćset jedenaście - wycharczała do telefonu Heather.

Joan leżała bez ruchu, w stanie dziwnego, letargu. Słyszała jakiś wóz jadący na sygnale. Słyszała, jak siostra powtarza jej imię. A potem usłyszała stukot butów.

Otworzyła oczy. Anthony kucnął obok niej, chwycił ją w ramiona i przytulił z całej siły.

- Słonko, nic ci nie jest? - Całował ją po włosach, po szyi, a jednocześnie sprawdzał, czy nie ma ran i czy nigdzie nie krwawi.

Powoli świat zaczął nabierać ostrości.

- Nie, chyba nic - powiedziała cicho.

- Na pewno? Nie nabiłaś sobie guza?

- Chyba nie. - Wciąż była w szoku; dygotała na całym ciele.

Anthony wstał i podciągnął ją na nogi.

Alain Boudreaux wyprowadził skutego w kajdanki Nasha z pokoju. Za oknem migało czerwone światło.

Heather stała w rogu z Samuelem.

- Coś ich łączy - szepnęła Joan, wskazując na siostrę.

- Tak myślisz? - Anthony wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Samuel pogładził Heather po twarzy, po czym przytuliwszy ją do piersi, zacisnął powieki.

Joan odwróciła wzrok; skupiła uwagę na Anthonym. Boże, o mało z Heather nie zginęły. Nash mógł je zabić. Mógł...

- Dziękuję. Uratowałeś mi życie.

- Do usług, moja droga.

Drzenie powoli ustępowało. Zaczęło ją ogarniać uczucie wprost niewysłowionej ulgi.

- Już po wszystkim. Nareszcie ten koszmar się skończył.

- Prawie się skończył - mruknął Anthony. - Przed domem czeka tłum dziennikarzy.

- Nic dziwnego. - Westchnęła. Policyjne syreny zawsze wzbudzały ciekawość. - Skorzystam z okazji i wspomnę o festiwalu muzyki.

- Joan, jeśli nie chcesz...

- Myślisz, że odejda, jeśli do nich nie wyjdziemy?

- spytała, a gdy zgodnie z jej oczekiwaniem pokręciła głową, dodała: - Więc nie mamy na co czekać. Samuel?

Olbrzym skierował na nią wzrok.

- Idziemy?

- Idziemy. - Uściskawszy Heather, zaczął kuśtykać do drzwi. - Ale to Anthony obezwładnił Dinose'a.

- Tylko dlatego, że ciebie Chapmanął aligator.

W drzwiach pojawił się Alain.

- Muszę spisać oświadczenia. Wpadniecie do komisarjatu?

- Oczywiście - zgodził się Anthony. - Tylko najpierw uporam się z dziennikarzami.

- W porządku. A więc do zobaczenia.

Ruszyli w dół po schodach. Ledwo stanęli w progu, kiedy w ich stronę wyciągnął się las mikrofonów.

Joan wzięła głęboki oddech. Poradzi sobie. To jak występ w telewizji, tylko pytania padają szybciej i ze wszystkich stron.

- Kogo postrzelono?

- Czy są ofiary śmiertelne?

- Jak to się ma do pani książki?

Usunąwszy się dyskretnie na bok, Anthony przyglądał się Joan, która stała na trawniku i cierpliwie udzielała odpowiedzi. Policzył trzy wozy transmisyjne, co najmniej ośmiu dziennikarzy, drugie tyle kamerzystów oraz dziesiątki innych osób z notesami, w słuchawkach na głowie lub zwojem kabli pod pachą.

Joan radziła sobie znakomicie, a jego przepełniała duma. Podejrzał, że nigdy nie zapomni widoku Nasha z wycelowaną w nią bronią. Gdyby zjawił się pół minuty później, może nawet sekundę później...

Zadrzał na samą myśl.

- Panie Kane, czy to znaczy, że pański ojciec zostanie uniewinniony?

Samuel podszedł do mikrofonu. Heather tymczasem szepnęła coś Joan do ucha.

- Mama dzwoni.

Joan wzięła słuchawkę i oddaliła się kilka kroków. Anthony nie spuszczał z niej oczu.

Przez chwilę milczała; jej ożywiona twarz stawała się coraz bardziej posepną.

Anthony zaklął pod nosem.

- Ale ja nie... - zaczęła, po czym umilkła. - Mamo, ja... - Westchnęła ciężko i odgarnęła z czoła wilgotne kosmyki. - Mamo...

Matka ciągle jej przerywała.

Joan zamknęła oczy, zgarbiła plecy. Straciła wigor i pewność siebie. Potem rozejrzała się ukradkiem wkoło i cofnęła pod same drzwi.

- Zrozum, ja nie... Ale... Mamo... - Zbladła.

Anthony poczuł, jak narasta w nim złość. Nikt nie ma prawa tłamsić własnej córki!

- Mamo, proszę cię...

Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Udając troskliwych, kochających rodziców, Batemanowie chcą Joan złamać i unieszczęśliwić. Już nie chodzi o jej karierę, lecz o jej życie. Ogarnięty wściekłością, podszedł do Joan i wyrwał jej z ręki telefon.

- Pani Bateman?

Joan bezskutecznie usiłowała odebrać mu słuchawkę.

- Przepraszam, z kim mówię? - zapytał władczy głos na drugim końcu linii.

- Nazywam się Anthony Verdun.

- Gdzie jest moja córka?

- Tu obok. Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

- Anthony... - szepnęła błagalnie Joan.

- Żądam, aby natychmiast oddał jej pan słuchawkę.

- A ja żądam, żeby przestała ją pani gnębić.

- Anthony!

Na drugim końcu linii matka Joan zakrzuszyła się z oburzenia.

- Niech pani przestanie być wiedźmą, która widzi wyłącznie czubek własnego nosa...

- Anthony!

- Może wtedy doceni pani, jak utalentowaną ma córkę. Nie obchodzi mnie, czy w pani żyłach płynie krew błękitna czy zielona...

Ni stąd, ni zowąd Samuel wyrwał mu słuchawkę i podał ją Heather.

- Odbiło ci, stary?

Anthony zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy przypadkiem dziennikarze niczego nie słyszeli. Samuel czym prędzej postanowił zająć ich uwagę; tłumacząc im coś zawile, zaczął oddalać się w stronę krawężnika.

- Zwalniam cię - mruknęła Joan; na jej twarzy malował się wyraz wściekłości.

- Uważasz, że zachowałem się nieuprzejmie? Że wasze wzajemne relacje to nie mój interes?

- No właśnie!

- I że rodzice mają prawo traktować cię w ten sposób?

- To są moi rodzice i nic ci do tego.

Pokręcił smutno głową.

- Wiesz, jaki masz problem? - Widząc, że Heather chce mu przerwać, gestem dał jej znak, by nic nie mówiła. - Taki, że dajesz rodzicom sobą pomiatać. Że pozwalasz im, żeby cię niszczyli. A ja nie mam zamiaru na to patrzeć.

Obrócił się na pięcie. Krew dudniła mu w skroniach, ból rozsadał czaszkę. Trudno. Zrobił wszystko, co w jego mocy. Niestety, niewiele to dało.

Powiedział prawdę. Nie chciał patrzeć, jak rodzice pozbawiają ją radości, jak niszczą jej karierę i pewność

siebie. Nie chciał też patrzeć, jak Joan zamyka się z powrotem w kokonie, jak rezygnuje z własnego zdania, ze swojego talentu, z rzeczy, które mogłaby osiągnąć.

Wyciągnął z kieszeni kluczyki samochodowe. Wstąpi po drodze na komisariat, złoży zeznania, potem pojedzie na lotnisko i wróci do Nowego Jorku. Stephen pewnie wywali go z roboty, ale nie zależało mu na pracy.

Podjeżdżał, że minie wiele czasu, nim zacznie mu na czymkolwiek zależeć.

Kiedy tak stała, odprowadzając wzrokiem Anthony'ego, miała wrażenie, jakby coś w niej umarło. Nagle poczuła czyjąś rękę na swoim ramieniu. Odwróciwszy się, zobaczyła Heather. Siostra wprowadziła ją do domu Samuela.

- Wiesz co? - Zamknęła za sobą drzwi, odcinając je obie od hałasu i błysków fleszy.

Joan wpatrywała się w nią tępym wzrokiem. Anthony odszedł. Tym razem na zawsze.

- Anthony ma rację.

Joan wytrzeszczyła oczy.

- Przed chwilą powiedział mamie, żeby przestała patrzeć na czubek własnego nosa!

- Zgadza się.

- Boże! Gdzie telefon? - Rozejrzała się nerwowo.

- Muszę do niej zadzwonić...

- Joan, Anthony naprawdę ma rację. Matka jest potworną egoistką.

- Czyś ty oszalała?

- Wiesz, co robię od kilku dni, Joan? Wiesz?

Joan nie słuchała. Myślała o tym, żeby zadzwonić do

domu, wyjaśnić nieporozumienie, naprawić stosunki z rodzicami.

- Kocham się z Samuelem. Jak szalona. Wiesz, to jest taki dziki seks.

Podziałało. Joan stanęła jak wryta.

- Tak, tak. Sztywna Heather Bateman codziennie... Zresztą, nie będę się wdawać w szczegóły. Chodzi mi o to, że całe życie robiłam nudne rzeczy z nudnymi ludźmi, których nawet nie darzyłam sympatią, a wszystko dlatego, że słuchałam rodziców i przejmowałam się konwenansami.

- Dziki seks? - powtórzyła Joan, jakby nic więcej do niej nie dotarło.

- Tak, kochana. - Heather spojrzała siostrze prosto w oczy. - Matce włosy zjeżyłyby się na głowie, gdyby wiedziała, co jej córeczka wyprawia. Tobie też by się zjeżyły. I wiesz co? Sprawia mi to wielką frajdę.

- Z Samuelem? - Jak to możliwe? Zauważyła, że są sobie bliscy, ale jakoś przegapiła ten moment, kiedy...

- Powiedzieć ci, co zagram na festiwalu muzyki?

- Zostajesz na festiwal? U Samuela?

Joan nie poznawała własnej siostry, tej idealnie ułożonej Heather, która zawsze przestrzegała etykiety. Która nigdy nie powiedziała by złego słowa na matkę. Którą zawsze stawiano jej, Joan, za wzór do naśladowania.

- Tak, kochanie.

- Czy Samuel dał ci jakieś środki odurzające?

Heather rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Nie, ale pewnie zgodziłabym się na każdą jego propozycję. - Rozbawiła ją zdumiona mina siostry.

- Świat jest wielki i urozmaicony, ale mówiliśmy o tobie...

- Nie, poczekaj. To co z festiwalem?

- Zagram na skrzypcach muzykę kajuńską. Wystąpię jako Heather Bateman. Poproszę, żeby moje nazwisko umieszczono na plakatach. I wyślę zaproszenia wszystkim przyjaciołom rodziców.

Joan wstrzymała oddech. Festiwal to sprawa jednorazowa, za zebrane pieniądze zostanie odnowiony dach opery...

- Rodzice nie będą zachwyceni, ale bardziej przerażaliby ich wiadomość...

- Że kochasz Anthony'ego?

- Wcale go nie kocham.

- Od dziesięciu lat się przyjaźnicie. Zdradzasz mu sekrety, o których nie mówisz rodzinie...

- To dlatego, że...

- Dlatego, że Anthony cię rozumie. Że zna prawdziwą Joan. I taką cię kocha. Przy nim możesz być sobą, nikogo nie musisz udawać. - Heather popatrzyła na siostrę. - Nie chciałabyś tak żyć do końca swoich dni? Bez udawania? Z ukochanym człowiekiem u boku?

Joan poczuła ucisk w piersi. Z trudem wciągnęła powietrze. Anthony. Wierny przyjaciel, który jej wszędzie towarzyszył. Który pojechał z nią na rozmowę z Charliem Longiem, a potem wziął ją w ramiona i pogratulował występu. Mogliby być razem.

Mogłaby jeździć w trasy promocyjne i spotykać się z wielbicielami, zamiast pod przybranym nazwiskiem odpisywać na ich listy w Internecie. Mogłaby się nie ukrywać, nie kłamać, nie udawać.

Oczy jej zaszczyły łzami. Zamrugnęła powiekami, usiłując je powstrzymać.

- Anthony ma rację, Joanie - ciągnęła Heather. - To twoje życie. Nie możesz stale przejmować się innymi.

- Ale rodzice...

- Przyzwyczajają się. Bo chyba nie wyrzekną się obu córek?

Joan pokręciła głową. No nie, ojciec nigdy do tego nie dopuści.

Nagle ze zgrozą przypomniała sobie własne zachowanie, te okropne rzeczy, jakie mówiła do Anthony'ego dziś i w przeszłości. Jeśli nawet zgodzi się dalej być jej agentem, to pewnie wróci do Nowego Jorku, a kontakt z nią ograniczy do faksu oraz e-maili.

Była mu winna przeprosiny: za swoją głupotę, egoizm, krótkowzroczność.

- Dobra, wychodzę do dziennikarzy.

- Brawo - pochwaliła ją Heather; odgarnęła siostrze z twarzy włosy, otarła łzy. - Wyglądasz ślicznie.

Joan wzięła głęboki oddech. Czuła, jak rozsadza ją adrenalina.

W komisariacie, na stoliku, stał włączony telewizor. Policjanci, którzy nie byli zajęci przesłuchiowaniem Nasha Dinose'a, tłoczyli się wokół odbiornika, słuchając, jak dziennikarze rozmawiają z Samuelem, a potem z różnymi prawnikami. Z ich wypowiedzi wynikało, że teraz, gdy Nash trafi za kratki, Samuel zostanie jedynym spadkobiercą wielkiego imperium przemysłowego.

To niesamowite, pomyślał Anthony. Ciekaw był, jak Samuel sobie z tym wszystkim poradzi. Po chwili uznał, że człowiek, który nie lęka się kul, aligatorów i Heather Bateman, również nie będzie się lękał podejmowania ważnych biznesowych decyzji.

Nagle na ekranie pojawiła się Joan. Anthony poczuł

ucisk w sercu. Chryste, co mu strzeliło do głowy? Dlaczego wyrwał Joan telefon z ręki i nawymyślał jej matce? Wiedział dlaczego. Bo coś w nim pękło. Nie obchodziło go, kim są Batemanowie; po prostu nie zamierzał pozwolić, aby ktokolwiek Joan pomiałał.

Wstał z twardej ławki, na której siedział, i podszedł bliżej do telewizora. Wyteżył słuch.

- ... mój agent Anthony Verdun...

Co takiego?

- ... z Agencji Literackiej Prism.

Nie wierzył własnym uszom.

- Książkę opublikuje w marcu wydawnictwo Pellegrin. Wszyscy jesteście ogromnie tym przejęci. - Joan zamilkła; najwyraźniej słuchała pytania dziennikarza. - Jeśli mnie Charlie Long zaprosi, to tak, bardzo chętnie wystąpię. To było wspaniałe doświadczenie.

Znów nastała cisza. Anthony zastanawiał się nerwowo, czy Joan naprawdę to powiedziała, czy może on cierpi na halucynacje.

- Szczegółów jeszcze nie ustaliliśmy, ale myślę, że odwiedzę co najmniej kilka miast. Tego lata byłam bardzo zajęta, teraz jednak mam trochę więcej czasu, więc Anthony na pewno coś zaplanuje.

Anthony usiadł z powrotem na ławce. Nic z tego nie rozumiał.

- Bardzo państwu dziękuję, ale... - Zamilkła.

- Wszystkie informacje można znaleźć na stronie internetowej wydawnictwa Pellegrin oraz na stronie Julesa Burrella. Dziękuję. - Oddaliła się w stronę drzwi.

Anthony wpatrywał się w ekran. Była świetna. A on czuł się paskudnie. Życie straciło dla niego sens.

Już nie chciał być agentem Joan, nie chciał reprezen-

tować jej interesów. Chciał być jej kochankiem, przyjacielem, partnerem na dobre i na złe.

Kocha ją. Kiedyś wydawało mu się, że zadowoli się czymś połowicznym, że wystarczy mu przyjaźń z tą kobietą, teraz jednak wiedział, że pragnie mieć wszystko albo nic.

Podziękowała policjantowi, który podrzucił ją do domu. Sporo czasu zajęło jej składanie zeznań, ale wreszcie jest u siebie. Wciąż jednak nie potrafiła pozbyć się uczucia pustki, które ją gnębiło.

Heather została z Samuelem. Mieli dokończyć sprzątanie, a potem wybrać utwory na festiwal muzyki. Ałain Boudreaux nie posiadał się ze szczęścia, kiedy go o tym poinformowali. Heather należała do światowej czołówki skrzypków. Będzie magnesem. Ludzie zjadą się do Indigo choćby po to, żeby posłuchać jej gry.

Wzdychając ciężko, Joan wsunęła klucz w nowy zamek, który Anthony zamówił u ślusarza. Jeśli chodzi o jej karierę, o szczęście Heather, o planowany festiwal, to wszystko ułożyło się jak najlepiej. Ale jeśli chodzi o jej sprawę sercowe... z tym jest dużo gorzej.

Oczy napełniły jej się łzami. Anthony miał rację. Od samego początku. A ona w dowolnym momencie w ciągu ostatnich dwóch tygodni mogła mu to powiedzieć.

Ale była zbyt dumna. Zbyt uparta. Kierując się jakimiś durnymi zasadami, fałszywie pojętą przyzwoitością, zrezygnowała z jedynej rzeczy, na której tak naprawdę jej zależało.

Heather też miała rację. Prędzej czy później rodzice pogodzą się z sytuacją. Powinna była odbyć z nimi

szczerą rozmowę, nie teraz, lecz przed laty, wyjaśnić im, co chce w życiu osiągnąć, i nie pozwolić sobie wejść na głowę.

Wreszcie zdołała przekręcić klucz w zamku. Weszła do holu, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Z trudem powstrzymała szloch.

Anthony wyjechał. Opuścił Indigo. Pewnie siedzi wygodnie w samolocie tysiące metrów nad ziemią.

Przyciskając rękę do ust, osunęła się na podłogę i zaczęła łkać. Raptem usłyszała cichy głos.

- Joan?

Zamarła. Na wprost swoich oczu ujrzała parę czarnych, pomiętych nogawek.

- Co się stało? - spytał Anthony, kucając koło niej.

- Coś cię boli?

Potarła dłońmi mokre policzki.

- Co... co tu robisz?

Wstał, po czym podciągnął ją na nogi.

- Widziałem cię w telewizji.

- Przepraszam.

- Cii. - Przytulił ją mocno.

- Wcale cię nie zwalniam - szepnęła.

- A twoja mama wcale nie jest wiedźmą. - Pocałował ją w czoło. - Ja też przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.

- Wiem, ale... ale masz rację. Rodzice będą musieli zaakceptować mnie taką, jaka jestem. Nie chcę dłużej niczego przed nimi ukrywać.

- Na pewno bardzo cię kochają.

Popatrzyła mu w oczy. Przepełniało ją uczucie szczęścia.

- Anthony, ale co tu robisz?

- Co robię? Właśnie skończyłem przyrządzać cosmopolitana. Napijesz się?

Skinęła głową. Może po kilku drinkach zbierze się na odwagę, by mu wyznać miłość?

- Dobrze. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Albo nie, mam inny pomysł. - Zniżył głos. - Masz ochotę się kochać?

- Och tak! Ja...

Nie czekał na dalszy ciąg, po prostu przywarł ustami do jej ust. Zatracili się w namiętym pocałunku.

- Skoro na wszystko się zgadzasz - powiedział Anthony, na moment unosząc głowę - to zadam następne pytanie: zostaniesz moją żoną?

Zakreśliło się jej w głowie. Czy aby się nie przesłyszała?

- Co powiedziałeś?

- Poczekaj, zacznę inaczej... - Przytknął czoło do jej czoła. - Kocham cię, Joan.

Łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Ja ciebie też.

- To dobrze. A teraz kolejno: czy wyjdiesz za mnie za męża, czy możemy się kochać i czy upijesz się ze mną?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, tak, tak. Trzy razy tak.

- Widziałem cię w telewizji.

- Już to mówiłeś.

- Mój szef dał mi podwyżkę.

- Zasłużyłeś na nią.

- I zaproponowałem udział w firmie. Na zasadzie wspólnika.

- Serio?

- Serio.

- Czyli mój agent będzie jednym ze współwłaścicieli agencji Prism?

Pocałował ją delikatnie w usta.

- Twój mąż, kochanie, będzie jednym ze współwłaścicieli.

Zamknęła oczy.

- Mąż. Mmm, jak to ładnie brzmi. Czyli co, przenieśmy się do Nowego Jorku?

- Ale ten dom też zatrzymamy.

Uradowana, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dzwonili z Pellegrin. Chcą ci zorganizować trasę promocyjną. Pewnie słyszeli, co mówiłaś w telewizji. Czeka nas sporo pracy, moja śliczna.

- To prawda. Najpierw przeprawa z moimi rodzicami... - Spojrzała na zegarek. - Podejrzewam, że zjawia się tu za kilka godzin.

- Dzwoniłaś do nich ponownie?

- Nikogo nie było w domu. A to oznacza tylko jedno.

Pogładził ją po głowie.

- Poradzisz sobie?

- Oboje sobie poradzimy. - Zalała ją fala spokoju.

- Chociaż mój ojciec tak łatwo ci nie daruje. Z drugiej strony... to, że poprosiłeś mnie o rękę, powinno uśmierzyć jego gniew.

- Widzisz, jaki miałem genialny pomysł?

- Dlatego cię zatrudniłam jako mojego agenta.

- Kocham cię, Joan!

- A ja ciebie, Anthony.